

Polska w Pieśni.

WANDA

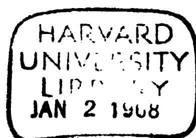
przez

Deotymę.

WARSZAWA.
NAKŁAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.
1887.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 20 Марта 1886 года.



Warszawa.— Druk S Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedm. Nr. 66

WANDA.

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

MOJEGO OJCA

WACŁAWA ŁUSZCZEWSKIEGO.



jcze, którego pamięć jest i pozostanie
W mojéj duszy ołtarzem, gdzie cicho goreje
Ogień wieczny, jak wieczne moje przywiązanie,
I jak wieczne złączenia naszego nadzieje —

Pozwól, abym podobna do białych kapłanek,
W świątyni codzień wieńce wieszających świeże,
Wezwała Cię, i Wandy kalinowy wianek,
Na ołtarz Twéj pamięci przyniosła w ofierze.

Znane Ci jego kwiaty, znane ze wszystkiemi
Żyłkami swoich listków, cętkami swych koron,
Bo je plotłam nim jeszcze odszedłeś od ziemi,
Zwycięzca, syt boleści, więc wcześnie wyzwolon.

Plotłam je pod Twém okiem, tém niebieskiém okiem,
Które mi przyświecało jak Opatrzność żywa,
I dziś jeszcze przyświeca, chociaż za obłokiem.
Niekiedy, moc miłości i obłok rozrywa.

Wtedy czuję wyraźnie, jak z lepszego świata,
Spojrzenie Twe uderza tu, na serce moje.
Ach, spojrz i dzisiaj na mnie, jako w owe lata,
Gdyśmy wschodzącą „Wandę“ czytali we dwoje.

Ileż mi przypomina jéj xięga zżółkniała!
Kreśliłam ją pod niebem północnego wschodu.
Z po-za mroźnych nasypów ta pieśń wybuchała,
Jak Hekla wre i kipi za ryglami z lodu.

Święte godziny życia, kiedyśmy to byli
Tak bardzo nieszczęśliwi, a tacy szczęśliwi!
Czyż-by już lat dziesiątki zciekły od téj chwili?
Serce gdy je oblicza, waha się i dziwi.

Zdaje się że to wczoraj! Obraz nic na krasie
Nie stracił. Dla nas niéma czasu ni przestrzeni.
My zawsze tamtocześni, choć rozdarci w czasie —
Blizcy, chociaż całemi światy rozdzieleni.

* * *

Co kartka, to się nowy krajobraz otwiera,
I jak szereg mirażów aż w Uralu ginie.
Dobrze pomnę. „Akt trzeci — Zwrotki Rytygiera —“
Te w ziemiach nad-Wołżańskich pisałam, w Jadrynie

Wśród zadymek i szturmów śniegowego morza,
W pochylonej chałupce siedząc na pudełku,
Pisałam przy okienku o klejoném szkiełku,
Gdzię tęczami północna falowała zorza.

„Sceny Rugijskie“ wyszły z miasteczka Czembaru,
Z tego starego dworku o trzęsącym ganku,
Gdzie kawki wyprawiały sejmik bez ustanku.
Z izby im odpowiadał hurkot samowaru.

Niosła nam go Mordwinka w blaszanym djademie,
Spowita na wzór mumji, a jednak ruchawa;

Końska grzywa z jej głowy wisząca po ziemię,
Na zielono kraszona, chwiała się jak trawa.

A ten „Monolog Wandy?“ Ten nie pod wieśniaczą
Rodził się strzechą, nawet nie pod żadnym dachem,
Lecz tam, na spiekłym stepie, gdzie gnany postrachem,
Tłum dwudziesto-tysięczny uciekał z rozpaczą.

Symbirsk pali się! Straszno. Gdy wiatr skosem zatnie,
Huragan ogniem lata, szaleją żywioły.
Dzwony szesnastu cerkwi biją. Aż ostatnie
Zcichły, — ostatnia cerkiew runęła w popioły.

Wojska bębnią i trąbią, — to hasło odwrotu.
„Ludzie, wychodźcie z miasta!“ Chwila sądnej grozy.
Wychodzą, rozkładają na polach obozy.
I my nawiązujemy coś nakształt namiotu.

Budka z kufrów, opięta derką i rogożą.
Tam siedzimy. Czczość głucha po wnętrznościach smaga.
Śmierć głodowa zagraża, — gorsze śmierci grożą.
Ale Ty jesteś przy mnie, więc jest i odwaga.

Miasto gore, step gore, już chwyta nas w dymy.
Codzień dalej cofamy błędne koczowiska,
Wiążemy nową jurtę. Wieczór, u ogniska
Warząc okruchy strawy, o kraju gwarzymy.

Niekiedy nawet, wolna od zmienności losów,
Muza i tam zagląda, wprasza się ze słówkiem.
Ja piszę na kolanie podróżnym ołówkiem,
Pod kopułą miedzianą płonących niebiosów.

* * *

Tak, dziwny ten rękopis, unoszony z burzy,
Z tumanów i wylewów, śnieżyc i pożogi,
Zmienił się na palimpsest, na „Dziennik podróży“
Tylko dla mnie czytelny, — i stał mi się drogi.

Tém droższy mi, że na nim tylekroć spoczęły
Twoje oczy. Ta xięga była Ci przyjemną.
Może najprzyjemniejszą między memi dzieły.
Ty nad nią całém sercem pracowałeś ze mną.

Cudnie-ż nam przy téj pracy płynęły wieczory!
Tu, pamiętam, wyrzekłeś: „Ten wiersz się wykréśli —
„Tamta scena żywszemi zabarwi kolory.“
Ówdzie się uśmiechnąłeś z niedojrzałej myśli.

Przy każdej twardej rafie, przy każdej mieliźnie,
Kierowałeś mą łódką, Sternik dobréj rady!
Tej kochanej pomocy świecą się tu ślady,
Jak rosa gdy na listek brylantami bryźnie.

Są tu natchnienia żywcem wyszłe z duszy Twojéj,
Z tej duszy gdzie ślub wzięły Poezja i Cnota.
Sypałeś mi bez liczby szczere płatki złota,
A ja je naszywałam jak łuskę na zbroi.

Potém, giętki ów pancerz „Wandzie“ przymierzywszy,
Patrzyliśmy we dwoje czy jéj w nim do twarzy?
O czasie słodkich zwierzeń, od szczęsnych szczęśliwszy,
Serce moje na wieczność innego nie marzy!

* * *

Później... kiedy wstąpiłeś w jasności początek,
A dla mnie nastał koniec szczęścia na tej ziemi,
Gdy mój alkierz się ubrał relikwiami Twemi,
Włożyłam i tę xięgę do arki pamiątek.

Nie chciałam się z nią rozstać. Strzegłam jej, zazdrosna,
Przed chłodnemi oczyma, złośliwemi szpony.
Już nad „Wandą“ dwudziesta przesuwa się wiosna,
Ja jeszcze z niéj nie zdjęłam dziewiczéj zasłony.

Jednak, czas we drzwi puka, — zadumaną budzi, —
I w sercu mi głos jakiś, (może Twój?) powtarza,
„Iż pieśni są dla rzeszy a nie dla pieśniarza.“
— Niech-że więc i ta xięga idzie między ludzi.

Tylko, zanim ją fala niezwrotna zabierze,
Pozwól niech jéj kwiatami Twój ołtarz opaszę.
Tobie się one, Ojcze! należą w ofierze,
Bo ten wianek, to dzieło nie moje lecz nasze

Pisałam w Warszawie, w Maju, 1884 r.

OSOBY:

Wanda — *zięźna Lechicka i Chrobacka.*

Niebosz, *kapłan bożka Lela.*

Własta (*Czeszka*), **Tomiła**, **Płomniewa**, **Bożenna**, **Czesława** — **Rycerki Lechickie.**

Waligóra, **Wyrwidąb,** *brat jego*, **Stanisław** — **Wodzowie Lechiccy.**

Żupan Śrebrzonka, **Starosta Ziółko**, **Władyka Latoś** — **Starcy**

Zbigniew *młody wojownik Lechicki.*

Poseł Mazowiecki.

Rybak.

Rytygier, *zią̄że Niemiecki na wyspie Rugji.*

Najwyższy kapłan *bogini* **Herty**.

Hakon *brat Arcykapłana*, **Olaf**, **Godfryd**, **Teobald** — **Wodzowie Niemieccy**

Świętosław, *słowiański ziąże Karency na wyspie Rugji, — jeniec Rytygiera.*

Naczelny Poseł *Niemiecki.*

Giermek *Rytygiera.*

Jasna, **Pomna**, **Żywna**, **Senna**, **Zielna**, **Śpiewna** — **Białoxiężnice** *czyli* **Białe Xienie**

Piorunna, **Lekka**, **Wróżna**, **Skarbna**, **Mroczna**, **Wabna**, **Złudna** — **Czarnoxiężnice** *czyli* **Czarne Xienie.**

Wojownicy Lechiccy — Rycerki Lechickie — Rycerze Niemieccy—Kapłanie — Posłowie— Grajkowie — Strażnicy Lud.

Prolog *odbywa się w Karpatach, w dolinie Kościeliskiéj.* — **Akt drugi** *w Rudgardzie na wyspie Rugji.* — **Cztery inne Akty** *w Krakowie i jego okolicach.*

Rzecz dzieje się w początkach VIII-go wieku.

PROLOG.

PROLOG.

Dolina Kościeliska, *w miejscu gdzie stoi skała zwana* **Pisaną.** *Przez środek sceny, ukośnie, pędzi wspieniony Dunajec. Na nim głazy i pnie stanowią w kilku miejscach przejście. Po obu stronach skały o najdziwniejszych kształtach. Ze szczelin wychylają się drzewa i wiszące rośliny. Wyżéj łączka na któréj się pasie trzoda. W głębi dzikie szczyty i kilka smug śniegu na nich.*

Pięć **Białych Xień,** *ubranych podobnie do góralek, zupełnie biało, w wieńcach z różnych kwiatów na głowie, owiniętych w długie białe rąbki, — przy podniesieniu zasłony tworzy malowniczą gruppę.*

W głębi **Pomna** *(z siwemi włosami) stoi przed skałą* **Pisaną,** *i ostrém narzędziem kreśli na niéj runiczne znaki.* **Żywna** *bawi się z barankiem i trawę mu daje.* **Senna,** *z czołem opartém o rękę, siedzi na głazie i patrzy w wodę.*

Po drugiej stronie:

Zielna, *siedząca na urwisku, przegląda pęk roślin, z których jedne odrzuca, inne kładzie do koszyka.*

Na przodzie **Śpiewna,** *stoi oparta o skałę i śpiewa.*

SCENA I.

ŚPIEWNA.

Wróżbiarka w gniewie rzekła niespodzianie:
„Bodaj zkamieniał!“ Oj, złe zaklinanie!
W sercu zkamieniał. Kamieniem zostanie.
Próżna jej żałość, próżne czarowanie.
Klątwa nie-złudną, — ale odkląć trudno.
Co stało się, nie odstanie.

Ciekawy góral szedł na wędrowanie,
Biały chleb jadał na niejednym łanie,
Żaglami latał nad morskie otchłanie,
Aż wrócił w góry. Krótkie powitanie!
Morze przepłynął, — na Dunajcu zginął.
Co ma się stać, to się stanie.

POMNA.

Może i prawdę śpiewasz. Dziś się przekonamy,
Czy zawsze, co ma być, będzie?
— Gdzież nasza Wanda?

ZIELNA.

Próżno szukałyśmy wszędzie.

SENNA.

Jeszcze Jasna jej szuka.

ŻYWNA.

Ależ, giemzie samej,
Ptakom, byłoby trudno w Tatrach gonić za nią.
— Nieraz widzę: godzinę stoi nad otchłanią,
Jakby się z jej duchami mocowała wzrokiem.
A straszne są to duchy: wabią, aż pochłoną.
— Nieraz, gdy wicher nagle powinie obłokiem,
Patrzę: stoi na szczycie, na który mówiono
Że człowiek wejść nie może. Nie ja wam wyjawię,
Jak weszła, lub jak zchodzi? Gdy ja bezprzytomnie
Drżę, i zakrywam oczy, — ona już koło mnie.
— Jak Senna chodzi we śnie, tak Wanda na jawie

ZIELNA.

I choć królewska córka, w pieszczocie chowana,
Lepiéj trud wytrzymuje niż proste góralki.
Mogłaby wieść w obozach żywot ciągłéj walki.
Wcześniéj od nas, na hale wybiega od rana,
Ostatnia w noc czuwając, wczytuje się w runy,
A przecież kwitnie rzeźwo jak dziki krzew róży.

ŚPIEWNA.

Gdy co żyje, ucieka przed napadem burzy,
Ona idzie na przestrzał pomiędzy pioruny,
Bóstwa gór wywołuje.

SENNA.

Lecz otóż i one.

SCENA II.

Jasna, *w wieńcu na głowie, a za nią* **Wanda**, *także w bieli, ale bez wieńca, schodzą stromą ścieżką od prawéj strony.*
Wszystkie idą na jéj spotkanie.

POMNA.

Witaj-że nam!

ŚPIEWNA.

Musiałaś spotkać Dziwożonę,
Że cię zbłąkała w pustkach?

WANDA.

Bądźcie pozdrowione!
Szukałyście daleko a byłam tak blizko.
Wskazuje na prawo.
Tam, odgarnąwszy zieleń co wejście zarasta,
Otwiera się szczelina wyżłobiona ślizko,
Jak zawrotna ulica zaklętego miasta.
Z dwóch stron obudowana gmachami z opoki,
Prowadzi do okręgu, co jest nakształt placu
W tym grodzie. W koło stoi pałac przy pałacu,
A wszystko z żywéj skały. Zmrok i chłód głęboki.
Tam coś wyższego mieszka! Nieraz najwyraźniéj
Czuję obecność istot, co szeptem przyjaźni,
— Choć niewidne dla oka, — dają mi przestrogi
To téż miejsce to lubię jak rodzinne progi,
Zwę je moim Krakowem.

POMNA.

Więc ci żal Krakowa?
Tęskno do ludzi? Któżby zganił to? Mów śmiało.

WANDA, *po namyśle.*

I tak!, — i nie. — Zarówno szczere oba słowa.
Dawniéj, ach! serce moje do ojca się rwało.
Teraz do kogo rwać się, gdy on w zimnéj ziemi?
I wszak to ojciec w waszém umieścił mię kole?
Szczęśliwy, komu dano pełnić zmarłych wolę!
Zagrobne posłuszeństwo jeszcze wiąże z niemi.

Zostali bracia... Czasem do brata Krakusa
Tęskno mi. Lecz on, wątpię by tęsknił wzajemnie.
Narodowi ojcuje, — szczęśliwy bezemnie.

A i mnie, matki moje, w pośród was tak błogo!
Cóż doliny, cóż ludzie więcéj mi dać mogą?
Po chwili.
A jednak czasem, rwąca chwyta mię pokusa:
Zejść do żywych, i błysnąć takim wielkim czynem,
By ojciec z grobowego zerwał się posłania,
I nazwał mię, nie córką, ale trzecim synem.

ŚPIEWNA.

Wando, to nie pokusa, to głos powołania.

WANDA.

Bo i na cóż-by w duszę, jak w skiby zagonu,
Siać mądrość, gdyby ludziom nie miała dać plonu?
Wszak i wy zstępujecie niekiedy pod strzechy,
By zanieść zbawcze zioła, rady i pociechy?

Prawda, że co wam wolno, to nie mnie. — Dziecięcy
Pączek, będzie-ż się równał z gałązką dojrzałą?
Mnie uczyć się, i czekać. — Im człowiek zna więcéj,
Tém wyraźniéj dostrzega, jak jeszcze zna mało.

Zupełnie jak tu w górach: kiedy patrzę z hali,
Zda mi się, że już oczy nie mogą pójść daléj.
— Niech wejdę na wierzchołki, dopieroż na igły,
Zdobywam widok pierwéj oczom niedościgły,
Dłużéj cieszę się blaskiem wschodnim i zachodnim.
— Im człowiek bliżéj nieba, tem świat większy pod nim.
I tak bez końca.

POMNA.

Prawda, — lecz u każdéj góry,
I w każdéj duszy ludzkiéj, jest szczyt, po-nad który
Już wyżéj pójść nie można. — Ty, na swoim szczycie
Stanęłaś. Może jeszcze podniesie cię życie,
Ale my, ciebie więcéj już nie nauczymy.

WANDA.

Jakto? Wy, matki wiedzy, wy, duchy-olbrzymy,
Już nic nie macie dla mnie? Opuścić mię chcecie?

POMNA.

Nie my cię opuścimy, o cudowne dziecie!
Lecz ty może odejdziesz.

Wanda daje znak przeczący, Pomna jéj przerywa.

Wszak wszystkie koleją
Brałyśmy cię w opiekę? Mówcie, jeśli która
Zna tajemnice ziemi, nieba lub otchłani,
O jakich jeszcze nie wié Krakusowa córa,
Niech je przed nią objawi, a spieszno, — bo dla niéj
Kończą się lata dane na wtajemniczenie.
Dzisiaj, Xień wychowanka, przemieni się w Xienię.

Xienie otaczają Wandę półkolem.

ZIELNA.

Na doliny, każdéj wiosny i każdéj jesieni
Szłam, by z Wandą zbierać kosze nasion i zieleni.
Ile w kłosach jest zasobu na chléb i na życie,
Ile w ziołach płynie soków zdrowia lub trucizny,
Ile w kwiatach leży czarów na serca zdobycie,

Ile w drzewach mieszka bogów strzegących ojczyzny,
Wszystko Wandzie objawiłam. Tatry, zaświadczycie!

ŻYWNA.

A ja z Wandą aż na hale chodzę w letnim skwarze.
Trzoda dróżki nam wskazuje, mleczywem nas żywi.
— Czary zwierza domowego co znają owczarze,
Tajemnice leśnéj dziczy co znają myśliwi,
Język wróżby i przestrogi brzmiący w ptasim śpiewie,
Wszelkie cuda w tém co żyje, sam już cud *że* żyje,
Wszystko Wandzie objawiłam. Jeśli usta czyje
Więcéj wiedzą, niech powiedzą. Żywna więcéj niewie.

POMNA.

Gdyśmy przędły u ogniska, w zimowe wieczory,
Ja głosiłam naszéj Wandzie dawnych wieków chwałę.
Dziś wié, czemu przeciw czarnym walczą bogi białe, —
Jakie kryją się w jaskiniach skarby i potwory,—
Jakich cudów dokazali rycerze niezłomni,—
I kto władał po kolei nad Wisłą kochaną.
— Wszystko co ta ziemia pomni, i co naród pomni,
Siwa Pomna ci oddała jak wiekowe wiano.

JASNA.

Ja, po górach błądząc z tobą w ciche letnie noce,
Wskazywałam ci, co mówi nieba twarz świecąca —
Jaka gwiazda ludziom dobrze, jaka źle migoce —
Jak się rolnik winien radzić zmiennego miesiąca —
Jakie tęcza na obłokach pisze przepowiednie —
Jak to, co ma być na ziemi, pierw się staje w niebie.
Znasz i swoją wielką gwiazdę. — Jeżeli dla ciebie
Skryłam jeden tajnik nieba, niech mi słońce zblednie.

SENNA.

Ja ci z rana, także nocne tłumaczyłam dziwy,
Lecz nie w gwiazdach, tylko w owéj krainie proroczéj
Snów i widzeń, gdzie majaczy naród mar pierzchliwy,
I gdzie przyszłość można widziéć zamkniętemi oczy.

— Dałam tobie oba klucze tych zaklętych progów;
Teraz mądrze już rozeznasz, jakie sny pokusne
Od fałszywych duchów idą, a jakie od bogów.
Jeśli który cię omyli, niech na zawsze usnę.

ŚPIEWNA.

Ja, i rankiem i wieczorem, i w zimie i w lecie,
Wyuczałam cię piosenek, smutnéj i wesołéj.
Téj co rolnik sobie nuci gdy popędza woły, —
Téj co druchna wyśpiewuje gdy rozmaryn plecie, —
Téj co huczy, gdy waleczni zwycięztwo odnieśli, —
I téj, którą lud w świątyniach gniew niebiosów kruszy.
— Jakie pieśni są pod słońcem, wszystkie znasz, — a jeśli
Znajdziesz nową, to ją chyba wyjmiesz z własnéj duszy.

Chwila milczenia.

WANDA.

Między wami, trzy lata zbiegły mi jak chwile.
Wiem to, o czém nie śniłam. I nieraz truchleję
Pytając, za co *na mnie* spada łaski tyle?

JASNA.

Na tobie nasze wszystkie kładziemy nadzieje.

WANDA.

Na mnie? Jakie nadzieje?

POMNA.

Nie pierwsze my Xienie.
Od wieków żyły białe dziewice w Karpatach,
Co sobie podawały mądrość i natchnienie,
Zdobyte życiem twardém i surowém. — W latach
Bardzo dawnych, tak dawnych, że już zapomniano
Imienia owéj wróżki, była Xieni Biała,
Co w chwili zachwycenia wróżbę wyśpiewała,
I na téj oto skale wyryła, — a skała
Odtąd się między nami nazywa: *Pisaną.*
— Tylko patrz, tam wysoko.

Białe Xienie *wstępują na urwiska, i rozsuwają zarośla, które obwisły na wyższych częściach skały.*

ZIELNA.

Odsuńmy z ostrożna.
Gdzie-nie-gdzie dészcz wypłókał, mech zasuł napisy.

ŚPIEWNA.

Jednak czas, coraz głębiéj wyżłabiał te rysy,
I, wpatrzywszy się długo, wszystko poznać można.

Wanda *długo się wpatruje, a następnie zaczyna ze skały czytać.*

WANDA *powoli czyta.*

„Gdy rodzic, smoka strasznego pokona,
„Córka pod skrzydła przygarnie orlęta.
„Będzie przez wieki pobłogosławiona,
„Albo na wieki wyklęta.

„Jeśli zachowa kalinowy wieniec,
„Boginiom z niego wykwitnie pociecha.
„Jeśli go weźmie zamorski młodzieniec,
„Lechowie zapomną Lecha.

Zamyśla się. — Chwila milczenia.

POMNA.

Ileż to Xień, od wieków, czytało z téj skały,
Chcąc odgadnąć proroctwo!

ŻYWNA.

I próżno czytały.

POMNA.

Aż oto, gdy nas doszła wieść, że pod Wawelem
Krakus walczy ze smokiem, i jest rodzicielem
Córki, co niepodobna do rówiennic grona,
Zawołałyśmy wszystkie: „Ach, może to ona!“
I wysłały z nas jedną.

WANDA.

Tak, Jasna przybyła.

JASNA.

U stroskanego ojca zażądałam córy.
Musiał w końcu zrozumieć że mię niebo zsyła,
Gdy mi Wandę powierzył.

WANDA.

I przyszłyśmy w góry.

POMNA.

Teraz, rozumiesz czemu? Widzisz jak się jasno
Początek przepowiedni zgadza z losy twemi.
Spełnić jéj zakończenie, to już twoją własną
Będzie pracą i chwałą.

ŚPIEWNA.

Aż dotąd, na ziemi,
Niewiasta zawsze słucha, mąż prawa stanowi.
Kiedyś, może niewiasta dorówna mężowi?
O tém tylko marzyły wszystkie Białe Xienie

POMNA.

Przyszedł czas! Co świtało w innych jak marzenie,
Ty masz ludziom objawić, ty masz dowieść w czynie,
Ty, jak mówi proroctwo: „pocieszysz boginie.“

ŚPIEWNA.

Jak to spełnisz? Nie wiemy. — Gdy chcą wyższe moce,
Wypadki same ludziom idą na spotkanie.
Co ma się stać, to się stanie

SENNA.

I stanie się niedługo. Już mię przez trzy noce,
Nachodziły sny wieszcze. — Widziałam, jak pała

Siedem gwiazd; z tych najmniejsza powoli spadała,
I znagła, całą ziemię zajęła pożarem.
— Znów ujrzałam, jak w locie, orły i sokoły,
Wandę z gór nam porwały, niosły na rozdoły,
Aż skrzydła w ręku Wandy stały się sztandarem.
— Téj nocy, nad jéj czołem widziałam ogromny
Krąg światła. — Więc od rana przybiegłam do Pomny,
I rzekłam: „Dzisiaj Wandę wyświęćmy na Xienię,
„Bo już ją ku dolinom woła przeznaczenie.“

Chwila ciszy.

ŚPIEWNA.

Każda z nas, porzuciwszy swoje dawne miano,
W górach przybrała nazwę tylko Xieniom znaną.
Jakże nazwiemy Wandę?

POMNA.

Nazwijmy jak żadną.
Jeśli ma dzieło spełnić, niebiosa jéj dadzą,
Jaśnieć tém, czego żadna z nas nie miała: władzą.
Więc dla nas niech będzie Władną.

Kładzie ręce na głowie Wandy, która się pokłania.

WSZYSTKIE XIENIE.

Witaj nam, Xieni Władno!

WANDA *podnosi ręce ku niebu.*

Dzięki wam, boginie!
Za tyle łaski, niedość oddać życie całe!

JASNA *bierze ją za rękę.*

Nie raduj się tak dziecię... Czyż wróżba, jedynie
O powodzeniu mówi? Spojrz jeszcze na skałę:
Wszak tam przy chwale, grozi ci niebezpieczeństwo?
Prorokini się waha, czy błogosławieństwo,
Czy ma ci rzucić...

Zatrzymuje się.

WANDA *dokończa posępnie.*

Przekleństwo.

JASNA.

Gdyby zamorski młodzian...

WANDA *z żywością.*

Jeśli tylko tyle.
Grozi niebezpieczeństwa, dziś jeszcze, za chwilę,
Usunę je z méj drogi. Tu, przysięgę złożę,
Iż nigdy, żaden młodzian...

JASNA.

Któż przysięgać może
Za serce?

POMNA.

Ty, młodziuchna, nie wiesz czém jest życie!
Jakie zastawia sidła!

JASNA.

Ach, słuchaj przestrogi!

ŻYWNA.

Lel, bóg miłości, straszny ponad wszystkie bogi.

WANDA.

Ależ i wy się jemu zwycięzko bronicie?

POMNA.

My? Tak, — z nas każda żyje samotna i biała,
Lecz żadna nie przysięgła.

ŚPIEWNA.

Przysiądz-by nie śmiała

JASNA.

Nie ślubuj, — tylko sercą strzeż nieutrudzenie,
I pamiętaj na wróżbę!

POMNA.

Kończmy wyświęcenie.

ZIELNA.

Wszystkie Xienie, prócz Wandy, kwiatami zwieńczone.
Pójdźmy na łąkę, splećmy i dla niéj koronę.

Xienie *odchodzą.* **Wanda** *idzie za niemi ostatnia.—Nagle się wraca i zostaje sama na scenie.*

SCENA III.

WANDA.

Trwożne niewiasty! Chciały skrępować mi wolę!
„Nie ślubuj." — Jak się wahać, kiedy oto w dłoni
Trzymam całych pokoleń dolę lub niedolę?
— Od pierwszego natchnienia niech się nikt nie broni.

Przez chwilę patrzy w niebo, potem pada na kolana.

O Dziewanno,
Biała panno
Co splatasz wianki dziewczęce,
Oto wchodzę w twój zakon zkąd już wyjścia niéma.
Żaden śmiertelnik serca Wandy nie otrzyma.
Sprawie bogiń, to serce bez skazy poświęcę.

Słyszycie mię boginie? Zapiszcie mój ślub!
Przysięgam, żyć i umrzéć z kalinowym wiankiem.
Duchu mego narodu! Ty bądź mi kochankiem!
Tobie ślubuję miłość, wierną — aż po grób.

Z chmur wiszących w głębi doliny, wysuwa się postać obłoczna, która przepływa po Dunajcu, podnosi rękę i we mgle się rozprasza.

Wanda, *ciągle klęcząca, wpatruje się długo, potém słania się i pada bezprzytomnie.*

Chwila ciszy.

SCENA IV.

Wracają, **Zielna** *niosąca wieniec, za nią inne* **Xienie**.

ZIELNA.

Wando, co tobie?

WSZYSTKIE *zmieszanemi głosami.*

Wando! Drogie dziecię!

Otaczają **Wandę**, *ta się ocuca, i do koła ogląda.*

WANDA.

Gdzie on?

POMNA.

Kto taki?

WANDA.

On. — Ach... wy nie wiecie
Teraz, choćbym przez wieki żyła, nieustannie
Będzie mi stał przed oczyma,
Gdy rękę podniesioną ku mnie, o tak, — trzyma.
Krótkie milczenie.
Słuchajcie: ślubowałam przed chwilą Dziewannie.

ŻYWNA.

Już? O niebaczna!

POMNA.

Straszne-ś ty pęta włożyła.

WANDA.

Ach, nie mówcie tak! Musi niebiosom być miła
Przysięga, co z nich zaraz odpowiedź otrzyma.

— „Nikt mi inny“ przysięgłam „kochankiem nie będzie,
„Tylko Duch narodu —“
I wnet, jak trąba powietrzna w rozpędzie,
Jak słup przezroczy ze światła i z lodu,
Z szumiącą falą u nóg,
Z oślepiającym blaskiem w koło głowy,
Stanął przedemną jakiś duch, czy bóg?

ŚPIEWNA.

Był-że to duch którego wyzwałaś zuchwała,
Duch narodowy?

POMNA, *zamyślona.*

Może cień Lecha?

WANDA.

Niewiem, — lecz jam go widziała
Tak jak teraz was widzę.
Przesuwa rękę po czole.
Nie, — jeszcze inaczéj.
Mniéj wyraźnie, a jaśniéj. — Te barwy, te ruchy,
Ten blask... próżno i mówić! Któż to wytłumaczy
Oczom, które nie były wezwane na świadki?

SENNA.

Oczami ducha można widzieć duchy.
Dar to potężny, dar rzadki
Muszą cię kochać nieśmiertelne siły,
Gdy oczy ducha *dziś* ci otworzyły.

WANDA.

I uśmiechnął się do mnie! Aż mu kwitło lice!
A potém, rękę wyciągnął zdaleka,
Jak człowiek ściąga rękę do człowieka,
Kiedy od niego bierze obietnicę.

SCENA V.

Z głębi doliny słychać zgiełk i zbliżanie się ludzi zbrojnych Po chwili pokazuje się **Góral**, *za nim wchodzą:* **Wyrwidąb Stanisław**, *kilku wojowników i kilku starców.*

GÓRAL.

Tędy... Otóż są!

Ucieka i chowa się za mężami.

WYRWIDĄB.

Same niewiasty!

STANISŁAW.

To ona!

GŁOSY MIĘDZY MĘŻAMI.

Znaleźliśmy nakoniec i ją!

STANISŁAW.

Jaka od niéj
Bije światłość i białość!

WYRWIDĄB.

Od kilku tygodni
Szukamy cię w tych górach. Bądź nam pozdrowiona,
Xiężno Lechickiéj ziemi!

WANDA.

Jak mówicie? Xiężno?
Wszak mój brat, Krakus, xięciem?

WYRWIDĄB.

Brat Krakus nie żyje.

Wanda cofa się z przerażeniem. — Chwila milczenia.

WANDA.

Ale gdzież mój brat młodszy?

STANISŁAW *do Wyrwidęba.*

Ach, nie mów jéj, czyje
Ręce spełniły zbrodnię...

WYRWIDĄB.

Jeśli nie jest mężną
Niewarta rządów.

Do Wandy.

Młodszy, — z kraju wywołany.
Ten brat był... bratobójcą.

Wanda *zasłania twarz rękami.*

WYRWIDĄB *po chwili.*

Gdy zadaję rany,
To jednêm cięciem, — ale mam i balsam na nie.
Naród nasz, tak ukochał pamięć Krakusową,
Że w pierwszych wiecach, ciebie okrzyknął królową.

STANISŁAW.

Przestań... ona jak martwa...

POMMA.

Przyszło powołanie.

SENNA.

Nadleciały sokoły!

ŚPIEWNA.

Co ma stać się, stanie.

Wanda *nagle podnosi czoło, z rąk* **Zielnéj** *bierze wieniec i kładzie go na głowę.*

WANDA.

Nie teraz chwila na żale i troski.
Skończył się dla mnie ranek życia boski!

Idźmy do ludzi, — tam bój, — tam cierpienie.
Marzyć na górach — a walczyć w dolinie.
Wy, błogosławcie mię Xienie!
Wy mię prowadźcie, boginie!

Wanda *wychodzi – za nią Xienie, wojownicy i starcy.*

SCENA VI.

W chwili gdy scena zostaje pusta, na skale pokazuje się Czarnoxiężnica **Piorunna**, *w szacie jaskrawéj, czarnym płaszczem po wierzchu owiniętéj*

PIORUNNA *stanąwszy na brzegu urwiska i grożąc ręką za odchodzącemi.*

Wszystko jéj służy, do rąk samo płynie.
Tylko puściłaś, Wando, w zapomnienie,
Że oprócz białych, są czarne boginie!
Prócz Białych, są Czarne Xienie!

Znika.

Akt pierwszy.

AKT PIERWSZY.



Plac wiecowy *pod bramami Krakowa.— W głębi, rozłożysty* **dąb**. *Pod nim okrągłe* **siedzenie kamienne**. *Po dwóch stronach stopnie darniowe, w amfiteatr spiętrzone. Pod dębem, na kamieniu, siedzi* **Wanda** *w długiéj szacie, z pancerzem na piersiach. Po obu stronach, na stopniach darniowych, siedzą* **Dziewice Rycerki.**

SCENA I.

Wanda, Tomiła, Własta, Płomniewa, Bożenna, Czesława *i inne.*

WANDA.

Dziwne marzenia, zuchwałe żądanie,
Jak sen mię niegdyś goniły w Karpatach.
Ach, czyż sądziłam, że po siedmiu latach,
Już sen mój prawdą się stanie?

Świat ujrzał cuda odwagi dziewiczéj.
Na jéj sztadarze sto wieńców powiewa.
Drżą wrogie ludy, i niejedna dziewa
Mniéj wiosen jak zwycięztw liczy.

Orlicom, orły dziwią się zazdrośnie.
Kraj swe granice zwierza ich obronie.
I oto siadam w bohaterek gronie,
I serce mi z dumy rośnie.

Po chwili wahania.

Czeka nas walka większa... choć nie krwawa
Nim oręż nowy do serc wam przypaszę,
Dzięki wam siostry, bo to dzieło wasze.

WŁASTA.

Nie, Wando, to twoje.

CHÓR.

Sława!

WANDA.

Cóżeście dotąd z myśli moich znały?
Maskę ich tylko. Dziś, gdy nas tak szczerze
Złączyła wspólność twardych prób i chwały,
Najskrytsze myśli wam zwierzę

Będziecie mojéj dziwiły się mowie.
Słusznie. Tém słuszniéj, że przemawiam zbrojna.
Jednak, słuchajcie: — nie, nic białogłowie
Mniéj nie przystoi, jak wojna.

WŁASTA.

Ty nam to mówisz rycerska królowo?
Ty! Gdyby inna tak przemówić śmiała,
Miecz-by mój cofnął do ust jéj to słowo.

JEDNA Z RYCEREK.

Na cóż się zdadzą nasz trud, nasza chwała,
Gdy ty je zdepczesz?

CZESŁAWA.

Na to-ż więc, o xiężno,
Dziewki spędzałaś w gromadę orężną,
Zapał niecіłaś, aż wybuchnął stosem,
By dziś, szyderskim ostudzić go głosem?

PŁOMNIEWA.

Wando! Choć zwykle ja samotna stoję,
Dziś z tobą trzymam. Święte słowa twoje.

O tak! Nie dla nas ta krwiożercza chwała.
Miecz jest potworny u ręki niewieściéj.
Lecz także pytam, czemu-żeś go dała?

WANDA.

Czemu? Słuchajcie króciutkiéj powieści.
Chwila milczenia.
Był jednego razu chłopek straszliwie nieśmiały,
Jak to zwykle człek ubogi. Nie posiadał roli.
Ojce jego ją straciły, lub nigdy nie miały.
Myślał, myślał, i w świat poszedł szukający doli.

Zaszedł na bogate pola. Zboże aż się tłoczy.
Jedni sierpem je ścinają, drudzy wiążą w snopek.
A gospodarz liczy wozy, śmieją mu się oczy.
Widząc to, gorzkiemi łzami zapłakał nasz chłopek.
„On ma tyle, ja nic niemam! Cóż nieszczęsny zrobię?
„Czy do gospodarza pójdę i poproszę śmiało:
„— Daj mi snopów tych połowę?“
Chwila milczenia.
Jakby wam się zdało?
Śmiech między Rycerkami.

BOŻENNA.

Tamten rzekł-by: „No mój bratku, zapracuj-że sobie.“

WANDA.

A widzicie. Więc i chłopek roztropnie umilka.
O sierp tylko ich poprosił, pracy jął się żywo,
Chociaż była ciężka. — Za to, gdy skończono żniwo,
Gospodarz i nieproszony dał mu snopów kilka.
Co kilka, to nie połowa. Tak, — lecz na zaczęcie,
I to dobre. Niech parobek pracuje zawzięcie,
A z latami coraz lepszéj dosłuży się pracy,
Aż sam kiedyś gospodarzem osiądzie na łanie.
Kto chce udział mieć w korzyściach, niech ma udział w pracy.
Kto wszystkiego chce od razu, ten nic nie dostanie.
Chwila milczenia.
Skończyłam.

TOMIŁA.

Łatwo zgadnąć, co przypowieść znaczy.

PŁOMNIEWA.

Łatwo? Ja nie wiem.

TOMIŁA.

Chłopek szukający doli,
To my niewiasty.

JEDNA Z RYCEREK.

Chłopek to my?

TOMIŁA.

Nie inaczéj.
W gospodarstwie narodu my nie mamy roli.

WŁASTA.

Ha tak! Bo nam ją wzięli!

TOMIŁA.

Wzięto czy nie wzięto,
Ja wiem, że dziś ją tylko pracą odzyskamy.

WANDA.

Tomiła myśl mą widzi aż do głębi saméj,
Jak mędrzec czyta płynnie tablicę naciętą.
— Tak, ród mężów jest wielkim gospodarzem kraju.
Przyszło im to z zasługi, przeszło do zwyczaju.
— Teraz, powiedzcie same: gdybym niespodzianie
Rzekła: „Niech mąż z niewiastą równo się podzieli
„Prawem, sądem, i władzą.“ Wszak by się rozśmieli?
Mówiąc jak wy przed chwilą: „Zapracujcie-ż na nie.

CZESŁAWA.

Tak, co prawda to prawda.

WANDA.

Więc sierp wojowniczy
Sama w rękę wam dałam, ach nie na to przecie,
By was do krwi zaprawić, podciąć kwiat słodyczy,
I piersi wasze nalać huciami zdobyczy,
Lecz na to abym kiedyś, — gdy snopy zwiążecie, —
Mogła jak przodownica wiankami krasiwa,
Postawić was przed mężów dożynkowém kołem,
I odezwać się do nich ze śmielszém już czołem:
„Tym które żęły z wami, oddajcie część żniwa.“

BOŻENNA.

Ach kiedyż ten dzień przyjdzie?

WANDA.

Już on niedaleki.
Siedem lat, dzięki waszym trudom i odwadze,
Więcéj go przybliżyło niż minione wieki.
— Tak, już na przyszłe Wiece żniwiarki wprowadzę,
I zażądam praw nowych dla nowéj zasługi.

Lecz żądajmy powoli. Chciwości ni dumie,
Nie puśćmy twardych cugli. Kto przez czas tak długi
Nie umiał się upomnieć, niech-że czekać umie.

Jeśli na pierwszych Wiecach dadzą nam po miarce,
Ach, co mówię? po ziarku, już dziękujmy szczerze.
Z Wiecu na Wiec, z latami, bujny plon się zbierze,
Aż może kiedyś, w wielkiéj kraju gospodarce,
I ród niewieści własne zdobędzie zagony.

My już nie zobaczymy téj chwili marzonéj!
Takie dzieło trwa dłużéj nad życie człowieka.
- Uczci nas pokolenie co żniwa doczeka.

CHÓR *oprócz Własty i Płomniewy.*

Pracujmy dla przyszłych lat.
Szczęsna która plon spożywa,

Lecz i ta jakże szczęśliwa,
Która w pączku widzi kwiat!

WŁASTA, *zrywając się.*

Oh! Czyż mogłam przypuścić?...
Nagle przerywa i znów siada.

WANDA.

Chciałaś mówić Własto?

WŁASTA.

Zamilknę. Wiem że karność przystoi rycerce.
Wiem żeś ty mędrsza od nas, nadludzka niewiasto!
A jednakże nie mogę... nie... wzdryga się serce.

WANDA.

Z wszystkich moich rycerek, córo czeskiéj ziemi,
Ty-ś jest najwaleczniejszą. Mówię to przed niemi,
Wiem że ich nie obrażę prawdą tak uznaną.
Wszak i w ostatniéj bitwie, ty spadłszy na wrogów,
Chorągiew ich wydarłaś, — porwałaś wygraną, —
Byłaś jak błyskawica niosąca gniew bogów.
I ta by się nie miała odzywać na radzie?
Czy berło w mojém ręku tak ciężkie, że kładzie
Tamę prawdzie?

WŁASTA.

Więc powiem co Władstę obrusza.
Na widok przyszłości *takiéj*,
Buntuje się we mnie dusza.
Więc na to nas wołałaś pod wojenne znaki,
Otwierałaś nam oczy na gromy i blaski
Co nam były zakryte domowém poddaszem,
Na to, by w imieniu naszém
Żebrać litości mężów? Otrzymać jak z łaski,
To co nam z prawa przypada?

Sądziłam, i niejedna przypuszczała ze mną,
Że na obcych zaprawiasz białogłowy zbrojne,

Aż utworzysz z nich wojsko straszne jak zagłada,
Ogłosisz zemstę do dziś dnia tajemną,
I mężom wypowiesz wojnę!

CHÓR.

Takie przeczucia i nam się roiły.

WADNA.

Któż wieczne prawo przyrodzenia złamie?
Słabsze u niewiast niż u mężów ramie.
Kto dobrze niewieście życzy,
Niech jéj nie radzi nigdy: „Idź do bogów siły.“
Tam ona zawsze przegra.

WŁASTA.

A tyle zdobyczy,
Bitew tyle wygranych przez twój huf dziewiczy?
O Wando! nie wątp o nas. To niewieście ramie,
Które między obcemi nieść umiało klęski,
I tu w domu się wyłamie
Z pod przemocy mezkiéj!

WANDA.

Usta twoje igrają ze słowami szału,
Lecz serce twoje chyba nie ma w nich udziału.
Z kim-że nam każesz walczyć? Tu ojcowie czczeni —
Tam drodzy małżonkowie — bracia — narzeczeni. —
Choćbyśmy miały serca ukute z kamieni,
Na sam ich widok, rzewność wszechmogąca,
Miecze nam z rąk powytrąca.
Choćby nam bitwę stoczyć raz przyszło jedynie,
Choćby nasz los na wieki miał zależéć od niéj,
Choćby nas miała podnieść nad same boginie,
Precz ze zwycięzstwem opartém na zbrodni.

CHÓR.

Przed jéj wymową któż nie złoży broni?

WŁASTA.

Może też los nas uchroni
Od takiéj bitwy. Lecz nasza postawa
Niech będzie groźną, jakbyśmy szły do niéj.
Mężowie, czuli tylko na czynu wymowę,
Dopiero wtedy z nami podzielą swe prawa,
Gdy ujrzą żeś-my gotowe
Zdobyć je siłą jak oni.

Ha! Co mówię, podzielą? Niech nam je oddadzą.
Dosyć już długo, wszystko drżało pod ich władzą.
Niech i oni poznają, co to jest, wieść życie
Z zawiązanemi usty i rękoma.

A wy, co sprawiedliwość niemylnie mierzycie,
Których moc, prędzéj-późniéj ludziom jest widoma,
Bożki z dwoma berłami a jedną koroną,
Wecie i Odwecie,
Przyszłość oddajcie kobiecie,
Za całą przeszłość straconą!

PŁOMNIEMA.

Chyba za *twoją* przeszłość. Ty, cały ród męzki
Wyklęłaś za jednego! Był zmienny? Nie dziwy.
Któż-by wytrwał przy dziewie tak strasznie gniewliwéj?
Ale-ż nie każde serce poniosło te klęski.
O, gdybyś mogła wiedzieć czém jest miłość stała...

WŁASTA, *chwytając za rękojeść miecza.*

Wando, ta mi urąga! Tu już na obronę,
Czcze słowo, to za mało!

PŁOMNIEWA *szyderczo.*

Czyż-byś wyzywała?

Obie z dobytym orężem przystępują do siebie gwałtownie. **Wanda** *podnosi się i staje między niemi.*

WANDA.

Ja tu sądzę! Schowajcie żelaza szalone.
A ty Płomniewo, szanuj dostojeństwo Własty,
Co mój własny miecz nosi. Jeśli chcesz wzajemną.
Miłość i stałość sławić, to nie tu przedemną.
Rozważamy nie przeszłość, lecz przyszłość niewiasty.

Własta i Płomniewa się rozstępują. — Wanda siada. Długie milczenie.

TOMIŁA.

Wando, czemu chczesz czekać gdy jesteś królową?
Wszak ty najtwardszych mężów porywasz wymową?
Oni już w ciebie sercem uwierzyli całém.
Tylko powiedz: „Tak żądam!“ A wszystko z zapałem
Oddadzą, — i w dzień jeden skończysz wieków dzieło.

WANDA.

Takie dzieło nietrwałe. Ze mną by zginęło.
Nie dość praw, — trzeba jeszcze zmienić obyczaje.
A ludzkie przedsięwzięcia są jakoby drzewa.

Wskazuje na dąb pod którym siedzi.

Czy dąb na głos mocarza w jeden dzień dojrzewa?
Co dajemy czasowi, czas hojnie oddaje.

Nieraz też do Marzanny wołam: O bogini,
Pozwól mi żyć dopóki nie spełnię tych marzeń!
Bo świat nieprędko ujrzy taki zbieg wydarzeń:
Berło w ręku niewiasty — wola w niéj — wy przy niéj.

BOŻENNA.

Nadzieja którą niesiesz tak pysznie się śmieje,
Że nie śmiem wierzyć w nadzieję.

WŁASTA.

Ale czegóż się lękać?

BOŻENNA.

Ach, czyż los człowieczy,
Od zabiegów człowieczych zależy jedynie?

Drżę czy bóg jaki, gniewny na boginie,
Naszych nadziei z pomsty nie zniweczy?
Lub czyli...

TOMIŁA *chwyta ją za rękę.*

Przestań... Złowróżebne słowo
Można powiedzieć w złéj chwili.

SCENA II.

Wchodzi **Giermek.**

GIERMEK.

Królowo!
Gości oznajmiam. Orszak, tak bogaty
Jak nigdy, przybył. Ich strój wojowniczy,
Lecz głos przyjazny. Przyjeżdżają w swaty.

WANDA.

Znowu!

TOMIŁA.

Tych swatów już xiężna nie zliczy.

WANDA.

Od kogóż?

GIERMEK.

Mówią, że od Rytygiera,
Xięcia na Rugji. Przywożą wam skrzynię
Co niesłychane bogactwa zawiera.

Widziałem, kubki wyrznięte w bursztynie,
Naramienniki naszywane drogo...

WANDA *przerywa mu.*

Dajcie przybyszom poselskie komnaty.

CZESŁAWA.

Gdzież? Kiedy jeszcze Mazowieckie swaty
Nie odjechały?

WANDA.

Na cóż czekać mogą?
Wszak usłyszeli już naszą odmowę?

Lecz, niech-że goszczą, gdy im Kraków miły.
Znajdziemy inne mieszkanie zamkowe.

GIERMEK.

Próżno. Te dziwne posły oznajmiły:

„Dach nas nie przyjmie ni sen nie nawiedzi,
„Szat nie zmienimy, nie dotkniemy czaszy,
„Ni przełamiemy chleba z roli waszéj,
„Póki nam Wanda nie da odpowiedzi.“

WANDA.

Nie są jak widzę, cierpliwi Rugjanie.
Byłoby srogo trzymać ich o głodzie.
Jeszcze im dzisiaj damy posłuchanie.

Ogłoście wszystkim dostojnikom moim,
Niech przyjdą tutaj o słońca zachodzie.
W zamkowéj sali niech biesiada stanie.
I my się w szaty królewskie przystroim.
Wy tu rycerki, proporce poznoście.
Zawsze to święto, gdy jawią się goście.

Wanda *wstaje — Za nią wszystkie* **Rycerki**, *które nagle ożywiły się i rozweseliły.*

BOŻENNA.

Ten xiąże Rugji jest rzadkiéj urody.

INNA RYCERKA.

Włos mu tak czarny opierścienia głowę,
Że aż drżą na na niéj błyski granatowe.

WANDA *z podziwieniem.*

Zkądże to wiecie?

BOŻENNA.

Wszak on, bardzo młody
Był tu przed laty? Wtedy, gdy to z chwałą,
Krakus, wasz ojciec, wygnał Wojewody,
A kilku w Rugji schronienia szukało, —
Pan wyspy, wysłał syna Rytygiera,
Aby w Krakowie wstawił się za niemi.

CZESŁAWA.

Kto go raz widział, ze wzgardą spoziera
Na inną młodzież. Miał wzrost bohatera.

INNA RYCERKA.

A w oczach jakieś czarnoxiężkie blaski.

JESZCZE INNA RYCERKA.

A jak on chodził dumnie! Jakby ziemi
Dotykał się tylko z łaski.

WANDA.

Wy pamiętacie. Wanda nie pamięta
Ni jego nazwy ni jego postaci.
Jeszcze w najdalszéj świetlicy zamknięta,
Miałam naówczas tę lękliwość błogą,
Przy któréj dziewczę nie śmie na nikogo
Wznieść oczu, chyba na ojca i braci.

Giermek *wychodzi. Za nim i* **Rycerki** *wychodzą, obsypując go po drodze pytaniami, śmiejąc się i gwarząc.*

Wanda *daje* **Tomile** *znak ażeby została.*

SCENA III.

Wanda, Tomiła.

WANDA.

Kiedyż mię zrozumieją?... Słyszałaś Tomiło?
Dopiero płoche słowo do nich przemówiło.

Rój wietrznic! Jak je chwycić za motyle skrzydła?
Pochlebiam ich próżności, rzucam im świecidła,
Oznaki dostojeństwa, zwycięzkie obrzędy,
Ufna, że tą przynętą zatrzymam je w sieci.
Próżno! Łakotkę połkną, a nie tkną się wędy.

Przemów do nich poważnie? Ogarnia je nuda.
Mów o strojach i chłopcach? Zapał z oczu świeci.

Jeśli garną się do mnie, i to czcza ułuda!
Ta, lśniący hełm włożyła bo jéj w nim do twarzy.
Ta inna, bo domową pracę ma w ohydzie.
Każda niby mię słucha, — co innego marzy.
Marzy... jak się podobać? A żadna nie idzie,
Przez czysty obowiązek niesiony ojczyźnie,
Przez szlachetny głód czynu, miłość wielkiéj sprawy,
Lub choćby przez tę żądzę bohaterskiéj sławy,
Co podobieństwo bogów rozbudza w mężczyźnie.

Zalotność! O nią cały mój trud się rozbija.
(Nie o miłości mówię, — miłość to zagadka,
Jak piorun tajemnicza, i jak piorun rzadka.)
Lecz zalotność! Ta drobna a złośliwa żmija,
Każdy pączek méj pracy podgryza tajemnie,
I zwolna, serca dziewek odwraca odemnie.

Dopóki jeszcze głoszę wojowniczą chwałę,
Dziewki garną się, matki są wyrozumiałe.
„Kto wié — myślą — czy sława nie przywabi męża?"
Ta myśl, nawet wahanie ojców przezwycięża.

Lecz gdzie trzeba odważnie wystąpić ze zdaniem,
Gdzie trzeba się narazić męzkiemu sądowi,
Spotykam co? Milczenie, — i strach widzę za niem.

Jeśli która się zerwie i śmiało wysłowi,
To chyba z tych, co wszystkie straciły nadzieje,
Przez ciężki zawód serca. Wtedy, znów truchleję...

Ich gorycz, ich gwałtowność, ich wyrzuty krwawe,
Zmieniają Wiec na kłótnię, i psują nam sprawę.

Zwątpiwszy o młodości którą płochość miota,
Zwróciłam się o pomoc ku zimie żywota.
Ileż razy, w zwierzeniach poufnéj rozmowy,
Badałam, cześci godne, siwe białogłowy!
Co za głębokość serca, co za ciasność myśli!
Póki rzucam czcze skargi na minione wieki,
Lub marzenia gdzieś roję w przyszłości dalekiéj,
Słuchają mię wzdychając. Lecz niech zechcę ściśléj
Oznaczyć miejsce rany i przyłożyć leki,
Wnet się wzdrygną, podobne dziecku struchlałemu,
Co stąpiło na węża zwikłane przeguby,
I mówią: „Czemuż właśnie *dziś* zaczynać? Czemu,
Właśnie na córkach *naszych* doświadczać téj próby?.

Niegdyś mi się zdawało, wśród Karpackich lasów,
Że uzbroiłam duszę do wszelkich zapasów,
Że zrachowałam wszystkich wrogów mego dzieła.
Zapomniałam o jednym: o niewieście saméj.

Siedem lat już panuję, czegó-żem dopięła?
Spojrzyj: gdzie burzyć trzeba, tysiące rąk mamy,
Gdzie budować, ni jednéj. — Było-ż-by zawcześnie?
Gdy wojsko śpi zaklęte, cóż dowódzca pocznie?
Ach! Widząc je tak błogo pogrążone we śnie,
Drżę, czy mię nie zmyliły fałszywe wyrocznie?

TOMIŁA.

Nie mów tak, pani moja! Świat z podziwu niemy
Ledwo wierzy gdy widzi co-ś już uczyniła,
A ty jedna nie widzisz. Wszak na głos twój, siła
Zaklętego snu pękła, i oto wstajemy.

Jeśli nam jeszcze senność zamglewa powieki,
Jeżeli rozmarzone stąpamy lękliwie,
Czyż może być inaczéj? Sen trwał całe wieki.

I jeniec wyzwolony waha się w podziwie,
Co chwila zapomina że może mieć wolę,
Jak cień za dawnym panem chodzi, w jego czole
Czyta sąd albo rozkaz —

WANDA.

I nikt jeszcze niewie,
Czy dobrowolnie kiedyś nie wróci do pana?

Gdyby jakoweś bóstwo powiedziało dziewie:
„Wybierz: Oto przez życie masz przejść szanowana,
„Dam ci stolicę sędziów, dam w narodzie władzę,
„Świat mądrości i wieszczby przed tobą roztworzę,
„I na tajemnym Wiecu bogiń cię posadzę,
„Lecz serce twe samotném pozostanie może.

Lub też: „Zamknę ci mądrość na podwójne wrota,
„Naród od swoich obrad odepchnie cię z tłumem,
„Dzieci i niewolników, — i taka ciemnota
„Oprzędzie twoje myśli, że mrówka czy pszczoła,
„Najuboższe zwierzątko zrówna ci rozumem, —
„Lecz może jaki młodzian stanie, i zawoła
„Uchylając w zachwycie przed tobą kolana,
„Że ci władzy nad sercem każdy król zazdrości,
„Że nieświadomość twoja wyższa od mądrości.“

Czyż-by która, o wybór tych losów spytana,
Wybrała pierwszy? Żadna!

TOMIŁA.

Ja pierwszy wybiorę.

WANDA.

Ty? O, bo też ty jesteś niepodobna z żadną.
Czy wiesz? Nieraz od pracy ręce mi opadną,
Już zwątpienie na piersiach uczuwam jak zmorę..
Cóż mię w takich godzinach z żałości wyrywa?
Myśl że ciebie spotkałam! To wróżba szczęśliwa.
Kiedy spotkałam jedną, może spotkam więcéj?

TOMIŁA.

Tak. Przecież i ja żyłam w igraszce motyléj,
Nim odgłos twoich czynów padł w mój świat dziewczęcy,
Jak ziarko na pustkowie? Któż wié, do téj chwili,
Ile takich ziarn padło?; Ja pierwsza przychodzę, —
Lecz idź śmiało, — żniwiarek przybędzie po drodze.

WANDA.

Mów mi to często. Głos twój koi mię i budzi,
Jak poselstwo od bogiń, podsłuchane w niebie.
Gdyby nie twoja przyjaźń, byłabym wśród ludzi
Tak samotna!

TOMIŁA.

O Wando najdroższa! Jak ciebie
Nie kochać? W tę samotność wiem co cię wypchnęło.
Przez poświęcenie dla nas, nie chcesz towarzysza,
Któryby męzką ręką wstrzymał nasze dzieło,
Lub zniszczył. Więc twe serce gwałtem się przycisza,
I milczy. — A jednakże widzi Lel różowy,
Jakbyś mogła być szczęsną! Wszystkie białogłowy,
Mniéj ci zazdroszczą chwały, mniéj korony saméj,
Niż tylu serc podbitych.

WANDA.

O co najmniéj dbamy,
Tego nam los przekornik najobficiéj zsyła.
Chętnie-bym tych podbojów innym ustąpiła.
Jedno „nie!“ mówić zawsze, mówić nieugięcie,
To boli. — Wieczne swadźby! I dziś, jeszcze nowe!
Trzeba choć gościnnością osłodzić odmowę.
Czy wydałaś rozkazy na sute przyjęcie?

TOMIŁA.

Pójdę tam przypilnuję.

Odchodzi w stronę zamku. — **Wanda** *idzie za nią wolniéj.*
Po drodze spotyka ją wchodzący **Stanisław**.

SCENA II.

Wanda, Stanisław.

WANDA *na stronie.*

Znów ten młodzian blady!

Do **Stanisława** *który się przed nią zatrzymał z pokłonem.*

Wodzu, gdzież tak spieszycie?

STANISŁAW.

Wszak sama królowa,
Wiec na dziś naznaczyła, tu?

WANDA.

Pilność wzorowa!
Zawsze pierwszy do boju, i pierwszy do rady.

Odchodzi.

STANISŁAW.

Odchodzisz? Czy twe oczy znosić mię nie mogą?
Wando! Ty co na Wiecach rozsądzasz zatargi,
Sądź mię. Skargę zanoszę.

Wanda *zatrzymuje się i powoli wraca.*

WANDA.

Skargę? I na kogo?
Ciężką być musi krzywda, gdy chwyta się skargi
Najłagodniejszy z ludzi. Ciężki wyrok będzie.

STANISŁAW.

Wątpię. Oskarżonego wybrałem na sędzię.
Muszę przed mą królową oskarżać — królowę.

WANDA.

Do mnie żal? Czyż być może? Wodzu, wszak ja cenię
Wasze zasługi wczesne, męztwo i wymowę.

Lecz może nie umiałam odmierzyć nagrody?
Władcom tak trudno każde odgadnąć życzenie!
Mów, czego chcesz? Nie bacząc na wiek nazbyt młody,
Podniosę cię w godności.

STANISŁAW.

Gorzkie słowa twoje.
Godności! Jam ich nadto wziął niezasłużenie.
Sypiesz mi takie dary o które nie stoję,
A gdy czekam spojrzenia lub dobrego słowa,
Jak mgła biała a zimna pierzchasz z mojéj drogi.

WANDA.

Jeśli się z obowiązków uiszcza królowa,
Zkąd wam prawo do skargi?

STANISŁAW.

Prawo! Wielkie bogi!
Któż serce mierzy prawem? Lecz niech i tak będzie.
Prawdziwa miłość daje do miłości prawo.

Wanda *odchodzi na bok, i stoi ze wzrokiem wrytym w ziemię.*

Zbrodniarz może się bronić, słuchają go sędzie,
A ty i słuchać nie chcesz.

WANDA.

Słucham.

STANISŁAW.

Jak łaskawą
Dziś jesteś! Cóż jéj powiem?... Gdy nie jestem przy niéj,
Układam słowa rzewne, pełne takiéj siły,
Że lodową Marzannę do łez by wzruszyły.
Gdy wejdzie, oniemiewam jak w obec bogini.

Jam zawsze z sercem śmiałem usta miał nieśmiałe.
A jednak nikt na świecie nie kocha cię więcéj.
Pachole, ubóstwiałem twój urok dziewczęcy,
Młodzieniec, pracowałem dla ciebie na chwałę.

A teraz muszę patrzéć jak władcy zuchwali,
Co nawet cię nie znają, z tobą nie wzrastali,
Nie dowiedli stałości, nie znieśli méj mękł,
Przysyłają poselstwa! Gdy ja z kornéin czołem,
Nigdy jeszcze i kraju twych szat nie dotknąłem,
Oni w pierwszy dzień, jawnie, żądają twéj ręki!

WANDA.

Wszak ich wszystkich odmawiam?

STANISŁAW.

Dotąd. Lecz któż powie,
Czy kiedy się nie zjawi mąż tak mocnéj duszy,
Tak wszechwładnéj wymowy, że i ciebie wzruszy?
O, czemuż mię nie takim stworzyli bogowie!

Po chwili.

Czy moim rodem gardzisz?

WANDA.

Ja? Wszak naszych rodów
Świetność równa? Oboje idziem z Wojewodów.

STANISŁAW.

Tak. — Lecz niebo mi tylko miecz i serce dało.
Ty może chcesz od męża by ci zrównał chwałą?

Powiedz, — pójdę gdzie stopy nie zaszły niczyje.
Państwo sobie zdobędę. Pół świata podbiję.
Wtedy i ja na Wawel przyszlę szumne posły,
By ci w ślubnym pierścieniu sto królestw przyniosły.

Lub nie, — do czarodzieja za ucznia przystanę.
Nauczę się jak miesiąc sprowadzać na ziemię,
Jak w ludzką służbę wprzęgać białe duchów plemie,
I odkryję ci wszystko co ludziom nieznane.

Może chcesz czynów godnych rodzica twojego?
Pójdę w świat, będę szukał, gdzie płomienno-włose,
Krwawo-okie potwory gór zaklętych strzegą?
Wśród błogosławieństw ludu ich łup ci przyniosę.

Lecz cóż ci po tych darach? Władza! Mądrość! Chwała!
Cóż mąż ci przynieść może, czego-byś nie miała?
Tylko miłość jest gwiazdką, któréj na twém niebie
Brak jeszcze. Miłość cicha, równa w każdéj doli,
Która w tobie ukocha nie siebie lecz ciebie.

O! nie oddawaj serca mężom silnéj woli,
Duchom podobnym tobie! Im-by się zdawało,
Że twój blask ich przyćmiewa. Zazdrość źle skrywana,
Da ci nawet w miłości uczuć władzę pana.

Inną jest miłość moja. Będę żył twą chwałą.
Nie mam dumy dla siebie, — mam jéj tylko tyle,
Byś po trudach rządzenia, po Wiecowym gwarze,
Znalazła na mém sercu wypocznienia chwilę.

Chcesz mówić? Jeszcze wstrzymaj słowo! Lata całe
Marzyłem o godzinie w któréj się odważę
Wyznać. A dziś, gdy przyszła, gdy puściłem strzałę,
Chciałbym do głębi duszy cofnąć ją na nowo.
Jeśli mam być, o Wando, szczęśliwym jak bogi,
Przemów! Lecz jeśli gorzkie chcesz mi rzucić słowo,
Czekaj... zostaw mię jeszcze méj ułudzie błogiéj.

Wanda zwolna się oddala.

Milczysz? Ach to milczenie więcéj od słów znaczy.
Wszystko skończone. — Wchodzę w zimną noc rozpaczy.
Przed chwilą jeszcze byłem jak ten, co na wązkiéj
Drożynie nad przepaścią, chwyta się gałązki.
Zawisnął... a na górze ludzie zatroskani,
Patrzą i drżąc pytają: „Spadnie? czy nie spadnie?“
Złamała się gałązka i spadł. Jęczę na dnie.
Po co się cucić? Wyjścia nié ma z téj otchłani.
Tylko ból tam dolata... Już wpił we mnie szpony...

Po chwili.

Powiedz przynajmniéj za co jestem pogardzony?

WANDA.

Nie, szlachetny młodzieńcze, wzgardy niema we mnie.
Powinien-byś współczucie napotykać wszędzie,

Cóż kiedy tam go szukasz gdzie szukać daremnie?
Słuchaj: *nikt* serca Wandy nigdy nie zdobędzie.

STANISŁAW.

Nikt? Chcesz Wando tém słowem ulżyć méj boleści.
Nikt! Wielkie przyrzeczenie! Lecz jak liczyć na nie?
Tak zawsze brzmi obronnie głos dumy niewieściéj,
Póki miłość na gruzach téj twierdzy nie stanie.

WANDA.

Otóż ciebie za świadka mego słowa biorę.
Między mną a miłością stawiłam zaporę.
Choćbym chciała, nie mogę już odmienić drogi.
Bo kto do bogów łaski wielkie prawa rości,
Musi wielkie ofiary im nieść. I mnie, bogi
Obiecały, że wesprą każde moje dzieło,
Lecz kładą za warunek: ofiarę z miłości.

STANISŁAW.

Z miłości? I twe serce warunek przyjęło?
Po chwili.
Wando, ty jesteś wielką. Wzlatuj nieskalana,
Wśród podziwu narodów, pokłonu stuleci!
Ja cię będę czcił milcząc, schyliwszy kolana,
Robaczek zakochany w gwieździe złotowłoséj
Co nawet o nim nie wié, a jednak mu świeci.

WANDA.

Żegnaj. Niech twą szlachetność nagrodzą niebiosy.

Wanda *wychodzi. — Inną stroną wchodzi spiesznie* **Wyrwidąb.**

SCENA V.

Stanisław, Wyrwidąb.

WYRWIDĄB.

Kto tu przechodził? Wanda? Jeszcze biała
Jéj suknia zamigotała.
Spostrzega Stanisława.

Aha! Przerwałem rozmowę...
Chłopcze, widziałeś królowę?
Cóż to, czy mówię do głazu?
Królowę?

STANISŁAW.

Tak jest.

WYRWIDĄB.

Czemużeś od razu
Nie odpowiedział?

STANISŁAW.

Rzadko kto odpowie,
Gdy będzie takim zapytany głosem.

WYRWIDĄB.

Jak mówisz? Głosem?... To my się mężowie,
Musimy przed tym młokosem
Tłumaczyć z naszych głosów? — Daléj dobrodzieje,
Przepraszajmy chłopczynę, aż mu gniew ukoim.
Dobry z głosem swoim.
Wojewodziątko! A to mi hardzieje!

Ale-ż i ona! Któż sądził że taka
Jak wszystkie inne? U dalekich stanic,
Jedz w krwi i mrozie twardy chleb wojaka,
Jakby wół pracuj, — ha! roztropna głowa,
I w sercu miłość stalowa,
Wszystko u nich za nic!

Lecz bądź paniątkiem o złotawym włosie...

STANISŁAW.

Mów co chcesz na mnie, — na nią ani słowa.

Chodzą po dwóch stronach sceny.

WYRWIDĄB.

Może ci się co w moim nie podoba głosie?
A czy to ja bez oczów? Czy ja bez pamięci?
Dawno widzę co się święci.
A na kogo to teraz łaski deszczem lecą?
Ha! Trzydziestki nie doszedł, już w dowódzców rzędzie!
I codzień wyżéj... Jeszcze wyżéj nieco,
A może przyjdzie korona?
Lecz z tego nic nie będzie.

STANISŁAW.

Będzie czy nie będzie,
Nie ty o tém stanowisz.

WYRWIDĄB.

Jakto? Więc ci ona
Wzajemną? Odpowiadaj — bo jeśli wzajemną...

STANISŁAW.

To co?

WYRWIDĄB.

O, jeśli tak jest, niech cię strzegą bogi!
Nie dożyje starości kto się mierzy ze mną.
Chłopcze, nie zachodź mi drogi!

STANISŁAW.

Ty mi zachodzisz drogę! I z jakiego prawa?
Znosiłem długo, — za długo.
Czy sądzisz, że syn Lesława,
Drży przed zbójecką maczugą?

WYRWIDĄB *podnosząc maczugę.*

Zbójecką? A toż właśnie ja wytępiam zbóje!
Zbóje, to ty zuchwalcze i twoje krewniaki
Przeklęte Wojewody, co jakby smok jaki
Żarły naszą ziemię!

Jam tą pałką ich zgniatał, — i teraz żałuję
Że do szczętu nie zgniotłem. To kretowe plemie
Znów myśli że tron podkopic...

STANISŁAW.

Co ty będziesz mi ród mój oczerniał, ty chłopie!

W chwili gdy się chcą na siebie rzucić, wchodzi kilku **Wojowników**. *Ci ich rozłączają. Chwila zamieszania.*

SCENA VI.

Trąby się odzywają. — Zwolna wchodzi **Orszak Wandy** *i tłum narodu*

Nakoniec sama **Wanda**, *w monarszém ubraniu — na głowie ma koronę, w ręku berło długie jak włócznia.*

Za nią idą: **Tomiła** *trzymająca* **tablice prawa**, *i* **Własta** *trzymająca* **miecz sprawiedliwości.**

Za niemi parami idą **Rycerki**, *niosące proporce i wieńce*

Wanda *siada pod dębem —* **Tomiła** *i* **Własta** *stają po obu jéj stronach. —* **Dostojnicy** **i** **sędziwe niewiasty** *siadają na stopniach darniowych. —* **Wojownicy** **i** **Rycerki** *stają po bokach*

Od lewéj strony, ku przedowi sceny, skupiają się w jedną gromadkę **Waligóra**, **Wyrwidąb**, **Starosta Ziółko**, **Żupan Srebrzonka**, **Władyka Latoś**, **Stanisław** *i* **Zbigniew**.

WALIGÓRA.

Ciekawy jestem ludzi z téj wyspy wsławionéj.

ZBIGNIEW.

Czy oni są z téj wyspy, gdzie my do Arkony,
Do boga Światowida co rok posyłamy
Dziesięcinę wojenną?

WŁADYKA LATOŚ.

A jakże, z téj saméj.

ŻUPAN SREBRZONKA.

Już na ten raz, to posłom życzę dobrzę

STANISŁAW.

Czemu?

ŻUPAN ŚREBRZONKA

Gadałem z ich najstarszym. Nie od kształtu głowa.

WYRWIDĄB.

Jakże z Niemcem u licha doszliście do słowa?

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Dziwna rzecz! Wcale nieźle gada po naszemu.
Opowiadał że w Rugji, Niemcy i Wendowie
Zyją tacy zmieszani jakby mak ze zbożem.
Różnie się tam witają, to ręką, to nożem,
Lecz gadać z sobą muszą.

STAROSTA ZIÓŁKO

Niech-że pięknie powie,
By raz już z tą swatowską zakończyć mitręgą.

SCENA VII.

Trąby się odzywają. — Wchodzą **trzej Posłowie Niemieccy** *z orszakiem.*

Za niemi **Giermkowie** *na tarczach niosą dary.*

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

A co?

WALIGÓRA.

Nie ma co mówić, wyglądają tęgo.

BOŻENNA.

Przepyszni!

CZESŁAWA.

A widzicie, co to tam przyniosły
Te pacholęta?

JEDNA Z RYCEREK.

Skarby!

INNA RYCERKA.

Ja-bym się dziwiła,
Gdyby ich odprawiono.

PŁOMNIEWA.

Gdy takie są posły,
Jakim-że ten być musi, który ich przysyła?

Naczelny Poseł Niemiecki *stanąwszy przed* **Wandą**, *składa głęboki pokłon i ugina kolano.*

NACZELNY POSEŁ.

Do ziemi czołem! Któż-by śmiał stać przy niéj?
Ach! ja myślałem szukając Krakowa,
Że w nim panuje kobieta, królowa.
Wchodzę — spoglądam — bogini!

WANDA.

Wstańcie rycerzu, rozgniewacie bogi
Czcią, co ich władzy należy się saméj.
Z dalekiéj — słyszę — przybyliście drogi.
Jakież nam wieści niesiecie? Słuchamy.

POSEŁ *wstaje.*

We mgłach północy, w niebieskościach morza,
Wyspa się świeci tak białemi skały,
Że nieraz żeglarz mijając brzeg biały,
W noc pyta: Czy to już zorza?

Na skałach rosną nieprzebyte lasy.
W lasach mieszkają rycerze Teutony.
Złotemi gwoździmi nabite ich pasy,
Szyszaki z miedzi czerwonéj.

Gdzie wyspa szumi najciemniejszym borem,
Herta, bogini burzliwego czoła,
Mieszka w świątnicy nad Czarném jeziorem,
I krwawéj ofiary woła.

Co rok, sto łodzi z rycerzami płynie.
Świat opływają, biorą kraje całe,
Aby krwią jeńców nasycić boginię,
I zdobyć u ludzi chwałę.

Wszyscy tam równi jak gwiazdy w niebiosach.
Między gwiazdami jedno słońce bieży.
Wśród nich, wódz jeden, — mąż o czarnych włosach,
Rytygier, władca rycerzy.

U serca wyspy, gdzie pagórek stoi,
Gród wybudował z drzew i łomów skały.
Tam w pośród skarbów, siedzi w czarnéj zbroi,
Rytygier, pan wyspy białéj.

Niekiedy Saga ogarnia go szałem.
Wtedy się zrywa, losy bitwy wróży,
I śpiewa grzmieniem gromami nabrzmiałem,
Rytygier, zbrojny wieszcz burzy.

Kiedy nad czółnem wrą chmury i wody,
Zda się że samém spojrzeniem je wstrzyma.
Steruje, żeglarz z wielkiemi oczyma,
Rytygier, bożek urody.

Znają go wszystkie mórz siedmiu bezdroża.
W trzydziestu rzekach obmywał miecz krwawy.
Ile wysp w świecie tyle zdobył sławy,
Rytygier, hardy król morza

Słyszy król morza o królowéj ziemi.
Lackiemu niebu jéj blasku zazdrości.
I posłał swaty z darami wielkiemi,
Rytygier, xiąże miłości.

Chwila milczenia.

PŁOMNIEWA *półgłosem, do jednéj z rycerek.*

Co za obraz człowieka! Jeśli jéj nie wzruszy,
To już chyba nic nie ma niewieściego w duszy.

WANDA *kładąc rękę na piersiach.*

Strzeliste słowa. I celnie puszczane.
Jednak przez blachę nie wdarły się w serce.
Na sojusz? Zgoda. Na przyjaźń? Przystanę.
Lecz o miłości nie mówcie rycerce.

Miłość przestrasza koronną dziewicę,
Bo jéj wydziera i władzę i wolę,
Te dwa klejnoty na królewskiém czole,
Te dwie, wolności najdroższe źrenice.

Poseł *przystępuje do królowéj jakby chciał znów przemawiać.* **Wanda** *ręką daje mu znak milczenia.*

Nie, próżno mówić. W pancernéj niewieście,
Tkliwości żadném nie zbudzisz zaklęciem.
Rytygierowi te słowa odnieście:
Wolę być xięciem, niżeli za xięciem.

POSEŁ *wydobywając miecz z pochwy.*

Czy tak? Więc wojna!

WANDA

Ach, i pocóż w gniewie,
Zaraz rozcinać, to co dłonią miękką
Można rozwiązać? Czyż nie wolno dziewie,
Rozrządzać sercem i ręką?

Wyście spełnili poselską powinność,
Teraz ja moją wypełnię: gościnność.

Wstaje.

Proszę na zamek Wawelowy ze mną.
Tam przy wieczerzy zasiądziemy razem,
By spełnić czarę za zgodę wzajemną.

POSEŁ *po chwili wachania, wkładając miecz napowrót do pochwy.*

Prośba kobiety — rozkazem.

Wanda *wychodzi — za nią* **Posłowie.** — *Cały tłum zwolna wyciąga.* **Rycerki** *wychodząc, zatrzymują się przez chwilę na przodzie sceny.*

WŁASTA.

Pysznie odpowiedziała. Dusza we mnie rosła.

PŁOMNIEWA.

To głaz a nie kobieta.

CZESŁAWA.

Mnie żal tego posła.

JEDNA Z RYCEREK.

Patrzcie! Tarcze z darami napowrót wynoszą...

INNA RYCERKA.

Szkoda! Choćby się przyjrzéć, to już jest rozkoszą.

Rycerki *wychodzą.*

Gromada **Mężów** *wychodząc zatrzymuje się na przodzie sceny.*

STAROSTA ZIÓŁKO.

A to mu się odcięła! Proszę uniżenie.
„Wolę sobie być xięciem niż za xięciem.“ Proszę!

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Ale jeśli tak bardzo jéj miłém rządzenie,
To będzie całe życie dawała odkosze?

WYRWIDĄB.

I cóżby to szkodziło? Kto się tego zlęknie?
Czy nam źle pod jéj rządem?

ŻUPAN ŚREBRZONKA

Na początek pięknie,
Ale-ż każdy początek musi mieć swój koniec.

WŁADYKA LATOŚ.

Nie troskajta się, oćce. Nie z kamienia ona.
Koniec końcem przyjedzie taki śliczny goniec,
Tak od serca zagada, że i ją przekona.

WALIGÓRA.

Młoda jeszcze, niech sobie do woli przebiera.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Tylko strach, gdy przebiera dziewka przemądrzała,
By w końcu za sokoła, dudka nie dostała.

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Oj tak, tak. — Trochę szkoda tego Rytygiera.
Cuda nam o nim prawił.

WYRWIDĄB.

Eh! O cudzoziemcu
Który za morzem siedzi, łatwo prawić cuda.
Póki zdaleka, dobry. Niech wejść mu się uda,
Za łeb nas wszystkich weźmie.

WALIGÓRA *machnąwszy ręką.*

Co nam tam po Niemcu!

WŁADYKA LATOŚ.

Ma wybierać, niech lepiéj swojaka wybierze.

STANISŁAW

Tak, ale kogo? Kogo?

WŁADYKA LATOŚ.

To jéj Lel podpowie.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Oj tak, ten figlarz. — Teraz, choćmy na wieczerzę,
Zobaczmy jak ją przełkną biedni ci Niemcowie?

Wychodzą.

Akt drugi.

AKT DRUGI.

Przed zamkiem xiążęcym w Rudgardzie, na wyspie Rugji.— W koło urwiste skały. W oddali widać morze. Na skałach siedzą w różnych postaciach wojownicy. Jedni grają w kości, inni oglądają bronie. Rytygier oparty o skałę, patrzy na morze.

SCENA I.

Rytygier, Świętosław, Hakon, Godfryd, Olaf, Teobald *i inni rycerze. W głębi* **Giermkowie.**

RYTYGIER.

Stoi w zatoce. Wszak i wy widzicie
Jak świeci rudel wycięty w kształt smoka?

Do Świętosława.

I już go, mówisz, widziałeś o świcie?

ŚWIĘTOSŁAW.

Sen teraz pierzcha od mojego oka.
Xiężyc się jeszcze słaniał na zachodzie,
Kiedy wyszedłem, (aby spojrzéć w stronę
Mojéj Karency...) i oczy ztęsknione
Wodząc do koła, utkwiłem na wodzie.
Przy pierwszym brzasku żagiel bielał z morza.
Okręt, świecący jak od pełnéj zbroi,
Z całych sił pędził w zatokę Podborza,
Aż stanął gdzie dotąd stoi.

RYTYGIER.

Przez bogi! Czemuż ich tu jeszcze niéma?
Przez grom! Kto widział własnemi oczyma
Ten cud piękności, kto niesie wswych rękach
Klejnot jéj słowa, powinien mieć skrzydła.

HAKON *odrzucając kości.*

Wierzysz-że wszelkim wieściom o jéj wdziękach?
Za wiele cudów słyszę o téj dziewie.
Wszystko przesada. Zamorskie mamidła.

RYTYGIER *hamując się.*

Wódz wasz nie mówi o tém czego niewie.
Sam ją widziałem.

HAKON.

Dawne przypomnienia!
Tyś był młodzianek, ona jeszcze dziecko.
Najpierwsza młodość jest wróżką zdradziecką,
Każdą kobietę w boginię nam zmienia.

RYTYGIER *niecierpliwie.*

Chcesz-że bym bronią ujmował się za nią?

HAKON *dobywając oręża.*

Mój miecz już gotów.

RYTYGIER.

Nie. Tym co nie mieli
Szczęścia jéj widzieć, i wina się zmniejsza.
— Jednak, niech odtąd nikt się nie ośmieli
Przeczyć, że Wanda co wam będzie panią,
A mnie małżonką, z wszystkich najpiękniejsza.

ŚWIĘTOSŁAW.

Ja nie wiedziałem żeście już widzieli
Xiężnę Wendyjską. Gdzież to było? Dawno?

RYTYGIER *siada.*

Rzeki jak drogi prowadzą nas w lądy.
I mnie już znają wszystkie świata prądy.
Żeglując Wisłą, byłem i pod sławną
Górą, gdzie Krakus wytępił ród smoczy.

ŚWIĘTOSŁAW.

Wy go na własne widzieliście oczy,
Krakusa? Tego bogów powiernika?

RYTYGIER.

Jak ciebie.

ŚWIĘTOSŁAW.

Zabór był celem podróży?

RYTYGIER.

Nie. Piastowałem godność pośrednika.
Z śród Wojewodów wygnanych, niektórzy
Ztrudzeni walką toczoną daremnie,
O pojednanie prosili przezemnie.

Krakus mię przyjął w serdeczne objęcie,
Upokorzonym zapomniał przeszłości,
I w pośród licznych zatrzymał mię gości,
Bym uczestniczył w uroczystém święcie,
Gdy w miejsce wioski, która pod Wawelem
Stała, zakładał miasto okazałe.

Jest u téj góry, świątynia, na chwałę
Boga miłości, zwanego tam Lelem.
Do téj świątyni, na czele orszaków
Szedł, prosząc bogów, aby jego Kraków
Błogosławili. Z potężną maczugą
Stąpał, okryty błyszczącą i długą
Skórą ze smoka, — a z dwóch stron ogromne
Snuły się tłumy wieszczków i wojaków.

— Za nim... téj chwili nigdy nie zapomnę...
Szła córka jego, — kwiat w ojcowskim domu
Ukryty dotąd, nieznany nikomu.

Gdyby o słońcu ludzie nie wiedzieli,
I po raz pierwszy wystąpiło z morza,
Nie tak by stali częścią zkamienieli,
Jak my, gdy błysła ta żyjąca zorza.

Z wszystkich najmłodsza, między dziewic kołem
Już panowała wpół dziecięcem czołem.
Jéj strój się mienił jakby pawiem piórem,
Ramiona lśniły obrączki złotemi.
Włos przeplatany bursztynowym sznurem,
Jak bujna grzywa ztaczał się ku ziemi.
Kosz kwiecia w ręku zdał się wołać: „Kwitnę,
„Lecz nie tak pełno jak twoje oblicze!“
Oczy spuszczała, — oczy tajemnicze, —
Do dziś dnia nie wiem, czarne czy błękitne?
Lecz z pod tych powiek spuszczonych nieśmiało,
Zda się że światło ziemię oblewało.

Zamyśla się. — Długa chwila milczenia.

OLAF.

Daléj?

RYTYGIER.

Do szczęścia los mi zamknął pole.
Nazajutrz znikła z śród ludzi. Mówiono,
Że ojciec widząc znak nieba w jéj czole,
Wysłał ją w góry, między wróżek grono,
By tam się boskich tajemnic uczyła.

Odtąd me życie zpochmurniało nagle.
Wszędzie wodziłem niestrudzone żagle.
Postrach mi rozwarł jedne bramy, — siła

Rozwarła drugie. — Padły mi pod nogi
Daniny grodów i dary mocarzy.
Od róż i złota sypały się drogi.
— Biesiadowałem u greckich Cesarzy.
— Na wyspie mglistéj, Merlin srebrno-brody,
Miecz mi czarował zaklętym napisem
Co ztępia bronie. — Nad modremi wody
Południa, spałem pod czarnym cyprysem.
— Najpowabniejsze krain owych córy,
W łódź moją zbiegły, serce mi oddały.

A jednak, w wirze rozkoszy i chwały,
Ten cień pawiemi błyskający pióry,
I owe oczy spuszczone tajemnie,
Nigdy nie chciały odlecić odemnie.

Aż gdym usłyszał że ona, ta-ż sama,
Z gór do narodu zeszła jak zjawienie,
I jak mąż rządzi i jak mędrzec sądzi,
Żale prysnęły, — zerwała się tama, —
Fala miłości wtargnęła szalenie.
— Wysłałem posłów.
Ha! i przypłynęli.
Istne ślimaki! Już mogli trzy razy
Przybyć do zamku. Trzy razy.

HAKON.

Jeżeli
Smutną wieść niosą, lepiéj że nie śpieszą.

RYTYGIER.

Po co mi rzucasz uroki?
Smutną wieść!... Na te wyrazy,
Wszystkie złe bogi, z czarnych myśli rzeszą,
Wchodzą mi w duszę jak burza w obłoki.
Gdyby tak było... ja... sam jeszcze nie wiem
Co-bym uczynił. Ja-bym gryzł opoki, —
Ziemię zasypał żarzewiem,

Aż-by świeciła jak północna zorza.
Ja-bym krwią Wendów zaczerwienił morza,
Tak zaczerwienił, by królowie z dali
Szli, i w téj wodzie płaszcze farbowali.

Lecz nie! Obawa to płocha.
Tak się nie stanie. Tak stać się nie może.
Ja wiem, przysięgnę, o miecz się założę:
Wanda mię kocha.

HAKON.

Zkąd-że ta pewność? Mówisz sam, przed laty
Nie zamieniliście słowa.
Dwór jéj niechybnie w rycerzy bogaty.
Mogła-ż tak długo nie wybrać królowa?

RYTYGIER *z uśmiechem.*

Ja wiem co mówię.

GODFRYD.

Miałżebyś tajemnie
Wieści od Wandy?

RYTYGIER.

Nie od niéj mam wieści.
Wyższa mi siła przyszłość wywróżyła,
Jéj przekonania nikt nie wyrwie ze mnie.

OLAF.

Wróżba? To jakby ze staréj powieści,
Cudnie wygląda i ciekawie dzwoni.

TEOBALD.

Jeszcze nam nigdy nie mówiłeś o niéj.

RYTYGIER.

Aż dotąd była tajemnicą moją.

HAKON.

Nie wierzę wróżbom co się światła boją.

RYTYGIER *po chwili wahania.*

A więc wam powiem. Czarodziejskiéj sile
Złożę świadectwo i hołd, — bo za chwilę
Wróżba się spełni. Dziś mówić już mogę.

Gdy po zawarciu Krakowskich przymierzy,
Wisłą napowrót odbywałem drogę,
Krakus w orszaku dał mi stu rycerzy,
I swego syna, który zwał się Lechem.

Ci aż do granic mię przeprowadzali,
Bo się ów naród z gościnności chwali.

Mile szła podróż i z małym pośpiechem.
Lasy nadbrzeżne, wielkie do podziwu,
Po dniach nas całych wabiły na łowy.

— Raz, już o zmroku, — było to ku żniwu, —
Wysiadłem. Ze mną szedł syn Krakusowy.
Aż oto, góra nad puszczą stercząca,
Nagle łysnęła od świateł tysiąca,
I las się zerwał pieśnią przerażoną.

— Przed nami świecąc jak iskra, ukośnie
Biegła kobieta pod czarną osłoną;
Z pod osłon błyszczał szkarłat i klejnoty,
I od klejnotów czarowniejsze lica.
Lech do mnie szepnął: „To czarnoxiężnica
Piorunną zwana.“ — Zahuczały grzmoty.
Ona stanęła na wichrzystym szczycie,
I zapytała: „Czyż i wy życzycie
„Znać waszą przyszłość, żeście się zuchwali,
„Na Łysą górę w taką noc wybrali?“

Poszliśmy za nią. Gadałbym sto nocy,
Gdybym chciał wszystkie wyliczać wam dziwy
Téj nocy jednéj, pysznéj a straszliwéj.

— Słyszałem głosy niewidzialnych mocy.
— Kwiaty paproci, wszelkie skarby ziemi,
Duchy, widziałem oczami własnemi.

Nakoniec szliśmy nad *wróżbiącą wodę*,
Gdzie pływa łabędź z płomienistą szyją.
W tém się jeziorku córy czarów myją.
(Myte w niém lico ma być wiecznie młode.)

Piorunna rzekła: „Pytaj sercem całem
„I patrz w jezioro.“ — Ja w sercu spytałem:
„Będę-ż kochany za kochanie moje?“

I oto w wodzie, ach, dostrzegłem dwoje
Oczów niebiańskich. Ich piorun uroczy
Spotkał się z memi, — i znikły w fal pędzie.
A tamta rzekła: „Wiész co znaczą oczy?
„Jedno spojrzenie miłość ci zdobędzie.“

— *Widziałem* Wandę, więc miłość zdobyta.

HAKON.

W wodzie się przejrzał ten wielki wróżbita,
I mówi „Czary!“ Chce byśmy wierzyli!

RYTYGIER.

Wkrótce uwierzysz.

GODFRYD *do Hakona.*

Jak nie wierzyć w czary?
Czyż powiesz równie że harfiarz nas myli,
Gdy pieśnią wrogie zaklina sztandary?
Kto może przeczyć, że moc w runach skryta,
Pierś od orężów, łódź od wirów strzeże?

HAKON.

Ja, syn Guntrama, tylko w Hertę wierzę.
Zresztą fałsz wszystko, i w oczy mu przeczę!

RYTYGIER.

Fałsz mi zadajesz?

HAKON.

Kto może spokojnie
To znieść, niech znosi.

RYTYGIER.

Słyszycie rycerze?

GŁOSY MIĘDZY RYCERZAMI.

Nie wolno znosić takich słów.

HAKON.

Więc miecze!

RYTYGIER.

O! z całéj duszy! Myśmy zawsze w wojnie.

Obaj się porywają i walczą. — Koło wojowników zdaleka się przygląda. — Świętosław oddala się z koła.

ŚWIĘTOSŁAW.

I wy-ście taką walkę dopuścili?
Tu wódz wasz naraża życie?

OLAF.

Byłżeby wodzem, gdyby każdéj chwili
Nie czuł się gotów na miecza dobycie?

ŚWIĘTOSŁAW.

Szkoda mężnego dla tak błahéj sprawy.

TEOBALD.

U nas tak zawsze. Mądre to ustawy
Naszych praojców. Oni nam kazali
Słówko, rzut oka, zdawać na sąd stali,
By wprawiać rękę, wejrzenie mieć harde,
I zdobyć dla śmierci wzgardę.
— Patrz, dzielnie walczą.

Rytygier rani Hakona.

RYTYGIER.

Przecie go dotknąłem!
A teraz, dosyć.

Do Giermków.

Zawiążcie mu ranę,
I pijmy z pogodném czołem.

Siadają.

GODFRYD.

Niech sobie Hakon za szczęście to kładzie,
Że xiąże nie był w napadzie.

ŚWIĘTOSŁAW *zdziwiony.*

W napadzie?

GODFRYD.

U nas, kto dosiągł sławy bohatera,
Miewa napady wojennego szału.
Nosi naówczas nazwę Berserkiera.
Taki drze lasy i opoki łamie,
Idzie naprzeciw morskiego nawału,
W cudach potęgi nadludzkie ma ramie.
— Bywa, że szał ten, jak u Rytygiera,
Na zakończenie w dziką pieśń wystrzeli.

RYTYGIER.

Ach nie mów..

GODFRYD.

Czemu? Ten szał to dar bogów.

RYTYGIER.

Tak, — kiedy siłę obraca na wrogów.
Lecz gdy bogowie przytomność odjęli,
I na przyjaciół można podnieść rękę.

Zamyśla się. — Tymczasem Giermkowie roznoszą puhary. — Rytygier nagle wychodzi z zamyślenia i chwyta puhar.

I dziś wam zaśpiewać muszę,
Lecz szał to inny co owładł mą duszę.
Dziś usłyszycie przedślubną piosenkę.
Niechaj wybuchnie czuła i radosna,
Jako przed burzą mocniéj pachnie wiosna.

Daje znak jednemu z giermków, który przynosi harfę, zbliża się i przygrywa. Rytygier wstaje i z puharem w ręku śpiewa.

Gdy przechadza się po łące,
Trawa schyla kłos zielony;
Lilje kładą się chwiejące,
Jakby biły jéj pokłony.

Kiedy jedzie przez las dziki,
Sokół zrywa się zdumiony;
Z drzew spuszczają się słowiki
Jakby biły jéj pokłony.

Gdy źrenicą długorzęsą
Spojrzy w błękit rozgwieżdżony,
Gwiazdy bledną, drżąc się trzęsą,
Jakby biły jéj pokłony.

Przegrywka.

Gdy zwycięzca idzie jaki,
To z posępną jeńców zgrają.
Wandzie kwiaty, Wandzie ptaki,
Wandzie gwiazdy się kłaniają.

Ruch i szmer od skalistéj drogi. Wchodzą **Posłowie** *wyprawieni przez Rytygiera do Wandy.*

SCENA II.

Ciż co poprzednio i Posłowie.

RYTYGIER.

Ludzie bez serca! Ach czyżeście chcieli
Bym usechł, duszę wypatrzył oczyma?
Od zorzy saméj żagiel wasz się bieli,
A was do zachodu niéma!

POSEŁ NACZELNY.

Nie wiń nas xiąże. Strzała w dzielnéj dłoni,
Nie tak pospiesznie rozstaje się z łukiem,
Jak my z okrętem. Dosiedliśmy koni.
Już wieża zamku mogła być dojrzana,
Kiedy nas gońcy Wielkiego kapłana
Zwrócili z drogi. On, pod świętym bukiem
Czekał, i spytał w imie Herty saméj,
Jaką od Wandy odpowiédź ci damy?

RYTYGIER.

Co tym kapłanom do miłości mojéj?
Nigdy-ż prawdziwym władcą nie zostanę?

Hamując się.

Lecz dziś niech radość wszystkie gniewy koi.

Do posłów.

Na kiedyż gody tak dawno czekane?

POSEŁ.

O rycerze! Co za kraj!
Tam nad Wisłą świeci Maj,
Z lasów biją miodu zdroje,
Łan wonniejszy od kadzidła.
Tam dziewice noszą zbroje,
A królowa skrzydła!

Po chwili wahania.

Lecz ta piękna królowa ma serce jak lód.
Gdyśmy weszli, słuchała z chmurném brwi ściągnięciem,
I z błyskawicznych oczów siejąc dumny chłód,
Rzekła: „Wolę być xięciem niżeli za xięciem.“

Wszyscy porażeni. — Rytygier stoi nieruchomy.

HAKON.

A co, mój xiąże-wróżbito? Czy jeszcze
Każesz nam wierzyć w twe widzenia wieszcze?

ŚWIĘTOSŁAW.

Nie szydź rycerzu... widzisz jak on blednie.
Pokłon cierpieniu!

Zbliżając się do Xięcia

Zbudź się Rytygierze.

GODFRYD *występuje.*

I czy wy wiecie, że ja w przepowiednię,
Mimo słów Wandy, zawsze jeszcze wierzę.
Mówiłeś xiąże, iż wtedy jéj lice
Było spuszczone. *Tyś widział* dziewicę,
Ale dziewica *nie widziała* ciebie.
Prawa miłości są wszędzie jednemi:
By Freja splotła dwa serca na niebie,
Trzeba spotkania *dwóch* spojrzeń na ziemi.

RYTYGIER *roztwierając ramiona.*

Pójdź w me objęcia! Tyś rozciął zawiłość,
Nadzieję wrócił mi w duszę.
Tak, jeszcze widzieć ją muszę.
W oku jéj śpi dotąd miłość.
Choćby wśród bitwy, w rumaków rozpędzie,
Rytygier w oczy zajrzy bohaterce,
I w jednéj chwili zdobędzie
Nowe królestwo i serce!

Bierze czarę, do ust przybliża i nagle stawia ją na stole.

Nie tu czary spełniać nam!
Tam, w krainie marzeń, tam
U Krakowa złotych bram,
Wanda, puhar poda wam!

Tam w pośród niebieskich wód,
W lasach które sączą miód,
Świeci się za grodem gród,
Z wiosek patrzy cichy lud.

Dla was jego sierp i pług
Będą niosły lenny dług.
Kupcy zejdą z żółtych dróg,
Skarby zniosą wam do nóg.

Każdy z was, pan wielkich pól,
W dworze szumnym niby ul,
Rozbogaci się jak król,
I przez pląsy i przez śpiew,
W zamek czerwony jak krew,
Będzie wiódł najmilszą z dziew.

Lica ich świeższe od róż,
Włosy złocistsze od zbóż,
Ich gniew morderczy jak nóż,

Miłość mocniejsza od burz,
A oczy głębsze od mórz!

Wojownicy z uniesieniem otaczają Rytygiera.

CHÓR WOJOWNIKÓW.

Tam, w krainie marzeń, tam,
Miłość czeka nas i sława!
Cieszmy się, nowa wyprawa!
Dzielny wodzu, przoduj nam!...

RYTYGIER.

Nawy z wybrzeża ztoczcie jednym pędem.
Złote puklerze zawieście w nich rzędem.
Znoście broń, żywność. Niech nas, towarzysze,
Téj nocy jeszcze fala ukołysze.

Wojownicy porywają bronie i tłoczą się za Rytygierem. W chwili gdy ich ten wyprowadza, wchodzi **Goniec** *Wielkiego Kapłana, jaskrawo przybrany, z zieloną gałązką z ręku.*

SCENA III.

Ciż co poprzednio i Goniec.

GONIEC.

Radosną wieść przynoszę! Oto, matka nasza,
Z wód czarnego jeziora Herta wystąpiła!
Wielki Kapłan bogini do was mnie przysyła,
I *święto Herty* ogłasza.

Jeśli więc między sobą chcieliście, rycerze,
Jaki spór mieczem przeciąć, — i ty Rytygierze,
Jeśli teraz myślałeś o wyprawie zbrojnéj,
— Ja, według odwiecznego Rugji obyczaju,
Dotykam was gałązką ze świętego gaju,
W imie Kapłana każę, niezgody i wojny

Odłożyć, i w pokoju oddać się radości,
Póki *Bogini ziemi* w pośród ludzi gości.

Wojownicy okazują znaki smutku i wzburzenia — **Rytygier** *porywa się z mieczem na* **Gońca, Świętosław** *wstrzymuje jego rękę.*

RYTYGIER.

Czarnéj wieści posłańcze! Idź... i dziękuj bogom,
Że znakiem nietykalnym głowy posła strzegą...
To ten twój kapłan stary, co zawsze mym wrogom
Pomaga tu i w niebie, zły duch życia mego,
To on...

HAKON.

Czy zapominasz że on bratem moim?

RYTYGIER.

On-to, w podartych sukniach, z rozszarpanym włosem,
Błądząc w lesie po nocach, puchaczowym głosem
Ściągnął Hertę na ziemię!

GŁOSY WOJOWNIKÓW.

I my się rozbroim,
Gdy już nawy czekają? O, czemuż dziś właśnie
Taka wieść!...

RYTYGIER *wychodząc z zamyślenia.*

Wóz opuścił już bramy świątyni?

GONIEC.

Jeszcze nie.

RYTYGIER.

Towarzysze! Nadzieja nie gaśnie!
Póki wóz się nie zjawił, to znak że bogini
Już jedzie, ale jeszcze z wód nie wyjechała.
Kapłan ją może prośbą zwrócić w głębie ziemi,
I odwołać obrządek. Przed laty dawnemi,
Bywało, — starcy mówią, — że już Rugja cała
Rozbrojona świętuje, w puhary uderza,
Gdy wieść pada, że Duńczyk rabuje wybrzeża.

Kapłan cofa obrządek — miecze pochwycone —
Bitwa — i nie uchodzi jedna duńska stopa.

HAKON.

Wtedy szło o świątyni i wyspy obronę.

RYTYGIER.

A dziś czy nie o więcéj? Bronić się, rzecz chłopa, —
Zdobywać, dzieło rycerza.

GŁOSY MIĘDZY WOJOWNIKAMI.

Spieszmy... W las, do świątyni. Uproś nam kapłana.

RYTYGIER *zatrzymuje się.*

Ja, prosić jego?

OLAF.

Próżno-ż władza ci oddana?
W twardą bramę czy serce, wódz pierwszy uderza.

Porywają Rytygiera i wyprowadzają. Za Xięciem wychodzi **Świętosław**, *za nim wszyscy inni oprócz* **Posła** *i* **Teobalda**.

POSEŁ.

Jak się Xiąże zapalił!

TEOBALD.

Nie dziwno. Od chwili
Twego wyjazdu, wiele zmieniło się w kraju.
Zdobyliśmy Karencę, jéj xięcia schwycili.
Kapłan chce aby jeniec, według obyczaju,
Legł na ofiarę Hercie pod świętym toporem.
Xiąże, czy się nad jeńcem użala litośnie,
Czy pragnie wpływ kapłański osłabić oporem,
Lecz nie chce mu go wydać. Rozjątrzenie rośnie.
Sama Herta wié komu zwycięztwo zostanie.

Wychodzą.

Las Herty. — *Na przodzie łączka — w głębi* **Czarne jezioro** *otoczone pagórkami — po prawéj stronie na wzgórzu warowna* **świątynia Herty** — *po lewéj* **Buk święty,** *na którego pniu wisi róg—bliżéj* **kamień ofiarny.**

Najwyższy Kapłan Herty, *w szacie białéj ze szkarłatnemi brzegami, i z takąż przepaską na czole, wydaje rozkazy strojnym* **niewolnikom,** *którzy między drzewami zastawiają stoły pełne mis i kubków.*

SCENA IV.

Najwyższy Kapłan, Niewolnicy, Tłum, *późniéj* **Hakon.**

KAPŁAN.

Spieszno a hojnie
Ustawcie stoły.
Śmieją się strojnie
Same żywioły.
Oto po wojnie
Pokój wesoły.

Tłum starców, dzieci i kobiet zwolna zapełnia głębie lasu.

HAKON *wbiega spiesznie i do Kapłana przystępuje.*

On już nadchodzi... widziałem go... w chwili
Gdy do okrętów pędził wśród rycerzy,
Twoi mu gońcy drogę zastąpili.
Stanął, trop zmienił i jak dzik tu bieży.

KAPŁAN.

Niech przyjdzie. — Dzisiaj pychę jego zdepczę.

HAKON.

Bój trudny będzie. Z nim idą tysiące,
Na twój się zakaz głośno buntujące.
Ich to zapały, ich krzyki podchlebcze
Rozzuchwalają pychę Rytygiera.

KAPŁAN.

On się na ludzkiém ramieniu opiera.
Myśmy silniejsi, na boskiém oparci.

HAKON.

Przyjdzie tu żądać byś odwołał święto.

KAPŁAN.

I to być może. Jeśli mi niezgiętą
Stawi się wolą, bogini go skarci.
Jeśli ulegnie, co zechce otrzyma.

HAKON.

Otrzyma mówisz? Nie! Dla niego niéma
Dróg przebaczenia! Zapomniałżeś starcze,
Że gdyby nie on, ja byłbym xiążęciem?
Pamiętasz obiór? Ja chwałą i wzięciem
Byłem tam pierwszy; już na białe tarcze
Mieli mię podnieść, kiedy on z wyprawy
Wraca, z wieńcami u masztów i sterów,
Rozgłasza dziwy swéj kłamliwéj sławy,
I mnie wykrada berło bohaterów.

KAPŁAN.

Po co wspominać? Czyż ma własna dusza,
Na jego przemoc nie dość się obrusza?
Jam jest, od wieków pierwszy z wodzów ducha,
Którego w Rugji wódz ludzi nie słucha.

HAKON.

Tyle już razy miał zginąć odemnie!
Za lada słowo mu rzucam wyzwanie.
I dziś... On zawsze nietkniętym zostanie.
To owe runy, co skald mu tajemnie
Wyrył na mieczu, zaklęciem go strzegą.
Ach, kto-by zdołał zgładzić Rytygiera,
Za czyn tak wielki wziąłby godność jego.

Jakąż nam przyszłość taka myśl otwiera!
Ja, twój brat, władam, — (choć tylko z imienia—)
Ty władasz w Rugji, władasz wolą brata,
I znów buk Herty w krwi się rozzielenia.

Lecz ty drżysz, siwy!. Zwłóczysz dni i lata,
Aż on nas wygna...

KAPŁAN.

A raczéj ty młody,
Ucz się mądrości od zbielałych włosów.

Jam dawno przeczuł, że w grze naszych losów,
Ta xiężna Wendów rzuci kość niezgody.
Już dawno snułem z cierpliwością prządek,
Nić przygotowań. Dziś przejmuję posły,
Badam co niosą, i zanim odniosły
Hasło wojenne, ogłaszam obrządek.

On ufa w miłość wojowniczych braci.
Żadna moc ludzka nie zwalczy go przy niéj.
Lecz gdy wystąpim w imieniu bogini,
Musi się poddać, lub miłość tę straci.
Bój to ostatni xiążęcia z kapłanem.
Dziś Rugja ujrzy, czy ja, czy on panem?

Zgiełk. — Wchodzi Rytygier z rycerstwem.

SCENA V.

Najwyższy Kapłan, Hakon, Rytygier, Świętosław, Olaf, Godfryd, Teobald, Posłowie, Goniec, Wojownicy, w głębi tłum.

GODFRYD *z kilkoma wojownikami zbliża się do Wielkiego Kapłana.*

Z prośbą nas xiąże do ciebie przysyła.
Wyprawa bliska. Póki nie wypłynie,
Tłumaczu niebios! Ubłagaj boginię,
By w głębie ziemi jeszcze powróciła.

KAPŁAN.

Czekajcie!

RYTYGIER *występując.*

Czekać? A tymczasem, lodem
Zima półroczna łodzie nasze zwiąże,
A tam z południa, jaki śmielszy xiąże,
Zdobędzie Wandę, zawładnie narodem!
— Wóz nie wyjechał jeszcze ze świątyni,
Jeśli chcesz, możesz.

KAPŁAN.

Straszną jest bogini.
Trudno *tu* zmienić, co sądzono w niebie.

RYTYGIER.

Nie chcesz? O starcze, patrz, *ja* proszę ciebie!

KAPŁAN.

A więc, posłuchaj.

Przyprowadza go na przód sceny.

Jeżeli w téj dobie,
W téj chwili, oddasz mi jeńca z Karency
Pod nóż ofiarny, nie żądam nic więcéj, —
Odwołam święto, — jedź gdzie chcesz.

RYTYGIER.

Co tobie
Po tym człowieku, że srożéj od losów
Żądasz krwi jego?

KAPŁAN.

Ja nie chcę krwi saméj.
Ja chcę dowodu twéj czci dla niebiosów.
Herta naznacza ofiarę wybraną.
Aż dotąd nigdy jéj nie odmawiano.
Ty śmiesz, ty pierwszy! Lecz my ciebie znamy;

Nie chcesz krwią Wenda zlać naszych obrzędów,
By nie obrazić twojéj xiężny Wendów.

RYTYGIER.

Mówię ci starcze, dłużéj mię nie drażnij...
On już nie jeńcem, lecz gościem w mym domu.
Jam się z nim związał sojuszem przyjaźni.
Krwi przyjaciela nie sprzedam nikomu,
Choćby za wieczną w Walhalli biesiadę.

KAPŁAN.

Słuchaj szalony. Starzec da ci radę.
Jak orlę z gniazda raz pierwszy wzleciałe,
Chcesz przebić niebo. Źle rozumiesz chwałę.
Nie na zuchwalstwie prawdziwa moc stoi.
Czém-że słynęli poprzednicy twoi?
Czemu na ziemi ślepo ich słuchano?
O! Bo i oni schylali kolano,
Chociaż przed jedną, wyższą nad nich siłą.
Ty chcesz by wszystko tobie czołem biło,
A ty nikomu, nawet panom nieba?

RYTYGIER.

Rytygierowi twoich rad nie trzeba.

KAPŁAN.

Kapłan ostatnie pytanie ci czyni:
Dasz jeńca?

RYTYGIER.

Nigdy.

KAPŁAN.

A więc, wyjdź bogini!

Zdejmuje z drzewa róg i weń uderza. — Na ten znak, bramy warowni się otwierają.

Z bram wychodzą długim szeregiem **Kapłanie** *w czerwonych ubraniach.*

Za niemi **Trębacze** *uderzają w ogromne złociste trąby.*

Za niemi **Dziewice** *w zielonych szatach, z chorągwią bogini.*

Za niemi **Skaldowie** *z harfami.*

Nakoniec pokazuje się **Wóz Herty,** *okryty świecącemi zasłonami, otoczony tłumem niewolników.*

W chwili gdy Wóz przejeżdża, wszyscy padają na kolana, oprócz **Rytygiera.**

CHÓR.

Zawiasami śrebrzystemi
Zadzwoniła wodna brama,
I na ziemię zjeżdża sama
Nieśmiertelna matka ziemi!

Wóz się zdradza gromów trzaskiem,
Lecz dla oczów zasłoniony.
Ach, otaczaj się w zasłony,
By nie zabić nas twym blaskiem.

Wóz powoli zjeżdża ze wzgórza i zatrzymuje się w głębi nad brzegiem jeziora.

KAPŁAN.

Wesele ziemi! Święto się zaczęło!
Wojny, żałoby, zawiści trujące,
Od dziś, zawieście na długie miesiące,
Piekielne zniszczenia dzieło.

Synowie ziemi! Dość na morskie wody,
Dość na krew patrzéć. Bierzcie wieńce z liści,
W puharach topcie łzy i nienawiści,
Wstał dzień radości i zgody!

Tłum niezbrojny rzuca się chciwie ku biesiadzie. Rycerze stoją posępnie.

A wy, do czary nie ściągniecież ręki?
Próżno-ż dziewica uplata wam wianek?
Czy wam tak tęskno do Wendyjskich branek,
Że już i oczów nie macie na wdzięki

Dawniéj zdobyte w każdéj świata stronie?
Kwiaty południa, czarne gwiazdy wschodu,
Wszystkie są! Nie ma pod słońcem narodu,
Co-by swych córek wam nie oddał w plonie.

Z pomiędzy Rycerzy nikt się nie porusza.

Czy taka wieczna żądza krwi was pali?
O, gdyby kapłan, władzą bogów zbrojny,
Chociaż niekiedy nie wzbraniał wam wojny,
Wybyście wszyscy się wyzabijali.

Takie też źródło *Hertowego święta.*
Przodkowie wasi, bogom śmierci mili,
Nie tylko wrogom narzucali pęta,
Lecz między sobą wieczny bój toczyli.
Aż kapłan, tknięty walecznych zatratą,
Kląkł nad jeziorem, błagał tak gorąco,
Że Herta sama pod omroczną szatą,
Wyszła raz pierwszy na Rugję ginącą.
„Ilekroć — rzekła — w bratobójczym szale
„Przebiorą miarę, ja tu przyjdę w gości;
„Niechaj przynajmniéj, zanim wrócę w fale,
„Zaznają chwilę pokoju w miłości.“

— Tak przed wiekami rozkazano w niebie.
A więc, do uczty! U swojego stoła,
Herta nie znosi zchmurzonego czoła.
Xiąże, zapraszam i ciebie.

Rytygier *który dotąd stał nieporuszony, wybucha dzikim krzykiem, dobywa miecz, i z podniesionym rzuca się w tłum który przed nim gwałtownie ustępuje.*

ŚWIĘTOSŁAW.

Na nas się rzucasz?

Rytygier *wyrywa drzewo — wywija niém i goni za każdym którego spotka.*

GŁOSY Z TŁUMU.

On drzewa wydziera!
Z drogi mu! Z drogi!... To szał Berserkiera!...

Rycerze *usiłują otoczyć* **Rytygiera,** *który ich za każdą razą rozpędza.*

HAKON.

Biada! Już teraz nikt go nie pokona.

Zgiełk i zamieszanie. — **Rytygier** *przewraca stoły biesiadne. Nagle słania się i staje oparty na mieczu.*

GODFRYD.

Ochłonął... Teraz, huknie pieśń szalona.

Chwila milczenia.

RYTYGIER *śpiewa.*

W piersiach wre krew — przed oczami krew
Niebo się łamie... przełamie go śpiew!

Kto powiedział że Rugji szczęśliwe wybrzeże?
Kto powiedział że wolni na Rugji rycerze?

Kto to powiedział, niech pokaże lico —
A ty, mój mieczu go skarz!
Ja mu z twardą rękawicą
Kłamstwo rzucam w twarz!

Ciska rękawicę między Wojowników.

Ha! My co krzykiem płoszymy obozy,
Co lądy, wody, świat w przelocie bierzem,
Drżymy przed jednym!

Wskazuje na Wielkiego Kapłana.

I na domiar zgrozy,
On nie rycerzem!
Nikt się nie waży podnieść rękawicy?
Ani on sam?
Ja mówię wam:
My, niewolnicy!

Zwraca się ku świątyni.

Herto! Nie, ty nie możesz potępiać wyprawy,
Podjętéj dla twojej sławy.
Taką dań z tamtych krain przywiozę ci z braćmi,
Że ołtarz twój słońce zaćmi.
Poszczęść nam, a przysięgam: w Wendyjskiéj krainie,
Staną dla ciebie świątynie.

Po chwili.

A jeżeli potępisz, idź do naszych wrogów.
Inni słynęli, że zwalczali ludzi.
My przejdziem wszystkich, my zwalczymy bogów!
I Herta się na ziemi bez czcicieli zbudzi.

Najwyższy Kapłan *staje pod świętym bukiem i podnosi ręce.*

KAPŁAN.

Więc pędź, aż otchłań spotkasz w rozpędzie!
Niechaj twa sława pryśnie w ohydzie!
Niechaj za tobą, zawsze i wszędzie,
Nieszczęście idzie!

Niech morze burzą gryzie twe nawy,
Niebo wichrami drze twe sztandary,
Ląd ci odmówi chleba i czary,
A koniom trawy.

Na twych rycerzy niechaj strach padnie.
Przez tajemniczą dłoń zaślepieni,
Niech przed dziewkami pierzchną bezładnie,
Jak liść jesieni.

A ta ziemianka, dla któréj, hardy,
Imie niebianki zdeptałeś w pyle,
Niech ci da tylko, za ofiar tyle,
Spojrzenie wzgardy!

Zaznaj miłości wszystkie męczarnie.
Niech cię od gromu szarpie ogniściéj,
Niech cię owinie gadem zawiści,
Cierp i zgiń marnie!

Niechaj cię Herta skarze na ziemi!
Niech cię Teut wielki potępi w niebie!
Na wszystkie klęski, siły wszystkiemi,
Przeklinam ciebie!

Wojownicy *którzy otaczali* **Rytygiera**, *odstępują.*

RYTYGIER *przesuwa rękę po czole.*

Stało się... wyrzekł. Głos jego obleka
Me oczy chmurą... ale już wionęła.
Nie, nikt nie powié, że dla groźb człowieka,
Rycerz, król morza, cofnął się w pół dzieła.

Do Wojowników.

I tak, słów pustych rozgromił was harcem?
Ha! to rycerze! to bohaterowie!
Drżą jak niewiasty przed bezwładnym starcem!
Wierzą, że niebo przemawia w tém słowie
Co mu szepnęła duma zagniewana?

A jeśli wierzyć w niemylność kapłana,
Już jest za późno! Czy pójdziem na morze,
Czy tu w postrachu i modłach zostaniem,
Przekleństw rzuconych pod Teuta wezwaniem,
Sam Teut odwołać nie może.

Ruch między Rycerzami.

Kto umié towarzyszów zdradzić w trudną chwilę,
Kto rycerskiego ślubu zapomina,
Niech pas rycerski zdejmie, niech zdepcze go w pyle,
U stóp kapłanów pełza jak gadzina,
O przebaczenie się modli,
Skroń liściem uwieńczy gnuśnie,
I jak robak od żeru odrętwiały uśnie.

Ja sam się rzucę do nawy,
I rozgłoszę przed światem, że na wyspie sławy,
Dziś rodzą się tylko — podli

Wielki krzyk niecierpliwości w tłumie Wojowników.

Tak, — sam odjadę, i w szerokim świecie
Znajdę wierniejszych wojaków.
Ci dla mnie zdobędą Kraków,
Ci brodząc w kłosach i kwiecie,
Będą do zamku na górze,
Wiedli branki strojne w róże.

A jednak... i w tryumfów najzłocistszéj chwili,
I w puszczach i na tronach, i w burzy i w ciszy,
Nieraz ciężki jęk stłumię, nieraz czoło zchmurzę,
Gdy wspomnę, ilu miałem braci towarzyszy,
I wszyscy mię opuścili!

RYCERZE *tłumnie.*

Nie! Trwóg ni zdrady niéma w piersi męzkiéj!
Pójdziemy z tobą, na świata zdobycie,
Na ląd i morza, na chwałę i klęski,
Na śmierć i życie!

Zapał rośnie. — **Rytygier** *porywa pod rękę* **Świętosława** *i wyprowadza. Za nim* **Rycerze** *tłumem wybiegają ze szczękiem i okrzykami. W głębi pozostaje rzesza bezbronna i kilku wahających się* **Wojowników.** *Na przodzie* **Hakon** *i* **Wielki Kapłan.**

HAKON.

Wszystko stracone.

KAPŁAN.

Wszystko wygrywamy.

HAKON.

Jakto? Czyż zechcesz, bym od tłuszczy saméj
Dał się obierać? Z nim, kwiat Rugji bieży.
Któż tu pozostał? Ledwie garść rycerzy,
Starcy i dzieci. — Tamci, za powrotem
Potwierdzą-ż bez nich spełnione obranie?
Z nowém królestwem, i chwałą, i złotem,
Rytygier jeszcze mocniejszy się stanie.

KAPŁAN.

Któż w bezrozumny obiór cię popycha?
Zbierz pozostałych, rzuć się za nim w łodzie.
Jeżeli możesz zwalczyć go na wodzie,
Zwalcz. — Jeśli wolisz roztropność, płyń z cicha,
I z nim się połącz pod maską przyjaźni.

A dalej... Mamże ci mówić wyraźniéj?
W dalekich krajach są dziwne przygody...
Śmierć tajemniczą xięcia świętokradcy,
Można-by zrzucić na wrogie narody, —
Na gniew bogini. — Słowami doradcy
Wepchnąć go w klęski, — lub téż na uboczu...
Wiesz... tacy ludzie jak on, się nie strzegą.

Lecz i nie trzeba ci otwierać oczu —
Sam dosyć widzisz, by wrócić — bez niego.

HAKON.

Cóż Rugja powié gdy i ja odjadę?

KAPŁAN *po chwili namysłu, zwraca się do tłumu.*

Wysyłam brata by skarcił zuchwalcę.
Kto w Teuta wierzy, niech rzuca biesiadę,
I z nim się łączy. — W takiéj świętéj walce,
Niebo nie powié żeście zapomnieli
O wielkim Herty obrzędzie.
Najmilszym jéj hymnem, będzie
Szczęk miecza w rękach mścicieli.

Mała liczba **Wojowników** *pozostałych, zbliża się do* **Hakona** *który z niemi wychodzi.*

Akt trzeci.

AKT TRZECI.

Szeroka dolina. — W głębi Kraków. — Po obu stronach wzgórza. — Na środku posąg **Horowida** *w postaci zbrojnego wojownika. — Pod nim siedzi* **Rytygier**.

SCENA I.

RYTYGIER *sam.*

A więc stanąłeś u stóp Wawelu,
Mimo bogini co świat druzgoce.
A teraz pytaj, burz gromicielu,
Czy nie utoniesz w zatoce?

Przeklął mię! Dotąd pieśń jego dzika,
Szumi w koło mnie... przeklął! Pytanie
Czy klątw siwego, klątw ofiarnika,
Tam gdzieś słuchają niebianie?

Słuchają! Ściga mię duch złowrogi.
Na morzach, łodzie pędził o skałę,
Na lądzie, w puszczach wodził dni całe,
Głogami najeżał drogi.

Jam skałą wzgardził i z wichrem lecę.
Jam śmiał się w puszczach i wyszedł z głogów.
Po chwili.
Lecz łatwiéj burze, łatwiéj gniew bogów
Zwalczyć, niż serce kobiece.

Wchodzi **Świętosław**.

SCENA II.

Rytygier, Świętosław.

RYTYGIER.

Nakoniec nieba cię wiodą!

ŚWIĘTOSŁAW.

Co widzę?
Przyszliście tutaj?

RYTYGIER.

Godziny, bez końca
Mi się zdawały. Jako się kwiat słońca
Wiecznie za słońcem kręci na łodydze,
Tak mnie przyciąga podnóże Wawelu.
Rzuciłem obóz, i błądząc bez celu
Aż tu zaszedłem.

ŚWIĘTOSŁAW.

To dziwne! W téj saméj
Dolinie, Wanda spotkanie naznacza.

RYTYGIER.

Spotkanie? Więc zwyciężamy!

ŚWIĘTOSŁAW.

Wątpliwa przyszłość... Głosem pojednacza
Ja-m ją na wszystkie białe zaklął bogi.
— Rugijskie spory, trudy groźnéj drogi,

Wspaniałomyślną opiekę dla jeńca,
Dziwy odwagi, moc miłości, — z wieńca
Twojego, wszystkie rozplotłem jéj liście.

Gdym zaczął, twarz jéj miała spokój gwiazdy.
Lecz się ćmił. Nagle spytała ogniście:
„Jak mam to zgodzić z dzikiemi najazdy?“

— „On nie chce wojny!“ Wołałem. „Królowo,
„Możesz przez jedno odwrócić ją słowo.
„Gdybyś przynajmniéj widziéć go raczyła!
„On dziś mię tylko z tą prośbą przysyła.
„Może go swoją przekonasz wymową?
„Może przyszłości zostawicie dzieło?
„Nie odmów, błagam! Serce mi zamiera
„Na myśl, by pole krwią Wendów płynęło.
„Powiedz, gdzie zechcesz spotkać Rytygiera?“

— „Ani mnie“ rzekła „iść pomiędzy wrogi,
„Ni jemu wchodzić za Krakowskie bramy.
„Słup Horowida stoi na wpół drogi.
„Pod nim się, dzisiaj, w południe spotkamy.“

RYTYGIER.

Co to za bóg jest? On zbrojny

ŚWIĘTOSŁAW.

To bóg posępny, *Bóg wojny*.
Wolałbym inną dziś wróżbę. — O xiąże,
Równéj kobiety ludy nie widziały!
Przewyższa wszystko co wieść opowiada.
Olbrzymia przyszłość ją czeka. — Lecz biada
Temu co serce z jéj losami wiąże!
Taka w niéj pełnia pogody i chwały,
Że jéj do szczęścia nie trzeba miłości.

RYTYGIER.

Przez bogi! Głos twój poi mię weselem.
Ja stawiam *wszystko*, gdy z losem gram w kości.
Czyżbym i ciebie nazwał przyjacielem,
Gdybyś mi nie był wrogiem pierw niż jeńcem?

Dla innych, dziewy, co z wiecznym rumieńcem
Tylko czekają na czuły wzrok. — Nie to
Rytygier marzył. — Dla mnie groźna — dumna —
Niech się opiera jak wichrom kolumna —
Niech jak bogini się broni —
Aż miecz wypadnie z jéj dłoni,
I uzna że jest — kobietą.

ŚWIĘTOSŁAW.

Szczęsny, kto w siłę swego szczęścia wierzy!
— Lecz patrzcie xiąże, co za połysk zbroi?
To już jéj orszak.

RYTYGIER.

I nam nie przystoi
Wystąpić przed nią bez kwiatu rycerzy.

Wychodzą.

Tymczasem **Orszak Wandy** *zstępuje z Wawelu, i staje po lewéj stronie posągu Horowida.*

SCENA III.

Tomiła, Własta, Płomniewa, Bożenna, Czesława *i inne* **Rycerki.** *Za niemi* **Waligóra, Wyrwidąb, Stanisław, Żupan, Starosta, Władyka, Zbigniew** *i inni* **Wojownicy laccy.**

CHÓR.

W górze zakwitło — w dole zabłysło.
Zielono-czoły, z niebiesko-licą,
Spotkał się Wawel, spotkał się z Wisłą.
Rycerz się spotka z dziewicą.

CZĘŚĆ CHÓRU Z PŁOMNIEWĄ *na czele.*

Z za gór orlica w słońcu migoce.
Z za morza sokół gromem uderza.
Po co im walczyć? Równe ich moce.
Siądą na drzewie przymierza.

DRUGA CZĘŚĆ CHÓRU Z WŁASTĄ *na czele*

Przymierza, wołasz? Próżną to pracą!
Na myśl umowy serce się zżyma.
Za krwawy najazd niech krwią zapłacą.
Z zaborcą przymierza niéma!

TRZECIA CZĘŚĆ CHÓRU Z TOMIŁĄ *na czele.*

Niéma go, wołasz? Po co krwi więcéj?
Rozkochanemu litośnie rokuj.
Niech wolno wraca sokół xiążęcy,
Byle zostawił nam pokój.

PŁOMNIEWA *od jednego ze starców bierze gęśl, występuje i przygrywając śpiewa.*

Pokój! Któż go nie pozdrowi?
Nikt o łzę go nie obwinia.
Nawet w niebie jest świątynia
Poświęcona Pokojowi.

Same bogi wejścia strzegą,
Czołem biją w téj świątyni.
Wszak ich szczęście w ręku jego?
Pokój, niebo niebem czyni.

Gdzie przebiegły ćmy wojacze,
Schylić się już niéma po co.
W dzień od dymów słońce płacze —
Krwawy postrach świeci nocą...

Serce drze się skrzypem osi,
Kiedy z pola rannych wiozą.
Nawet bocian gnany zgrozą,
Szczęście wioski gdzieś unosi.

Kupiec pyta jadąc w knieje,
Czy to wiatr czy zbójca świszcze?
Sam domowy pies dziczeje,
I jak wilk okrąża zgliszcze.

Ach inaczéj dni się żenią
Tam gdzie roli krew nie plami!
Wóz i koń strojne zielenią,
Wiozą snopy za snopami.

W izbie gładkiéj, wybielanéj,
Garczek syczy — ogień świeci —
Od nabiału brzmieją dzbany —
Baśń dziwaczka straszy dzieci.

Do świątyńki, do bieluchnéj,
Co za wsią błyska w leszczynie,
Na wasągu jadą druchny,
Jedzie miłość w rozmarynie.

Pieśń za wołem idzie miedzą,
Co poorze, to przystawa.
A pod dębem starcy siedzą,
I w przysłowiach dają prawa.

Orszak Rytygiera, *który podczas téj pieśni w głębi się ukazał i ciekawie przysłuchiwał, nadchodzi i staje po prawéj stronie posągu Horowida.*

SCENA IV.

Ciż co poprzednio, — przytém **Olaf, Godfryd, Hakon, Teobald, Giermek** *Rytygiera z harfą, oraz inni* **Rycerze Niemieccy**. *W głębi* **Świętosław** *pozostaje przez całą scenę milczący.*

CHÓR NIEMIECKI

Jaka to dziwna ta pieśń dziewicza?
Nas, królów burzy, — nas, mistrzów boju,
W jakiś nieznany świat w tajemnicza
I my wołamy: Pokoju!

CHÓR LACKI.

Jeśli tak, zgoda! Witać was będziem,
Nie jak najeźdźców, ale jak gości.
Gród pyszny wieżą. — Woda łabędziem. —
My, pysznim się z gościnności.

CHÓR NIEMIECKI.

O tak! Widzimy, są upojenia
Milsze jak szelest mieczów i łodzi.
Szczęsny, kto szyszak na wieniec zmienia!
Za trudem nagroda chodzi.

Lud tu potulnéj, poczciwéj twarzy.
Wioski jak kwiaty pod ręką leżą.
Każdy się w jednéj rozgospodarzy,
I zamek zbuduje z wieżą.

Świetną jest chwała, ale jaskrawsze
Od chwały, dziewic Wendyjskich lice.
Każdy poślubi mężną dziewicę.
Tu nam pozostać na zawsze.

MĘZKA CZĘŚĆ CHÓRU LACKIEGO.

A to zkąd wam ta myśl dzika?
Tak to rozum naje⁻dnika
Pojął nasze zaprosiny?
Gospodarzyć nie na swojem,
Odwrócić serce dz ewczyny,
To nazywa on pokojem?

CHÓR NIEMIECKI *zwracając się do kobiet lackiego Chóru.*

Niech wasza piękność nas uniewinni.
Któż-by nie został na widok taki?
Czyliż was godne owe prostaki?
Bohaterowie służyć wam winni.

KOBIECA CZĘŚĆ CHÓRU LACKIEGO.

Cóż powiedzą *wasze* dziewy?

Kłaniając się żartobliwie.

Cudzoziemcy dobréj drogi!

MĘZKA CZĘŚĆ CHÓRU LACKIEGO.

Dobréj drogi, lub... przez bogi!
Umiemy wyrzucać plewy.

CHÓR NIEMIECKI.

A czy wiecie, wy pastuchy,
Że z nas każdy syn xiążęcy?
Patrzcie! Z mowy jakie zuchy,
A serca jak u zajęcy!

CHÓR LACKI.

To ty myślisz, że kto orze,
To już z sercem nie człowieczem?
Ba! Mieczów nam zbraknie może?
My cepami was wysieczem!

CHÓR NIEMIECKI.

Dam ci radę: drżyj przed temi,
Przed któremi drżą i fale!

CHÓR LACKI.

Siedź sępie na twojej skale!

CHÓR NIEMIECKI.

Idź za wołem, synu ziemi!

CHÓR LACKI.

A do domu! Het na łodzie!

CHÓR NIEMIECKI.

Do chałupy chłopski rodzie!

GIERMEK HARFIARZ *występując*

Po co chcieliśmy pokoju?
Bogi nam naukę dały.
Mężny, gardzi plonem chwały,
Nie zapracowanym w boju.

Uderza w harfę.

Wojna duszą świat zapala!
Któż jéj wielkie zliczy dzieła?
Bez walk bogów, i Walhalla
Nad puharem by usnęła.

O zgnuśniały lud, co siedzi
Jak domowy ptak na grzędzie!
Lekceważą go sąsiedzi,
Życie bladym snem mu będzie.

Nie tak dzień się za dniem pali
Na niebiosach bohatera!
Inni sieli i orali,
A on przyszedł i sam zbiera.

Inni wznoszą miast posady,
A dla niego w nich gościna.
Inni w sejmach toczą zwady,
A on mieczem je przecina.

Piękność gardziła wszystkiemi,
A z nim płynie aż za morza.
Wszystko zagasa na niemi,
Jemu w pieśni wieczna zorza.

Uderza silniéj w struny.

Wojno-matko! Wyjdź z namiotów!
Tam, na Wawel nieś proporce!

CHÓR LACKI.

A więc wojna?

CHÓR NIEMIECKI.

Teuton gotów!

CHÓR LACKI.

Bracia! Daléj na zaborcę!

Oba Chóry *poruszają się ze szczękiem, gdy* **Tomiła** *przedziera się przez tłum i staje w środku.*

TOMIŁA.

Co wam się stało? Dość walki na słowa.
Nie chcecie-ż czekać co rozstrzygną wodze?
Do pochew miecze i przejście na drodze!
Królowa idzie!

WSZYSCY *rozstępując się.*

Królowa!

SCENA V.

Orszaki się otwierają, i z dwóch stron wchodzą:

Z jednéj **Wanda**, *w hełmie złocistym i takiem-że uzbrojeniu ze skrzydłami.*

Z drugiéj **Rytygier**, *w zbroi czarnéj, z hełmem w ręku.*

Rytygier, *staje w zachwyceniu. — Długie milczenie.*

RYTYGIER

A więc mam umrzéć? Walkirję ujrzałem.
Tylko Walkirja taką nosi postać
Skrzydła ją orlim podrywają szałem —
Stopy na ziemi nie mogą się ostać —
Oblicze jéj — słońcem białem!

Wiem... Komu drogę zastąpi skrzydlata,
Temu już krótko żyć między swojemi.
Młody ja-m jeszcze, — przecie nie żal ziemi.

Wiedź mię gdzie zechcesz, o słoneczno-włosa!
I mnie podrywa już tchnienie za-świata...
Walkirjo, lećmy w niebiosa!

Ogólne podziwienie. — **Rytygier** *głęboko się zamyśla.*

WANDA.

Mylisz się xiąże. Jeśli przyjmiesz tyle,
Ile w przyjaźni przyjmują rycerze,
Przynoszę tobie nie śmierć — lecz przymierze.
Wojny unikam.

RYTYGIER.

Nie, ja się nie mylę,
Cóż, że pozory życia mi zostaną?
Że mam wśród żywych, z piersią rozszarpaną
Chodzić jak larwa? Larwa jest umarła.
W sercu się mieści życiodajna siła.
Walkirja żywcem serce mi wydarła,
A potém mówi: „Jam go nie zabiła!"

WANDA.

Xiąże, dość skargi. Mnie raczéj przystoi
Winić naszego pokoju wydziercę.
Któż tu o wasze dobijał się serce?
W pośród kwitnącéj, cichéj ziemi mojéj,
Dni wiodłam, w wielkich dziełach zatopiona.
W wielkich zaiste! Na moje ramiona,
Boginie, cały nowy świat włożyły.
Zapracowani jakby pszczoły w domu,
Jednego ziarka nie wziąwszy nikomu,
Wiedliśmy zakon nieśmiertelnym miły, —
Gdy wódz daleki, czciciel bogów siły,
Spada na kraj mój z żelaznemi pułki,
Jak jastrząb spada na gniazdo jaskółki,
Ciągnie przez wioski, jako przez niebiosa
Ciągnie złą wróżbą gwiazda krwawo-włosa,

U bram stolicy staje jak zaraza,
Chce mi tron wydrzéć, pierścień dać w zamianę;
Lecz nie ze złota ów pierścień, — z żelaza.
Nie — tak nie będzie!

Przystępując do posągu.

Bóstwo niezbłagane!
Ty, które czerpiąc u jednego zdroju
Rosę obrony albo grad podboju,
Białém lub Czarném bywasz na przemiany, —
Jeżeli ujrzysz wiele krwi rozlanéj,
Ty zaświadcz, boże dwoistego lica,
Na sądzie wieków zaświadcz moje słowa:
Nie ja zaczęłam!

Do Rytygiera.

Xiąże Rytygierze!
Dziś jeszcze z wojskiem odejdź z pod Krakowa,
Jeśli nie, poznasz czém jest wódz-dziewica!

CHÓR LACKI.

Mówisz jak bogi, dziewo-bohaterze!

CHÓR NIEMIECKI.

A ty, nasz wodzu? Poznać cię nie mogę...
Gdzież ta wymowa, gdzież te obietnice,
Które w szaloną porwały naz drogę?
Dasz-że się w słowach pobić przez dziewicę?

RYTYGIER *wychodząc powoli z zamyślenia.*

Wszystko się prawdy z mych ust dopomina...
Wyznam, w czém leży *prawdziwa* przyczyna
Co mię przywiodła do Lechji.

WANDA *z lekkiem zdziwieniem.*

Prawdziwa?.

PŁOMNIEWA.

Czyż to nie miłość?

CHÓR LACKI.

Wyznaj Rytygierze.

RYTYGIER *z wahaniem.*

Są tajemnice, które wiejąc trwogą,
Tylko wybranym objawiać się mogą...
Ja moją, — tylko królowéj powierzę.

Na te słowa, ruch powstaje między **Rycerzami niemieckiemi** *którzy się cofają w głąb' sceny.*

Za ich przykładem **Orszak Wandy** *ustępuje.*

Wyrwidąb *i* **Stanisław** *ociągają się.* — **Tomiła** *ich w głąb' odprowadza.*

Na przodzie sceny zostają **Wanda** *i* **Rytygier.**

WANDA.

Słucham ciekawie.

RYTYGIER.

W krainach północy,
Gdy orzeł uśnie w blasku mroźnéj nocy,
Gdy morze huczy, wodospady syczą,
I wicher szarpie włosy czarnych lasów,
Siwi śpiewacy z harfami złotemi,
Opowiadają Sagę tajemniczą,
Szczątek mądrości z owych jeszcze czasów,
Kiedy bogowie chodzili po ziemi.

Jeśli-by wierzyć onéj dziwnej Sadze,
Spojrzenie ludzkie ma tak wielką władzę,
Że ludzie mogą przez zamianę wzroku,
Zamieniać dusze. — Ja téj wieści wierzę.

WANDA.

Jeszcze nie widzę, gdzie cel?...

RYTYGIER.

W długim toku
Wojen i przygód, wielu spotykałem.
Byli, karmieni płomieniem rycerze,
Królowie z sercem jak niebo wspaniałem,
I ściągający grom, czarnoxiężnicy.
Ja-m przecie wszelkiéj unikał źrenicy.
Dumny z téj duszy wykutéj potężnie,
Jaką w me piersi włożyli niebianie,
Zawsze-m się lękał stracić na zamianie.

Aż usłyszałem o Wendyjskiéj xiężnie.

„Wszystkich przewyższa w mądrości i w sławie,
„I w bohaterstwie. Z nią duszę zamienię!“
Tak zawołałem, i stanąwszy w nawie,
Wando, przybyłem po twoje spojrzenie.

WANDA.

Czyliż być może? Ta powieść, ta złuda,
Budzi w was wiarę?

RYTYGIER.

Czemuż nie? Pod słońcem,
Są, o królowo, jeszcze większe cuda.
Nienawiść nieraz jest miłości gońcem.
Bywa, że chory w truciźnie odzyska
Zdrowie. Nie większe-ż to jeszcze zjawiska,
Niż cuda wzroku?

WANDA.

I ty, mąż stalowy,
Wziął-byś za swoją, duszę białogłowy?

RYTYGIER.

O, któryż z mężów tobie zrównać może
W mężkości ducha? Spojrzyj choć raz ku mnie!

Wanda wpół się od niego odwraca.

Lackiego tronu odmawiasz mi dumnie,
Serca odmawiasz, ja znoszę w pokorze, —
Ale-ż odmówić spojrzenia jednego!

Po chwili oczekiwania.

Inne kobiéty mych oczów się strzegą.
Trwoży je dziwna wieść o moim wzroku...
Wierzą, iż spojrzéć na żadną nie mogę,
Bym na jéj serce nie rzucił uroku.

Czyżby i Wanda dzieliła tę trwogę?

WANDA *wspaniale się ku niemu zwracając.*

Nie! Nikt nie powié jak ziemia szeroką,
Że jest zaklęcie, oręż albo ręka,
Lub nawet śmiertelne oko,
Którego Wanda się lęka!

Zamieniają długie spojrzenie. Nagle **Wanda** *spuszcza oczy i głęboko się miesza.*

RYTYGIER.

Teraz już zwycięztwo moje!
Ja w spojrzeniu ci oddałem
Duszę opojoną szałem,
Skargi, żale, niepokoje,
Obrażonéj dumy ranę,
Całe serce rozkochane!
A z twych oczu w zamian wziąłem
Obojętność duszy twardéj,
I twój chłód z lodowém czołem,
I twój uśmiech z ostrzem wzgardy!

Teraz tobie drżyć, kochać, omdlewać z tęsknoty,
A mnie, nadawać prawa! Los się słusznie zmienia.

Czuléj.

Ale słodkie to prawa, które w xiędze złotéj,
Niebiańska Freja pisze łzami zachwycenia.

WANDA *z gwałtowną boleścią.*

Bogi! Po co z mych oczu zdarłyście zasłonę?

RYTYGIER.

Zgaduję twéj odmowy źródło utajone:
Chcesz rządzić? Wielkim duszom drogie panowanie.
Ja już nie chcę i tronu, — serca chcę jedynie.
Mnie w Rugji, tobie w Lechji niech władza zostanie.

WANDA.

On nie wié... Co mam mówić? Zamilkły boginie!

RYTYGIER.

Nie żądam by warownia twardsza od opoki,
Bez obrony oddała w piérwszéj chwili klucze,
Lecz weź dzień do namysłu. Choć jeden dzień zwłoki.
Ja, co-m nigdy nie czekał, czekać się nauczę.

WANDA.

Tak... jeden dzień namysłu... bogów się poradzę...

RYTYGIER *zwracając się do Orszaków.*

Rycerze! Na dzień jeden bronie zawieszamy.

Ogólne zdziwienie. — **Orszaki** *zbliżają się ze zgiełkiem.*

GŁOSY MIĘDZY TŁUMEM.

Rozejm? Pokój? W chwili saméj
Gdy miecz ostrzym? Jego słowo
Czarodziejską nosi władzę!

WŁASTA *przystępując gwałtownie do Wandy*

A ty cóż powiesz królowo?

WANDA *po długiém milczeniu.*

Jutro odpowiem.

Wanda *odchodzi zamyślona. Za nią jéj* **Orszak** *dający znaki podziwienia.*

Rytygier *i jego* **Orszak** *odchodzą w drugą stronę.*

W chwili gdy scena zostaje pusta, **Piorunna** *pokazuje się z po-za drzew.* **Rytygier** *spostrzegłszy ją, wraca się pospiesznie.*

SCENA VI.

Rytygier, Piorunna.

RYTYGIER.

To ona!
Witaj, o tajemnicza! Pamiętasz ty ową
Straszną noc?

PIORUNNA.

Straszna była, lecz błogosławiona.
Wywróżyła ci szczęście.

RYTYGIER.

Ach... wątpliwe jeszcze.

PIORUNNA.

Po cóż było słać posły? Czyż widzenie wieszcze,
Te *oczy,* nie mówiły, że ją tylko wzrokiem
Podbijesz?

RYTYGIER.

Dziś, spojrzała! Spojrzeniem głębokiém.
Słoneczném! Chyba jedni tak patrzą niebianie.
A jednak... Można-ż ufać, by ta świetła, biała,
Ta istota nie z ziemi, na ziemi kochała?

PIORUNNA.

Ona *już* ciebie kocha. Jeśli chcesz, wyznanie
Z jéj własnych ust otrzymać, tę radę ci daję —
Lecz tu nas mogą słyszéć.. pójdźmy między gaje.

Odchodzą i nikną pomiędzy drzewami.

Komnata Wandy białemi oponami obwieszona. W głębi biała kotara, przy której na ścianach wiszą: z jednéj strony miecz, z drugiéj wrzeciono.

Po prawéj stronie sceny, ława z wysokiém wycinaném oparciem. Przed ławą wielki stół na którym leżą tablice dwoistego gatunku: na jednych są nacięte napisy runiczne, na innych świecącemi gwoździczkami ponabijane są znaki niebieskie. Przy tablicach leżą pęki ziół.

Wanda, *w białéj szacie, bez zbroi, wchodzi zamyślona.*

SCENA VII.

WANDA *sama.*

Jedno spojrzenie... zapomniéć muszę...
Jedno spojrzenie — i świat się zmienia.
Byłoż-by prawdą, że na spojrzenia
Można zamienić i dusze?

Mieć komu zwierzyć każdą tęsknotę...
Pójść w służbę szczęścia, i w dobrowolną!
Ach, to marzenie... tak, — ale złote.
Czyż-by i marzyć nie wolno?

Wandzie, nie wolno! Duchów kochanka,
Sama iść musi z czołem ponurem.
Wołaniem kraju, niewieścim chórem,
Wzywa mię chwała niebianka.

Chwała i miłość! Równe w zachwycie,
Ta z wieńcem, tamta z gwiazdą na skroni.
Miłość i chwała! Czemuż przez życie
Tak rzadko idą dłoń w dłoni?

Czemu? Niebiosa są zazdrosnemi.
Kto-by, zawładłszy królestwem losów,
Miłość i chwałę posiadł na ziemi,
Był-by za blizkim niebiosów!

Zerwij z miłością, chwały czcicielko!
Póki czas jeszcze, zerwij, a śmiało!
Miłość o tyle przy źródle małą,
O ile przy ujściu wielką.

Po chwili.

Za późno! Chwała w pył się druzgoce...
Przeszłam za blizko strasznéj pochodni...
Miłość... To miłość! Nadziemskie moce
Zestąpcie! Brońcie mię od niéj!

Wchodzi **Piorunna.**

SCENA VIII.

Wanda, Piorunna.

PIORUNNA.

Nadziemskie moce słyszą cię, i oto
Ja, ich posłanka, z ratunkiem ci spieszę.

WANDA *oglądając się na nią z podziwieniem.*

Kto-ś ty, tak piękna a smętna istoto?

PIORUNNA.

Wiem, czego wiedziéć nie powinny rzesze:
Wanda zadrżała przed potęgą Lela.

WANDA.

Zkąd ty wiesz o tém?

PIORUNNA.

A czegóż ja nie wiem?
Lód się zapala pod ust mych żarzewiem.
Wzrok mój kamienie przestrzela.

Głos mój, jak trzodę zwołuje zawieje.
Po wichrach pływam jak skarga po jęku.
Śpiewam, a gad mi usypia na ręku.
Świsnę, a jastrząb truchleje.

Gdy się rozgniewam, na dno idą łodzie,
Nad wsiami ciągną pożarowe łuny,
I czarny pomór gospodarzy w grodzie.
Gdy przeklnę, biją pioruny.

Z taką to władzą, wśród duchów jedyną,
Zchodzę by zbawcze ci objawić słowo,
Ty w oczach tłumu niezłomna królowo,
A w moich, słaba dziewczyno!

WANDA.

Jest tu zaiste wyższa moc ukryta...
W chwili gdy wzywam ratunku z nad ziemi,
Ta się pojawia i w sercu mém czyta.

Po chwili milczenia.

Cóż więc dać możesz?

PIORUNNA.

Między mocy memi,
Jest moc, — (oh, każda z bogiń jéj zazdrości!)
Znam dwa zaklęcia na serce człowiecze:
Miłość rozniecam i z miłości leczę.

WANDA

Leczysz? Ty umiesz wyleczać z miłości!
I ty to umiesz? O wielka! Wspaniała!
Objaw mi, daj mi tę moc tajemniczą!
Ja-bym dziś za nią pół państwa oddała,
W piekła bym poszła za taką zdobyczą!
I czém-że leczysz? W jakże krótkiéj chwili?

PIORUNNA.

Chcesz-że bym nagle tę ranę zamknęła?
Krew jéj zaparła jak lodową tamą?
Nie, — i bogowie by tak nie leczyli.
Serce ma wolę, — serce musi samo
Wykonać połowę dzieła.

Módl się do Lela, módl się w niebogłosy,
By cię wypuścił ze swojéj niewoli.

Wanda ręką daje znak zniechęcenia.

Już słałaś modły? Lecz były-ż ogniste?

WANDA.

Jeżeli kiedy krzyk ludzkiéj niedoli
Trafił do bogów, to mój dziś zaiste,
Winien był przebić żelazne niebiosy!
Widział jak łkałam, jak łamałam ręce.
Czém-że dla Lela modlitwy najłzawsze?
Śmiał się w swém niebie!

PIORUNNA.

Nie, — Lel się użali.
Bogi się w ludzkiéj nie lubują męce.
Oni-by zawsze prośby wysłuchali,
Gdyby ją tylko mogli słyszéć zawsze.
Lecz tak daleka droga do ich świata,
Że głos człowieczy rzadko tam dolata.

Po chwili.

Gdybyśmy mogli sami przejść tę drogę,
Lub gdyby oni zchodzili ku ziemi,
Żadne by modły nie były próżnemi.

WANDA.

Gdyby!...

PIORUNNA.

A jeśli ja zaręczyć mogę,
Że są zaklęcia których straszna władza,
W czarowne koło i bogów sprowadza?
Jeśli przyrzeknę, że na znak méj laski,
Sam nieśmiertelny Lel przed tobą stanie,
Czy się odważysz na takie spotkanie?

WANDA.

Ach, jeśli bóg ten niesie słowo łaski,
Przez ogień pójdę do stóp koiciela!

PIORUNNA.

Ja tylko mogę ci *pokazać* Lela.
Zmiękczyć go prośbą, to zadanie twoje.

WANDA.

Ukaż go tylko, a ja go rozbroję.
Prawdziwa boleść znajdzie głos wymowy.

PIORUNNA *po chwili milczenia.*

Dziś więc o zmroku, sama przejdź za rzekę,
Czarną drożyną puść się w bór świerkowy.
Tam wojska strachów wielkie dziwy czynią.
Nie daj się zwrócić! Spuściwszy powiekę,
Biegnij, aż staniesz przed cichą jaskinią,
Gdzie Lel od wieków ma tajne ołtarze.
Tam o północy, bóstwo ci ukażę.

Chwila milczenia.

Wątpisz? Nie ufasz w czarodziejstwo moje?
Niech tylko zechcę, a trwogi ukoję:
Ufaj mi, Władno!

WANDA *cofając się z przerażeniem.*

Ty znasz to imie? Znasz? Nie mogłaś żadną
Zgadnąć go siłą, chyba przez natchnienie.
Znają je tylko Karpaty i Xienie.

PIORUNNA.

I mnie mądrości uczyły Karpaty.
„Król wężów“ mieszka wśród dziewiczych śniegów.
Przez paprociowe szłam do niego kwiaty,
I pić mi dawał z krynicy bez brzegów.

WANDA *z uniesieniem.*

Wiedź mię gdzie zechcesz, ufam twojéj mocy!

PIORUNNA.

Ja twemu słowu. Przyrzekłaś królowo.
Ujrzymy się, o północy.

Wychodzi.

SCENA IX.

WANDA *sama — chodzi niespokojnie.*

Wierzyć jéj?... Jak nie wierzyć? Zna zaklęte słowo
Przeszłości mojéj.
Więcéj: dnia dzisiejszego zgadła tajemnicę.
Bóstwo ukaże... serce ukoi...
Wielkie obietnice!

Wielkie, ale nie Wandzie wątpić o wielkości
Nadprzyrodzonych potęg. — Któż sobie urości
Prawo do wyrzeczenia: „To już być nie może!“
Wszak ja sama w Karpatach oglądałam ducha?
Czemuż byś nie miał zstąpić, o różowy boże?
Pójdę — Lel wysłucha.

Po chwili.

Jednak... wstręt nieprzeparty, jak przestroga cicha,
Od niéj odpycha.
Nie tak mówiły, nie tak spoglądały,
Karpackie Xienie!
Od tamtych wiał spokój biały —
Od téj, upojenie!

Zawrót chwyta czoło moje...
Ja tam się iść boję...

. . . .
. . . .

I jak ja się nie rumienię,
Już w najpierwszym dniu próby, bez walki, bez chwały,
Uciekać się z postrachu pod czarów obronę?

Gdzież to męztwo tak wielbione,
Ta moc z wiedzą, co wzbijały
Skroń mędrczyni i królowéj,
Po nad wszystkie białogłowy?

Gdy wschodziło słońce z rana,
Hart jéj dziwem był narodu.
Słońce ledwie u zachodu,
A jéj moc — złamana!

. . . .

Nie chodź Wando na boskich tajemnic podsłuchy.
Tylko mężny co zerwał z ostatnią nadzieją,
Wart, by tam ją odzyskał. Tobie, wielkie duchy
W oczy się rozśmieją!

. . . .

Walcz o własnéj sile.
Wyczerp cuda woli,
I czekaj, — choć boli.
Czas goi ran tyle!

. . . .
. . . .
. . . .

Czas! W tém też jest nieszczęście! Ja czekać nie mogę!
Gdybym miała dni, lata, niby wolną drogę
Gdzie płynie namysł cichy, gdzie szemrze liść marzeń,
I uczucia by zwolna czekały rozwicia.

Tu, serce się buntuje pod naciskiem zdarzeń.
Miłość u mnie dojrzewa w dniu swoich narodzin.
Ja-m przeżyła w kilka godzin,
Czém inne żyją pół życia!

. . . .
. . . .

To straszne *jutro* wisi jak burza nademną.
Do jutra muszę wybrać. — Potém... wieczne zorze!
Lub — wiecznie ciemno.

Z nagłém pomieszaniem.

Wybrać? Nie, — Wanda nawet wybierać nie może!

Boginie! Pocóżeście wydarły mi wolę,
I sztandar posłannictwa kazały nieść w pole?
Długo się, — nieświadoma! — pyszniłam z téj chwały.
Dziś przejrzałam, — za ciężko okupić ją trzeba.
Za sztandar z nieba, oddać szczęście nieba!

Czyż-by się złączyć nie dały?
Czyż nie rzekł sam: „Panowanie
Przy Wandzie zostanie?„

Słowo! Czcze słowo!
Kto chce panować, nie może mieć pana.
— Miłość w ustępstwach jest niewyczerpana.
Niech-by brew ściągnął, niech-by skinął głową,
Ja-m dzieło bogiń porzucić gotową.
Nie, — królowa zakochana,
Już nie jest królową.

. . . .
. . . .
. . . .

A tamten? Woła mię z hali!
Pod nim drży białość lodowca —
Nad nim troje słońc się pali...
Ślub mój, — do grobowca!

. . . .
. . . .
. . . .

Zda się, że dziś znaczenie proroctwa uchwycę...
Szczep Teutonów posiada groźną tajemnicę:
Na jakimkolwiek zatrzyma się łanie,
Tam obcy siew już zostanie.

Czyż nie jasne proroctwo? Jeśli Teutonowi
Królowa odda rękę, natenczas się może
I naród wynarodowi!

. . . .

Strzeż nas Biały boże!
Okropny obraz przed oczy mi staje:

Topór huczy. — Padają świątyń naszych gaje. —
Snuje się tłum obcych twarzy. —
Zamorski wóz sprowadza nieznaną boginię. —
Słyszę jęki... tam z ołtarzy
Krew człowiecza płynie!
Dzieci zapominają ojców swoich mowy. —
Młodzież, w obcym stroju,
Pogardza rolą o pracy surowéj.
Już ją nudzi pomyślność, niecierpliwi cisza,
I uczy się od przybysza
Krwawych praw podboju!

Kto przeszłość jeszcze kocha, jak cień chodzi w tłumie.
Kto dawny obrzęd święci, zamyka się w domu.
Kto dawną piosenkę umie,
Zaśpiewać jéj nie ma komu.

A rój słabych i chciwych jak na żer się zlata.
Usidłany w pochlebstwa i złota ponętę,
Brat podsłuchuje brata... brat wydaje brata!
I wszystko co było święte,
Staje się wyklęte.

Lech wychodzi z mogiły, woła dawnéj chwały,
Do serc i do drzwi puka... nikt sercem nie słucha!
Drzwi zamknięte. — I kraj cały
Zapada — w poddaństwo ducha.

. . . .

Pókiż tych mar lecących w drapieżnym rozpędzie?
Precz z oczu! Przepadajcie!... Z Lechją tak nie będzie!

Siada za stołem.

Wy, któreście umiały wśrod bezsennych nocy
I chmurnych dni, strapienia odpędzać odemnie,
Tablice, gdzie wieszczkowie zaklęli tajemnie
Pochód znaków niebieskich, tych run białéj mocy,
— Napisy, gdzie szeregiem praw, podań i pieśni,
Gęślarze nasi ryli od wieka do wieka,
Dzieje bogów i ludzi, — i wy goście leśni,
Zioła w których sto jadów i sto leków czeka
Mistrza, co-by się z niemi znał jak pszczoła z kwiatem,
Otoczcie mnie raz jeszcze zapomnienia światem!

Wczytuje się w tablicę z runami, i zwolna ją odsuwa.

To dziwne! Jakby nitka szkarłatna w tkaninie,
Miłość przebiega całe dawnych lat podania.

Tu bóg piekieł porywa niebieską boginię,
I odtąd ciemność nocna pół doby zasłania.

Ówdzie, miłość dwa serca z wrogich domów bierze,
Dwa rody miecz podnoszą, i cały kraj w wojnie.

Tam znów ludy co długo mierzyły się zbrojnie,
W królewskich zaślubinach ślubują przymierze.

Gdzie spojrzeć, w niebach szczęścia i chmurach boleści,
Wszędzie Miłość zwycięzko toczy lot gołębi.
Tyle razy śledziłam dawnych lat powieści,
Dziś dopiero dojrzałam serce na ich głębi!

Bierze pęk ziół.

Ta cierpka woń mię krzepi. — Wy, ciche mieszkańce
Wilgotnych puszcz i zwalisk, wy nie znacie wojny.
Tak, — ale miłość znacie. W zamku Wiosny strojnéj,
Bogowie lasów święcą wielkie zrękowiny,
I kwiat się staje szatą godową rośliny.
Krasne pary motyli puszczają się w tańce,
Gra na skrzypkach ptaszęcych miłość latająca,
Liść liściowi powierza tajemnice rzewne,
Promień wykrada rosę jak rycerz królewnę.
A tam, z bijącą piersią, w promieniu miesiąca,
Dziewica się przemyka przez mgły i powoje,
Pod drzewo, kędy na nią czeka ukochany.

Gdzie spojrzéć, na żywioły, ludzi, czy niebiany,
Wszystko tam kocha, wszystko! A ty-ż, serce moje?

Bierze tablicę ze znakami niebieskiemi.

Te znaki chłodzą duszę jak noc skrząca mrozem.
Gwiazdy, bez namiętności, równo, nieskończenie,
Toczą się jakby koła, pod kowanym wozem,
Na którym przez świat jedzie twarde Przeznaczenie.

Odpycha tablicę.

A gdyby jutro odszedł? Jutro i na zawsze!
O wtedy lepiéj nie żyć! Rozdarcia najkrwawsze
Znośniejsze niż ta próżnia... Od tego dnia, na co
Każdego dnia się budzić? Z taką ciężką pracą
Dobijać się o mądrość? Piękną być, dla kogo?

. . . .

Żegnajcie sny przyszłości! Zwiędłe w pączku chwały!
Żal... tak wiele się od was wieki spodziewały!

Dziś i bogowie sami wskrzesić was nie mogą.
Choć zrzeknę się miłości, siły mnie odbiegą...
Nie utrzyma sztandaru przodownica rzeszy.

. . . .

Kto złotego, niebieskiego,
Ptaka szczęścia raz dogoni,
I musi go puścić z dłoni,
Ten się nigdy nie pocieszy!

Wstaje.

Nawet wiedza już dla mnie kojącą moc traci.
Na kartach, listkach, widzę rys jego postaci...
Wszędzie on i on jeszcze! Tak zostać nie może. —
Zrzuć pychę z serca, — wyznaj niemoc swoję,
I pójdź rycerko w pokorze,
Prosić u duchów o zbroję.

Wybiega.

Las. — *W głębi, wejście do jaskini wpół zarosłe pnącą się zielonością.* — *Z boku tryska źródło.* — **Noc.**

Na przodzie sceny stoi siedem **Czarnych Xień.** *Wszystkie są żywo zajęte rozmową.*

SCENA X.

Piorunna, Lekka, Mroczna, Wabna, Skarbna, Złudna, Wróżna.

PIORUNNA.

Takie jest więc jak rzekłam, czarodziejstwo moje.
Dajmy czarom rozpocząć, a miłość dokona.

ZŁUDNA.

Tak, ale gdy go pozna?

PIORUNNA.

Tego się nie boję.
Gdy pozna, to za późno. Trwożna, odurzona,
Wierzcie mi, przyjmie złudę z radością tajemną.

W ową też chwilę zwołam piorunów dwór cały.
Nawałnicą zmuszeni, schronią się pod skały.
A wtedy, niech grom nigdy nie zadrży przedemną,
Jeśli tam, w ciszy opok, przy szeptaniu zdrojów,
Przy szeleście słów czułych i szmerze powojów,
Sercu Wandy na prawdę Lel się nie objawi.
Taką jest zemsta moja.

WSZYSTKIE SZEŚĆ XIEŃ.

Pokłon ci i sława!

SKARBNA.

Łaskawą jesteś! Inna mściła by się krwawiéj.

MROCZNA.

Poniż, zdepcz tę co w dumie, przez surowe prawa,
Chciała zniszczyć na ziemi nasze panowanie.

WABNA.

Tak, zważ iż nasza zemsta jéj szczęściem się stanie.

PIORUNNA.

Szczęściem? Nie! Choć pokocha, zachowa do zgonu
Żal, że niezbudowała nowego zakonu.

Wpatruje się w głąb' lasu.

Patrzcie: cień się przedziera przez mgły i uplecie...
To już ona! Do dzieła! Na znak laski mojéj
Spełniajcie co mówiłam, a o tém co wiecie,
Milczcie... Wszystko na wielkiéj tajemnicy stoi.

Wanda *wchodzi oglądając się z niepewnością.* — **Czarne Xienie** *biorą się za ręce, otaczają* **Wandę** *i prowadzą ją na przód sceny, tańcując i śpiewając.*

SCENA XI.

Też co poprzednio i Wanda.

CHÓR CZARNYCH XIEŃ.

Jakaż pędzi cię siła,
W takim żalu i trwodze?
Czy zgubiłaś co w drodze?
Może-ś serce zgubiła?

Kto je zgubił, niech płynie
Po mórz siedmiu głębinie,
Niech przemierzy pustynie,
Niech sto lasów przeminie,
Niechaj skrzydła rozwinie,
Aż postrzeże jaskinię,
Gdzie wśród szumu powoi,
Wśród gołębich gniazd,
Lel pojawia się, w zbroi
Kutéj z łez i gwiazd.

A widziałaś ty Lela
Z żarzącemi oczyma?
On słoneczny kosz trzyma,
W koszu serc ma jak ziela.
— Serce zdobyć chcesz czyje?
Tylko Lela proś o nie.
— Swoje własne masz w plonie?
Tylko Lel je odbije.

— Serca bierze i daje
Nieśmiertelny swat.
Przed nim wszystkie drżą kraje,
Drżą nieba, drży świat!

WANDA.

Więc nie zbłądziłam? Tak, widzę jaskinię.

CHÓR CZARNYCH XIEŃ.

Serce cię wiodło — serce nie omyla.

WANDA.

Straszny, zaklęty ten las! Była chwila,
Że chciałam wracać... Po czarnéj drożynie,
Złe siły chodzą... Już i za tron świata,
Drugi raz taka nie zwabi mię ścieżka.

Ogląda się w koło.

A jednak dziwno... tutaj, gdzie Lel mieszka,
To złe przeczucie odemnie odlata.

Jak tu uroczo! Te kwiaty, te bluszcze,
Zdają się szeptać rozmową wonności.
Jakiś duch z nieba powiewa na puszczę...
Dziwnoż? Tu miłość, sama miłość gości!

Po chwili.

Obudź się Wando! Nie teraz ci do dna
Zgłębiać jéj urok... nie teraz zaiste!

Ogląda się znowu.

Pokłon wam, skały surowe i mszyste.
Ztąd wrócę, znowu silna i swobodna.

Tymczasem sześć **Czarnych Xień** *nakłada sześć ognisk, po trzy z każdéj strony wejścia do jaskini.*

Piorunna *wziąwszy różową laseczkę, przystępuje do* **Wandy**.

PIORUNNA.

Szybko godzina tajemnic uderzy...
Czas nam już krótki, a jeszcze ci wiele
Chciałam powiedzieć. Masz ducha rycerzy,
Gdy las postrachów przebyłaś tak śmiele.

Lecz wszystko niczém, przy tém co cię czeka.
Zjawienie Lela, w głaz ludzi przemienia.

WANDA.

Czyż on tak straszny, on, bóg zachwycenia?

PIORUNNA.

Nie, — lecz się śmierci równa dla człowieka,
Patrzéć przed śmiercią twarz w twarz na niebiany.
Ztąd wielu mężów martwych wynoszono,
Niejeden mędrzec wyszedł obłąkany.
Rozbudź więc w duszy moc nieustraszoną,
By na ten widok nie zmarła ci mowa.
Z bogami, musi być zwięzła i szczera.
Gdy ujrzysz Lela, wyrzeknij te słowa,
Tylko te słowa: „Kocham Rytygiera.
„Czy chcesz wydarte powrócić mi serce?“

Chwila milczenia

Będziesz-że mężną?

WANDA.

Zawierzaj rycerce.

PIORUNNA.

Tylko pamiętaj, — tego Lel chce srogo, —
Pamiętaj wyznać, *że* kochasz i *kogo.*

Wanda *milczy.*

W puszczy słychać szum daleki. **Piorunna** *oddala się i nagle wraca z pośpiechem.*

PIORUNNA.

Już czas... Raz jeszcze przed progami cudu,
Zaklinam ciebie, na serca bezdenie,
Na przyszłość twoją i twojego ludu,
Choć widok Lela wprawia w osłupienie,
Niech Wanda męztwa i wiary nie traci.

WANDA.

W jakiéj-że on się objawia postaci?

PIORUNNA.

Każdemu w innéj... postaciami temi,
Jakby szatami okrywa swą własną.
Najczęściéj... w takiéj zchodzi ku nam z nieba,
Pod jaką nam się dał poznać na ziemi.

Chce odchodzić.

WANDA *idąc za nią niespokojnie.*

W takiéj? Nie odchodź! Nie pojęłam jasno...

PIORUNNA.

Ha! Już się mieszasz?

WANDA *idąc za nią.*

Dwóch słów tylko trzeba!

PIORUNNA *śpiewa.*

Późno pytać! Lel się budzi.
Bije godzina potężna.
Ja-m jest teraz duchów xiężna —
A ty, korz się, xiężno ludzi!

Szum się zbliża, — gwałtowny wicher uderza, — drzewa się do ziemi pokłaniają.

Z sześciu ognisk wybuchają wielkie płomienie różnobarwne.— Zwolna, wicher ucisza się i w szum dźwięczny rozpływa.

Piorunna *z laseczką podniesioną stoi przed wejściem jaskini, — każda z* **sześciu innych Xień** *przed jedném z ognisk*

LEKKA *rzuca w ogień pióra i śpiewa.*

Szczęsna turkawka bujała w chmurach.
Strzelec w zielonéj zszedł ją upleci.
Oto jéj skrzydła. Niech na tych piórach,
Miłość od Wandy odleci!

WROŻNA *rzuca w ogień przełamaną strzałę i śpiewa.*

Męzką strzałę złamało me kobiece ramie.
Niech tak siła Dziewanny siłę Lela złamie!

SKARBNA *rzuca w ogień bursztyn i śpiewa.*

Rzucam w ogień twój kadzidła.
Oto bursztynowa bryła.
Motyl w niéj umaczał skrzydła,
I na wieki go schwyciła.
Ale w ogniu bursztyn pęka.
Kres niewoli motylowéj!
Niech tak Lelu twoja ręka,
Zerwie z serca *jéj* okowy!

MROCZNA *rzuca w ogień pęk cierni i śpiewa.*

Płomień te ciernie w popiół przemieni.
Tak i ty przemień, boże płomieni!
Kolec z *jéj* serca wyrwij litośnie, —
On zawsze pod różą rośnie!

WABNA *rzuca w ogień uplot włosów i śpiewa.*

Przezrocza i biała, na marach leżała
Dziewica, co zmarła nie znawszy kochania.
Oblaną w łez rosę, ucięłam jéj kosę,
Złocistą jak promień zarania

Na twoje ołtarze przynoszę ją w darze.
Za klejnot tak rzadki, niech Lel się nie wzbrania
Méj prośbie: i *ona*, niech życia dokona,
Nie znając, jak tamta, kochania.

ZŁUDNA *rzuca w ogień wianek z niezapominajek i śpiewa.*

Płomienie pożerajcie równiankę błękitną
Z kwiatów pamięci splecioną.
Wspomnienia o kochanku co w *jéj* sercu kwitną,
Niechaj tak spłoną — i wioną!

PIORUNNA *zawsze u wejścia jaskini, podnosi laseczkę.*

Patrz! Wanda czeka schyliwszy głowę.
Lecz próżne dary, obrzęd i śpiew.

Boże wieńczony w gwiazdy różowe,
Za cóż ten wielki na nią twój gniew?
Jeśli tak mieszkasz wysoko w niebie,
Że nie możemy znać gdzie twój tron,
To sam zstąp do nas! Zaklinam ciebie
O Lelu!

Podnosząc nagle głos.

Pojaw się!

Z głębi jaskini pojawia się u wejścia postać **Rytygiera.**
Wanda *z wykrzykiem.*

On!

Stoi nieruchoma. — Długie milczenie. — **Sześć Xień** *rozchodzi się nieznacznie w głębiach lasu.*

PIORUNNA *przystępuje do Wandy i mówi głosem stłumionym.*

Wando, ocuć się... Wando, patrz: on nie jest w gniewie.
Mów, — chwile drogie... krótkie są zjawienia ducha.
Mów-że! Jakże cię wysłucha,
Jeśli, czego żądasz, niewie?

Czemu stoisz skamieniała?
Czy-żem cię nie ostrzegała,
Że bóstwa się zjawiają, pod kształty takiemi,
W jakich nam dały poznać moc swoją na ziemi?

Milczenie. Wanda stoi nieruchoma.

Spójrzcie narody!
Oto ta wielka
Praw tworzycielka,
Ta która mężom hetmani,
Ta mędrców pani,
Co zna tajniki piekieł, gwiazd, ziemi i wody,
Ta co przed wami, dumna i skrzydlata,
Zdała się jak bogini wołać: „na kolana!“
Pierwszym promieniem boskiego świata,
Spiorunowana!

Wanda stoi nieruchoma.

Tylko tamtych słów kilka! Zmóż ten strach dziewczęcy.
Ha! Już nie wiem co rzec więcéj.
Otworzyłam ci niebiosy, —
W twém ręku twe losy.

Odchodzi w głąb sceny, tam podnosi laseczkę i czyni znaki ku niebu. Wnet zaczyna się chmurzyć i zciemniać.

Postać **Rytygiera** *wychodzi z jaskini i zwolna zbliża się ku* **Wandzie.**

RYTYGIER.

Przyszła więc chwila łaski! Własnemi oczyma
Widzę, i jeszcze uwierzyć nie mogę.
Wando! Słów na mą wdzięczność w ludzkiéj mowie niéma.

Sama przebywa straszną, leśną drogę, —
Bieży w noc czarną, między groźne skały, —
Lecz noc i skały słońcem wzroku złoci,—
O bądź błogosławiona! Ten klejnot dobroci,
Droższy niż cała korona twéj chwały.

— A teraz, słucham. — Głos twój, zawsze mię zachwyca,
A cóż dziś! — Jak być musi ważną, tajemnica
Którą chcesz mi powierzyć, gdy w zmroku i ciszy
Obrałaś nam ustronie. — Mów, nikt nas nie słyszy.

Ale cóż to? Tyś blada... martwa jak ta skała.
Wando? Tak-że się nasze spotkanie otwiera?
Czy-żeś nie sama miejsce i chwilę wybrała?
Czyż nie sama tu chciałaś spotkać Rytygiera?

Milczy — i jeszcze milczy. — Serce mi się mroczy...
To nie dziewicze zapłonienie trwogi,
To gniew, czy rozpacz? Patrzy, lecz te oczy
Jak obłąkane.
— O bogi!
Cóż ja mam jéj powiedziéć? Czém-że ją ukoję?
Braggo, boże wymowy, natchnij usta moje!

Słychać grzmoty.

PIORUNNA *pospiesznie do nich przybiega.*

Szybko... prędzéj, — tam pod skały
Idźcie... Dreszcz ziemię pochwyca. —
Nieba się zachwiały. —
Słyszycie? Tam grzmotami stąpa nawałnica.
Biada, kto ją spotka w lesie!
Złamią mu się pnie na skroni,
Wiatr na bagna go poniesie,
I wilkołak go dogoni!

Do Rytygiera.

Jeśli chcesz ją ocalić, schroń ją pod opoki.
Ten przybytek skalisty, wielkich duchów dzieło,
Taki czarowny, cichy i głęboki,
Że tam was nie dosięgnie nawet sam Piekiełło.

Po chwili, z szyderstwem.

Lecz cóż to? Wy-ście jeszcze się nie pogodzili?

RYTYGIER.

Co ty jéj uczyniłaś? Ona się mnie lęka.

WANDA *jakby ocucona, zwraca się gwałtownie do Piorunny.*

Mów, czy to Lel? . .

PIORUNNA.

Niegodna! Wątpisz do téj chwili?
Drżyj, czy i ciebie w straszny dzień zawarcia powiek,
Nie odepchnie bogów ręka,
Gdy tu odpychasz ich dary,
Dziewko płochéj wiary!

WANDA *jeszcze gwałtowniéj.*

Kobieto, odpowiadaj! Czy to bóg, czy człowiek?

PIORUNNA.

Ha! Jak gdzie i jak dla kogo.
Są ludzie co się sercu bóstwem wydać mogą.

WANDA *porywając ją za rękę z największą gwałtownością.*

Cóż ja z waszych zaklęć znam?
Czy to zwodne kształty mary,
Wywołane przez twe czary?
Czy żywy on sam?

PIORUNNA.

A choćby to i on był?
Winna-byś mi dziękować z wszystkich serca sił,
Że cię musem przyjaznym wiodę w przeznaczenie,
Które odpychasz szalenie!

WANDA *podnosi miecz i zamierza się na nią, ale wnet go opuszcza a* **Piorunnę** *odtrąca.*

Czarni bogowie! Po co mię kusicie?
Gniew nie zna co czyni...
— Jeśli ci jest drogiem życie,
Precz z przed mych oczu, zdrajczyni!

Piorunna *oddala się z ponurém podziwieniem.*
Burza zbliża się.

Wanda *do Rytygiera.*

A ty! To postać orła — ale serce sępie.
Rycerz, jak mogłeś ręce umaczać w podstępie?

RYTYGIER.

W podstępie? Chyba sama nie wierzysz w to słowo?
Na mój miecz ci przysięgam, ja nie wiem o niczém.
Te ognie, śpiewy, wszystko dla mnie tajemniczém.
Dziś tylko mi rzeczono, — powtórzę ci szczerze —
„Kto się chce widzieć z królową,
„Niechaj o duchów godzinie,
„Zwiedzi Lelową jaskinię.“
Czyż mogłem nie przyjść?

WANDA *z radością.*

Chcę ci wierzyć — wierzę!
Ach ocal mię, uprowadź z tego gniazda sideł!

RYTYGIER.

Idźmy! Burza za nami, a miłość na przedzie!
Stopy lżejszemi od skrzydeł,
Idzie ten kto Wandę wiedzie.

Błyskawica. — **Wanda** *nagle się zatrzymuje*

WANDA.

Nie, — każde pójdzie w swą stronę.
Chcę iść sama.

RYTYGIER.

W taką noc?
Pod to niebo zapłonione?
Przez potoki, przez ten las,
Gdzie harcuje czarna moc?
Nie! Sam los połączył nas.

WANDA.

Dla rycerki, czém widma? I ogniste deszcze?
I czarnoxiężnic przekleństwo?
Tylko *tu* niebezpieczeństwo!

Burza rośnie. — *Słychać szum ulewy.* — *Pioruny biją.*

RYTYGIER.

Jeśli chcesz bym cię puścił, rzeknij te dwa słowa:
„Kocham cię.“

WANDA.

Nie dziś pytaj! Ja nic nie wiem jeszcze...

RYTYGIER.

Jeszcze? Dzień co rozpędzi wkrótce te obłoki,
Kres i przymierzu położy.
Niech wiem, czyli mam jutro dobywać Krakowa,
Czy też...

WANDA.

Daj mi czas jeszcze... choć jeden dzień zwłoki!
Jeden dzień Rytygierze, to wielki dar boży.
Ileż może zmian przynieść, wypełnić nadziei!

RYTYGIER.

Ja-m zwykł grody i serca brać w pierwszym zapędzie.
Dość już zwłok.

WANDA.

Bądź wspaniały! Patrz, Wanda z kolei
Błaga ciebie!

RYTYGIER.

Ty, błagasz? Niech-że i tak będzie.
Jutro na nowo stwierdzim jeden dzień przymierza.
— A teraz, idźmy.

WANDA.

Na twą cześć rycerza, —
Dozwól mi iść saméj.

RYTYGIER.

Wando! Zła wróżba, jeżeli
Burza nas rozdzieli...

WANDA.

Żegnaj! Jeszcze się spotkamy!

Wyrywa się i ucieka w las. — **Rytygier** *za nią patrzy w zachwycentu.*

Akt czwarty.

AKT CZWARTY.

Wielki kryty ganek przed xiążęcym dworem w Krakowie. — W głębi słupy drewniane unoszące poddasze ganku. — Za słupami widać ogród do którego zchodzi się z ganku.

Po prawéj stronie ściana i drzwi pałacu. — Pod ścianą ławy.

Po lewéj stronie dwa monarsze siedzenia, wyniesione i bogato okryte. Na słupach wieńce. — Ziemia kwiatami wysypana.

Po-za wyjściem ganku, w ogrodzie, przechadza się **Strażnik** *z wysoką włócznią w ręku.*

SCENA I.

Na stopniach siedzenia xiążęcego, **Stanisław** *siedzi zadumany. — Wchodzi* **Wyrwidąb.** *— Długo patrzą na siebie.*

STANISŁAW.

Wyrwidąb gniewa się na Stanisława?

WYRWIDĄB.

Bywał gniew szczery, była zawiść krwawa,
Póki-m cię sądził szczęśliwszym odemnie.
Dziś, gdy nas obu zdradzono nikczemnie,
We wspólnym gniewie połączmy się Stachu.

Bierze go i wstrząsa za rękę.

Powiedz, co dzisiaj stało się w tym gmachu?
Czy już ta ziemia taka zniewieściała,
Że tu dla wieńców, zbroje wyrzucili?

STANISŁAW.

Nie wiesz?

WYRWIDĄB.

Nic nie wiem. — Już wczoraj, od chwili
Gdy się z nim Wanda pod słupem spotkała,
Biegłem do domu, wrota zatrząsnąłem.
Jak niedźwiedź miodów nie znalazłszy w ulu,
Skryłem się w ciemność i milczałem z bólu.

Dziś, wszedł posłaniec, i z okiem wesołém
Rzekł, jakby mojéj urągał rozpaczy:
„Xiężna dziś wszystkich na ucztę zaprasza.“
— Przychodzę pytać co ta uczta znaczy?

STANISŁAW.

Krótką tu była nieobecność wasza,
Ileż zmian jednak!... Własta i Tomiła,
Wczoraj i dzisiaj nie weszły do rady.
Płomniewa nagle władzy dostąpiła.
Daje rozkazy, zarządza biesiady.
Z nią godzinami rozmawia królowa.
— Od Rytygiera były nowe posły,
I nowy rozejm na dzisiaj przyniosły,
Jeśli ich xięcia puścim do Krakowa.

W nielicznem gronie ma przyjść bezorężnie.
„Bo wié on,“ mówią, „że nikt nie uzyska
„Obcego tronu ni serca, gdy zbliska
„Nie da się poznać starszyźnie i xiężnie.“

WYRWIDĄB.

I zezwolili? On tu będzie? Przy niéj?

STANISŁAW.

Choćby nie chciała, cóż opór uczyni?
Rada i miasto, przyjęły z zapałem;
Ten, jak wołają, „dowód zaufania.“

Po chwili

Lecz dziś, nie przymus jéj wolę nakłania.
Cały świat szczęścia w jéj oczach widziałem...

WYRWIDĄB.

Więc to tak? Uczta na cześć Rytygiera?
Teraz nam, wiernym, już nic nie zostaje,
Jak wziąć maczugi i pójść w obce kraje.
— Lecz nie... tu zemście pole się otwiera.
Zmrożę ich szczęście przez tchnienie zawisne.
Jéj saméj w oczy grom wyrzutów cisnę.
— Gdzież ona?

STANISŁAW.

Wdziewa świąteczne przystroje.
Ochłoń... gdy przyjdzie, hamuj usta twoje...
Jeśli go kocha, rzucone już kości!
Czyż gromem, zwiąże kto skrzydła gołębie?
— Ach, nie nam bluźnić, nie nam Wyrwidębie,
Pzzeciw potędze miłości!

WYRWIDĄB.

Przeklęte owo pod słupem spotkanie!
Co on mógł Wandzie powiedzieć?

SCENA II.

Drzwi pałacowe otwierają się, z nich spiesznie wychodzi **Płomniewa**.

WYRWIDĄB *zastępuje jéj drogę.*

Z królową
Można się widzieć? Jedno ważne słowo...

PŁOMNIEWA.

Ach, jeśli ważne, odłóżcie je panie.
Dzisiaj pląsają i stopy i dusze.
Dajcie-ż i xiężnie wypocząć.

WYRWIDĄB *podniesionym głosem.*

Ja muszę
Widzieć ją.

PŁOMNIEWA.

Muszę? To słowo mię dziwi.

WYRWIDĄB *przy drzwiach pałacu.*

Ja tak chcę! Puść mię, nieużyta dziewo!

Wanda, *w różowéj szacie i kwiatach na głowie, odchyla drzwi pałacowe i zwolna z nich wychodzi.*

WANDA.

Kto chce mnie widzieć? Puszczaj ich Płomniewo.
Dziś chcę by wszyscy odeszli szczęśliwi.
— Biegnij do skarbca i przynieś ni berło,
Ach... i pamiętaj o wielkim puharze.

PŁOMNIEWA.

O którym, duńskim?

WANDA.

Ów, z ogromną perłą,
Co go Wyszymir wziął od Hildy w darze.

PŁOMNIEWA *półgłosem.*

Puhar miłości!

Płomniewa wychodzi.

Stanisław, *za wejściem* **Wandy** *powstał, i stoi w głębi oparty o słup ganku.*

Wyrwidąb *stoi przed* **Wandą** *z założonemi na piersiach rękami.*

WANDA.

Jak me serce rade
Widzieć przyjaciół! Czy już na biesiadę
Przyszliście?

WYRWIDĄB.

Wando, — na biesiadę wcześnie.
Na szczęście późno.

WANDA.

Na szczęście?

WYRWIDĄB.

Królowa
Rzekła: „Dziś wszyscy niech będą szczęsnemi.“
Ha! Fałsz wyrzekła. — Jak widzieć boleśnie,
Że ty, co bóstwem byłaś mi na ziemi,
Nie umiesz, nie chcesz dotrzymywać słowa,
Ty, wiarołomna!

WANDA.

Co znaczy ta mowa?

WYRWIDĄB.

Czy nie pamiętasz? Przed siedmioma laty,
Kiedy młodziuchna rzuciłaś Karpaty,
Tu, na tym ganku, w tém miejscu gdzie stoję,
Ja-m ci raz pierwszy wyznał miłość moję,
Szczerze i zwięźle, tak jak wszystko czynię.
A gdym się uniósł, z nadziei wyzuty,
Rzekłaś tak: „Miłość nieznana rycerce.
„Jeśli-by kiedy uległo me serce,
„Daję wam prawo czynić mi wyrzuty.“
Ja-m stał jak człowiek co słyszy boginię.

Odtąd, milczałem, tłumiłem zgryzoty,
Myśląc żem sługą nadziemskiéj istoty.
A dziś!

WANDA *dumnie.*

Cóż dzisiaj?

WYRWIDĄB.

Pytasz? Jeszcze-ż mało?
Twe lice płonąc już odpowiedziało!

WANDA.

Któż oburzeniem, podziwem nie spłonie?
Czyż ja nie rządzę? Nie wolno-ż mi będzie
Środków łagodnych użyć za narzędzie,
Jeśli ich władzą naród mój obronię
Od krwi rozlewu?

WYRWIDĄB.

Ja tobie nie wierzę.
Ty jego kochasz!

Chwila milczenia.

WANDA.

Nie z samych promieni
Korona władców. Gdybym doświadczyła
Że jest za ciężką na kobiece skronie,
Wszak wolną jestem?

Tymczasem w głębi, wejściem od ogrodu, zbliża się **Tomiła** *którą* **Strażnik** *po chwili wahania wpuszcza.*

WANDA.

Kto wchodzi? Tomiła.

Do Wyrwidęba i Stanisława.

Żegnam — Na ucztę czekam was rycerze.

Do Stanisława samego łagodniéj.

Przyjdź wodzu, Wanda twoją przyjaźń ceni.

Wyrwidąb *chwilę stoi.* **Stanisław** *go odprowadza. — Wychodzą.*

SCENA III.

Wanda, Tomiła *zawsze w głębi.*

WANDA.

Czemuż Tomiło oglądasz się smętno,
I w progu czekasz?

TOMIŁA.

Nie będę-ż natrętną?

WANDA.

Ty?

TOMIŁA.

Inne myśli dziś u was być mogą.
Jednak... spieszyłam, bo z wieścią radosną.

WANDA.

Z wieścią? Od niego?...

Zatrzymuje się.

Co mówię... od kogo?

TOMIŁA.

Wando, zwycięztwa z pod stóp twoich rosną.
Dziś rano, kupcy z nad Warty przybyli,
Wieść niesłychaną po grodzie puścili.

W Kaliszu, starcy zchodząc się na roki,
Sądzili sprawę ciemną i zwikłaną,
Tak że z dnia na dzień wyrok odkładano.
Wszyscy szemrali na wieczne odwłoki.

Aż kilka niewiast, co w serca ciekawe
Zdaleka chwyta każde wasze słowo,

Siadło wieczorem pod roków dąbrową,
I dła igraszki osądziło sprawę.

Nija cudownie ich myśli natchnęła.
Jak górnik trafia na blask srebrnéj żyły,
One od razu na prawdę trafiły.
— Starcy, zdumieni mądrością ich dzieła,
Wyrok tych niewiast ze czcią potwierdzili,
A lud je przyjął między swoje sędzie.

Po chwili milczenia.

Wielki wypadek! Wielki już w téj chwili.
Czém-że dopiero w swych owocach będzie?

WANDA *która słuchała z roztargnieniem.*

Jaki wypadek?

TOMIŁA.

Prawdą-ż by więc było?...
Wy nie słuchacie *takich* słów?

WANDA.

Tomiło
Przebacz... ja czasem taka dziwna jestem...
Nie, ja-m słuchała, ja-m pełna radości
Z owéj przygody, — lecz ja czekam gości...
Słyszysz? Czy szum ten byłby drzew szelestem,
Czy to już oni?

TOMIŁA.

Ach, gdym tu spieszyła,
Gdym się ujrzała panią owéj wieści,
Wołałam: „Niebo probierz mi przysyła.
„Jeśli to słowo, tak potężnéj treści,
„Że winno wstrząsnąć dworem, państwem całem,
„Serca królowéj nie wstrząśnie zapałem,
„Wszystko stracone.“

Oddala się płacząc.

Tak, wszystko stracone!

WANDA.

Stracone? Płaczesz?... Jakże-m nieszczęśliwa!
Raz jeden chciałam z kwiatów mieć koronę,
A kto tu wejdzie, to mi kwiat obrywa.
— Czyż się ma przyjaźń dla ciebie zmieniła?
Nie! Wierz mi, — nie płacz.

TOMIŁA.

Wando! Czyż Tomiła
Nad sobą płacze?

WANDA.

A nad kim-że?

TOMIŁA.

Płaczę
Nad tysiącami tych kobiet co żyją,
I co żyć mają. – Pod ręką-że czyją
Zbiegną się teraz te dusze prostacze,
Ciemne, bezwiedne, co przez ziemię bożą
Idą, nie wiedząc gdzie idą i po co?
— O! Jakąż wielką, jakąż pyszną zorzą,
Twa skroń nad naszą zaświtała nocą!
Na twój głos, duch nasz spowity i skuty,
Raz pierwszy uczuł że mu skrzydła rosną.
— Lecz taka chwila była za radosną
By trwać...

WANDA.

I ty-ż mi przynosisz wyrzuty?

TOMIŁA.

Wyrzuty? Nigdy! Ach, patrząc na ciebie,
Łzami wdzięczności zachodzą powieki.

Zkąd prawo skargi, nam, co-śmy przez wieki,
Nic nie umiały wywalczyć dla siebie?

Mogłaś zapomnieć nas, rozbudzicielko,
Władać jak drudzy, i jeszcze być wielką.
Lecz nie! Najcięższym jest początek dzieła.
Pokłon ci Wando i cześć! Tyś *zaczęła*.

Daléj prowadzić i mniéj wielcy mogą.
Wiemy, gdzie w puszczy ścieżka się zaczyna.
A jeśli siadłaś znużona nad drogą,
To znak... że nasza nie przyszła godzina.
Wszak i przed zorzą, w liściach biegną dreszcze,
Ptak się z sennego wyrywa okucia,
Wybucha z gaju srebrny chór przeczucia,
I nagle cichnie, jakby rzekł: „Nie jeszcze.“

Ptaszki nie wiedzą czy uwierzyć zorzy?
Patrzą z podziwem na mroczne niebiosy.
Ten się pod skrzydłem znów do snu ułoży,
Inny nie zaśnie, ale drży od rosy.

Chwila to smętna jak rozczarowanie.
Smętna, lecz wielka. Chociaż nie ogłasza
Że światło wstało, ogłasza że wstanie.
— Tą chwilą w dziejach twoje panowanie.
Już wstaje gdzieś zorza nasza!

WANDA *ze smutném zamyśleniem.*

Więc ja nie zdołam prowadzić was daléj?

TOMIŁA.

Nie ty nas Wando wstrzymujesz, lecz bogi.
Gdyby nie chcieli wstrzymać nas wpół drogi,
Czyliż-by miłość w twe serce zsyłali?

WANDA.

Miłość?... Ja nie wiem...

TOMIŁA.

Tak, nie chcesz, wspaniała,
Przez dobroć dla nas, pojąć siebie saméj.

Teraz przystoi, nam, co cię kochamy,
Wskazać ci szczęście, jak ty-ś nam wskazała.
— O Wando... wielką mam prośbę do ciebie

WANDA *z obawą.*

Prośbę?...

TOMIŁA.

Znak straszny czytam w czole twojém:
Wahanie! — Wando, — przez bogi na niebie,
Wybierz! Wyrzutem, ani niepokojem
Nie trwoż sumienia, nie krępuj swéj woli.
Niebo nam w życiu dni przesileń zsyła, —
Twój dzień dziś przyszedł.

Po chwili, smutnie.

Co dla *naszéj* doli
Mogłaś uczynić, to-ś już uczyniła.

WANDA *bierze jéj rękę.*

Szlachetna zawsze! Czy u steru rządów,
Czy w burzach życia, zawsze twoje oko,
Wskazuje Wandzie gwiazdę nad zatoką.

A ja, co twoich lękałam się sądów!
— Ach, i ty pewnie, przez burzliwe morze
Płynęłaś!... Dusza która tak zna życie,
Patrzy tak tkliwie na serca rozbicie,
Musiała kochać.

TOMIŁA.

Nigdy.

WANDA.

Czy być może?
Nigdy? A jednak, wierz mi o Tomiło,
Niech się nikt nie śmié zarzekać!

TOMIŁA.

Choć Lela
Dziś nie znam, nadto drżę przed jego siłą,
By płochym głosem wyzywać mściciela.
Straszne to bóstwo! Wiem jak niezbłaganie
Mści się, za dane przeciw niemu słowo.

WANDA *z nagłym wybuchem boleści.*

Mści się? Bez granic!

TOMIŁA *wpatrzywszy się w nią badawczo.*

Zgadła-ż-bym! Królowo,
Czyż to cię dręczy? To rodzi wahanie?
Wando, jeżeli wiąże cię ślub jaki,
Nie trać nadziei! Przez gwiaździste znaki
Pytaj niebiosów. Staw się przed ołtarze.
Niech zaśpiewają nad tobą wieszczbiarze,
Niech się rozmodlą nad tobą kapłanie,
Aż ślub rozwiążą.

Po chwili.

A jeśli nie mogą,
Sama go rozwiąż prawem serca samem
W sercu głos nieba. Wybierz jak ci każe.

Ze łzami pokłania się ku Wandzie która ją przyjmuje w objęcia.

WANDA.

Nigdy mi jeszcze nie byłaś tak drogą!
Nie wiesz, jak wielkim twe słowe balsamem.

TOMIŁA.

Może boginie gniewem na mnie płoną?
Lecz cóż? Jéj widok serce mi rozrywa.
Ona dość wielka, aby poświęcono
Wiele jéj szczęściu!—Wando, bądź szczęśliwa!

Wyrywa się z objęć **Wandy** *i wybiega wyjściem na ogród, gdzie zmija się z nadchodzącą* **Płomniewą**.

PŁOMNIEWA *na progu do Strażnika.*

Wszak ci kazałam nie wpuszczać nikogo?
Jakże ta weszła?

STRAŻNIK.

Ona z tych, co mogą
Wchodzić do xiężny o każdéj godzinie.

PŁOMNIEWA.

Nikogo mówię, aż dam znak biesiady.

SCENA IV.

Wanda, — Płomniewa *zbliża się do Wandy i wręcza jéj berło.*

PŁOMNIEWA.

Tomiła przyszła, i wnet łza tu płynie.

WANDA.

To łza radości! Wiesz? Trafiam na ślady
Pierwszéj nadziei... To ona, Tomiła,
W noc mojéj duszy pochodnię spuściła.

PŁOMNIEWA.

Przebiegła. — Umié z wiatrem zmieniać żagle.

WANDA.

Nie mów tak o niéj. Któż dowiódł wyraźniéj
Sił poświęcenia? Trzeba wielkiéj duszy,
By w dzień, co bujny gmach jéj marzeń kruszy,
Siąść na zwaliskach z uśmiechem przyjaźni.

PŁOMNIEWA.

Może. — Ja przecież, nie umiem tak nagle
Pójść z prądem. — Nigdy, nawet dla zdobycia
Łaski królewskiéj, nie zmieniałam drogi.

WANDA.

Tak. — To też słuchaj: w zwykłym toku życia
Szukam u wielu zdania lub przestrogi.

Lecz są dni, światłem grzejące ognistszem.
W owych dniach dziwnéj radości i trwogi,
Z tobą się jedną rozumiem. Tyś mistrzem,
Kiedy tłumaczysz te burze boleści,
W których zaklęta gwiazda szczęścia pała.

Chciwie, z rozkoszą słucham twych powieści,
Gdzie jak w źwierciedle zbadać bym się chciała·

Żal mi, że dziś nam rozmowę przerwano.
Gdzież to więc było? W téj pierwszéj zagadce
Klucz wszystkich...

PŁOMNIEWA.

Wyszłam po jagody rano
W pół wyschły potok przebiegłam po kładce,
I w las. — Aż oto z czarnego obłoku
Słyszę grzmot. — W lesie nie wiem o ulewie,
Dzbanek mi rośnie a rośnie przy śpiewie,
I znów pogoda. Wracam do potoku.
O dobre bogi! Co za widowisko!
Potok stał się rzeką.
Zda się, że porozpiera kamienne łożysko.
Kładka daleko
Po głębinie
Płynie.
Kilka kamieni sterczy od brzegu do brzegu.
Przeskakuję z jednego na drugi. — W pół biegu
Stanęłam... Fala, ogromna jak grzywa,
Ostatnie głazy porywa.

Sama na środku potoku!
Czułam jak się głaz drżący oślizgał podemną.

Przesuwało mi się w oku
To skrząco, to ciemno.
Chciałam krzyknąć, — głosu niéma
Obłąkanemi powiodłam oczyma,
I widzę nad sobą, blisko,
Ale wysoko, na pagórku, tam,
Jak żywy sen, jak zjawisko,
Stał...

WANDA *z uniesieniem.*

Ach czy to on był?

PŁOMNIEWA.

On sam!
Już na las i na wody padała ciemnota.
Tylko pagórek świecił się różowo.
On w téj światłości, z tęczą po nad głową,
Stał jakby cały ze złota.
Myślałam, czy król jaki, czyli bóstwo które?
I drżałam by po chwili nie wrócił za chmurę.

Patrzył na okolicę. Niżéj powiódł okiem.
Ujrzał istotę
Co się mocuje z potokiem.
Krzyknął, zbiegł z góry jak strzała.

O wierz mi, wtedy nawet, w tém topielném zimnie,
Ogień mię oblał... Patrzę przeze-łzy,
Już moje zjawisko złote
Na brzegu, na głazach, przy mnie!
Wyciągnęłam ramiona i wołam: „To ty!“

Czemu ja, co-m go dawniéj nigdy nie widziała,
Ja, którą męzkie oko zaledwie nie spali,
Powitałam go tak śmiało?
Nie wiem... Mnie się wtedy zdało...

WANDA *przerywając.*

Że-ście się zawsze kochali!

PŁOMNIEWA.

Jąkto? Zkąd wy xiężno wiecie,
Co się w mojém sercu działo?

WANDA.

Ja? Nic nie wiem... lecz cóż daléj?

PŁOMNIEWA *po chwili, zmieszana*

Ja nikomu jeszcze w świecie
Nie opowiedziałam daléj...

WANDA.

Lecz mnie powiesz. — Mnie tak koją
Twoje słowa! Mów. — Ja twoją
Tajemnicę w sercu złożę.
— Jakaż cię wstrzymuje siła?
Czy obawa? Tak, — był czas,
Kiedy-m groźnie was sądziła,
Lecz teraz, — ach teraz może
Aż nadto pojmuję was!

PŁOMNIEWA *z wahaniem.*

Stał przy mnie, — było wązko na odłamie skały.
Oboje-śmy od huku przytomność stracili.
Objął mię i chciał z wody unosić, — w téj chwili
Oczy się nasze spotkały.

WANDA.

Ach, i mów, cóż doznałaś?

PŁOMNIEWA.

Niewiem. — Skalne złomy,
Las, rodzina, kraj, świat cały,
Prysnęły we mgle znikoméj.
Wpadłam jakby w nicość błogą,

Lecz z téj nicości, czułam że szczęście wystrzeli.
Oboje-śmy zapomnieli
Że pod nami otchłanie, że nad nami skon.
Pod całemi już niebiosy
Nie było nikogo,
Tylko ja i on!

I jak się z wiatrem skłaniają dwa kłosy,
Jak w jeden puklerz trafiają dwie strzały,
Jak się za tknięciem łączą dwa płomienie,
Tak zwolna, a niezwalczenie,
Usta się nasze spotkały.

Jak to być mogło? Dotąd zrozumiéć nie mogę.
Ja, co się dzisiaj rumienię,
Wówczas, żebym téż czuła choć najlżejszą trwogę,
Najcichszy głos wyrzutu? Nic! — Miałam wzrok śmiały,
W myślach swobodę i w sercu niewinność.
Jakbym spełniała powinność.

WANDA

Cóż prostszego? Bogów dzieło!
Wtedy serce twe pojęło,
Żeście tylko na to żyli,
Ażeby dożyć téj chwili.

PŁOMNIEWA.

Wy, jaśniéj niż ja, xiężno, w sercu mém widzicie.
Tak, — przeszłość mi się zdała drogą wpół zatartą,
Na którą się już nawet obejrzéć nie warto.
Z owym dniem weszłam w życie.

WANDA.

To prawdziwe życie!
Póki serce nie kochało,
Życie jest jak okolica,
Któréj słońce nie oświéca.
Może ona i wspaniałą,

Cóż gdy noc z niéj farby ztarła?
Ziemia leży jak umarła.

Lecz niech tylko zorza w dali
Porozrywa chmur spowicia,
Każdy pyłek się zapali
Nieśmiertelną iskrą życia.
Wszystkie barwy świt odnowi,
Wszystkie kształty dzień wyciosa.
Cóż się stało obrazowi?
Słońce weszło na niebiosa!

O miłości! O jedyne
Słońce szczęścia w ludzkiém niebie,
Lepiéj z tobą żyć godzinę,
Niż wieki bez ciebie!

Chwila milczenia.

Co tak Płomniewo wpatrujesz się we mnie?

PŁOMNIEWA.

Wando, ty kochasz!

WANDA.

Przez bogi, mów ciszéj!
Nikomu, choćby tajemnie,
Nikomu, nawet mnie saméj,
Nie powtórz słów podobnych... Dziewanna usłyszy!

Po chwili.

A może i tak nie jest? My dziewki, cóż znamy
Z dziwnych tajemnic serca?

PŁOMNIEWA.

Ale czemuż, xiężno,
Chcecie tam się wypierać, gdzie inne się szczycą?
Wando! Ty jesteś wielką, mądrą i potężną,
Ludy stoją w podziwie przed groźną dziewicą,

Jednak... czyż to dość, podziw? On z trwogą graniczy.
Wybacz słowo przez hardą gorliwość natchnione:
Była-byś dwakroć większą, gdyby w twą koronę,
Lel jeszcze weplótł różę niewieściéj słodyczy.

Składa ręce błagalnie.

Ach! jeśli już to bóstwo chwyta cię za serce,
Nie broń mu się!... Twój naród niósł cześć bohaterce,
Ale tę cześć dopiero miłością podwoi,
Gdy pozna, żę i ona umie kochać.

WANDA *posępnie*

Czemu
O pląsach i o skrzydłach mówić spętanemu?
Ty nie znasz przeszłości mojéj.

Po długiém milczeniu, ocknąwszy się z namysłu.

Więc, wśród potoku stoicie
Zachwyceni...

PŁOMNIEWA.

W tym zachwycie
Mogliśmy stać całe życie.
Przebudza nas huk topieli.
Kamień z pod nóg nam ucieka —
Porwała nas rzeka —
Jużeśmy tonęli...
On mię w jeszcze silniejsze uścisnął objęcia,
Ja w nich czułam się mocna jak gdyby w pancerzu,
Spokojna, spokojnością małego dziecięcia.
Wypłynął, na zielonėm złożył mię wybrzeżu,
A ja, niemądra dziewczyna,
Padłam przed nim na kolana.
„Ty,“ wołałam pomieszana,
„Co czuwasz nad tonącemi,
„Czyś ty z nieba? Czyś ty z ziemi?“

Nagle mi się przypomina
Że to człowiek, obcy, młody!
Wstaję — milczę jak zabita.

On uśmiechnął się i pyta:
„Mój ty kwiecie kalinowy,
„Wskaż mi drogę do gospody.
„Zmęczyły mię srodze łowy.“

Więc poszliśmy znów przez pole.
W domu, jak wdzięcznie przyjęto
Zbawcę dziecka! Istne święto.
— Rozgadano się przy stole.
Każdy wysławiał królowę
Co dziewki zmienia w rycerzy.
Wyznam, że mię wieści owe
Wtedy wielce oburzały.
— Lecz on przed końcem wieczerzy,
Rzucił te pamiętne słowa:
„Chciałbym kochać się w rycerce,
„Aby ujrzéć czy jéj serce
„Zrzekło by się dla mnie chwały?“
— Nazajutrz szłam do Krakowa.

Tymczasem pod gankiem słychać zgiełk i żywą rozprawę. Po chwili widać **Włastę** *chcącą z ogrodu wejść pod krużganek, podczas gdy* **Strażnik** *jéj nie wpuszcza i drogę włócznią zamyka.*

WŁASTA.

Puść mię, lub, przez Marzannę! nie przemówisz więcéj!

Odtrąca **Strażnika** *i wbiega na ganek.*

SCENA V.

Wanda, — Płomniewa, — Własta.

WŁASTA.

Wando, czy dla igraszki noszę miecz xiążęcy?
Odkąd-że giermki śmieją stawać przed mą drogą?

PŁOMNIEWA.

Kazano mu nie wpuszczać nikogo.

WŁASTA.

Nikogo?
A ty czemuż tu jesteś, ty, zły duchu xiężny?

WANDA *do Własty wskazując na Płomniewę.*

Czy widzisz tę kobietę? Z was wszystkich, Płomniewa
Najlepiéj kocha Wandę, nie że się spodziewa
Od niéj snów swych ziszczenia, lecz dla Wandy saméj.

WŁASTA *z szyderczym ukłonem oddanym Płomniewie.*

Tak, w niéj wzór dla nas wszystkich.— Pokłon wszech-potężnéj!
Jakiemuż młodzieńcowi przychlebiać się mamy,
By raczył nam zeskarbić rozdawczynię łaski?
Własto, spiesz, do warkocza zaplataj przepaski,
I wydawaj się za mąż. — Jak bez wielbiciela,
Wejść na dwór co już nie zna innych bóstw prócz Lela?

Ogląda się w koło.

Kwiaty w górze, — i w dole, — można mdleć od woni!
Wielka Płomniewo, wszędzie widzę ślad twéj dłoni,
Nawet w *jéj* stroju. Przecież... Własta się odważy
Wyznać: w różowej barwie Wandzie nie do twarzy.

Wanda odwraca się od niéj i odchodzi w bok.

PŁOMNIEWA.

Nic-że tu nie przynosisz prócz skarg?

WŁASTA.

Już od rana,
Słyszę że zaślepienie ten dom ogarnęło,
Że miecze połamane, xięga praw zdeptana.
Nie chciałam wierzyć, — biegnę: widzę twoje dzieło.
Szczyć się! Przez ciebie zginą państwo i królowa.

PŁOMNIEWA.

Napróżno mię wyzywasz do szermierki słowa.
W obliczu Wandy, milczę, i daję przestrogę
Przyjazną: nie depcz łaski tak szlachetnéj pani.

WŁASTA.

Tak, — ja wiem że się puszczam w niebezpieczną drogę.
Ale któż ją ostrzeże? Prawda, kiedy rani,
Zbawia! — Była-bym prędzéj zwątpiła o bogach
Niż o Wandzie. A teraz? Czy wiesz o królowo,
Jak nazwać ów czyn ciemny, na którego progach
Kołyszesz się? Czyn jeden, a jego następstwem
Całe życie żałości. — Straszne to jest słowo,
Ale trzeba je wyrzec: to zwie się, odstępstwem.

Po co było zaczynać? W śpiący, zapomniany
Świat niewieści, podrzucać pochodnię pożaru?
Namawiać nas do buntu? Sypać sól na rany?
A potém... potém pierwszéj uciec z pod sztandaru!
Ty dla mnie byłaś Prawdą z nieba zeszłą żywcem.
Ja dumna, szłam za tobą jak pies za myśliwcem.
Pyszniłam się że jestem takich rąk narzędziem.
Teraz cóż mi zostanie? Marzyłam szalenie!
Tracąc cię, tracę wiarę w wielkość i natchnienie.
Gdy i ty nas zawodzisz, w kogóż wierzyć będziem?

Dla siebie szczęścia pragniesz? I szczęście omyli!
Musisz iść po łzach naszych, a nikt do téj chwili
Z łez nie zrobił uśmiechu, choćby z łez tysiąca.
Ledwie ci mignie rozkosz wiecznie pierzchająca,

A już za nią zgryzota pojawi się głucha.
W najzawrotniejszych złudach, na różanym tronie,
Jakby lód niewidzialny dotknie cię dłoń ducha,
I głos surowy spyta: „Gdzie niepokalana
„Ta gwiazda posłannictwa co-m ci dał na skronie?
„Spaliłaś ją w uścisku ziemskiego młodziana!“

W snach twoich, będą zmorą przebiegały wielką,
Widma dziewcząt i niewiast, w których, łudzicielko,
Zaszczepiłaś napróżno rwanie się do sławy,
Czcze marzenia, pogardę dla cichéj zagrody.

Otoczą cię, wołając wołaniem stu gromów:
„Zbudziłaś w nas głód wieczny, a nie dałaś strawy!“

Wspomnij tylko, o Wando, w ile cichych domów,
Rzuciłaś kość najcięższéj, rodzinnéj niezgody.
Cel twój usprawiedliwiał nawet takie szkody.
Plony jego — mówiłaś, stokroć je pokryją.
Dziś, gdy cel nie dopięty, cóż powiesz struchlała?
Wando, ty kiedyś ciężko odpowiesz przed Niją!

PŁOMNIEWA.

Własto...

WŁASTA.

Czekaj, już kończę. — Tak, ja-m przeczuwała,
Że przyjdą cię próbować mamiące widziadła.
Wielkością prób się mierzy wielkie powołanie.
Lecz żeby moja Wanda zaraz w pierwszéj padła,
Byłabym życie dała że się tak nie stanie!
Gdybyż to był przynajmniéj, strojny w blask i skrzydła,
Bożek jaki, kusiciel, zestąpił do ciebie,
Własta sama, choć smutna, rzekła-by: „Nie dziwy,
„Że zapomina ziemi kto może być w niebie.“

Ale dać się uwikłać w takie grube sidła!
Człowiek podobny innym. Ja nie jestem zdolną
Dojrzéć w nim owych cudów... nawet popędliwy,
Będzie ciemięzcą...

WANDA *która dotąd słuchała ze spuszczoną głową, nagle ją podnosi i mówi porywczo.*

Właśto, więcéj ani słowa!

Odchodzi i siada na tronie.

WŁASTA.

Czy tak? Więc tu i prawdy już mówić nie wolno?
Piękne się zaczynają czasy.

Długie milczenie — wszystkie trzy pomieszane. — Po chwili słychać zdaleka muzykę.

PŁOMNIEWA.

Przecie bogi
Wiodą grajków i gości!

Stając przy tronie.

Niech moja królowa
Rozjaśni lica, pomnąc kto wejdzie w te progi.

SCENA VI.

Wchodzą tłumnie goście. — Najprzód **Grajkowie** *którzy stają po prawéj stronie.— Następnie* **Niebosz, Poseł Mazowiecki, Wodzowie, Żupany, Starostowie** *i* **Władyki** *otaczają królowę. — Daléj strojne* **niewiasty, Rycerki** *i* **młodzież.**

WANDA.

Bądźcie-ż tu jak u siebie, moi mili goście!

STAROSTA ZIÓŁKO.

Chciałby pewnie podobne słyszéć powitanie
Gość z Rugji. — Tylko patrzéć jak przed nami stanie.
Widziałem orszak Niemców idący po moście.

WANDA *zrywa się i znów siada zmieszana.*

Już idzie?...

Półgłosem.

Sprawcie-ż teraz, o bogowie bieli!
By go moi, przyjaźnym okrzykiem przyjęli.

Odzywają się trąby.

Wchodzi **Rytygier** *z dwunastu rycerzami, pomiędzy któremi* **Olaf, Hakon, Godfryd, Teobald** *i* **Świętosław.**

Milczenie w tłumie.

RYTYGIER *do Wandy*

Cześć tobie, Herto pod-Karpackiéj ziemi,
Piękniejsza, bo krwi nie chciwa.

Zwracając się do koła.

I wam, mędrcowie z brodami białemi.
Przyjaciel do was przybywa.
I wy witajcie, dziewy których lico
Zawstydza róże zawisne.
I wy młodzieńcy z poczciwą prawicą.
Niech-że jak brat ją uścisnę.

Podaje rękę najbliżéj stojącym dostojnikom i wojakom.

WANDA *wskazując obok siebie drugi tron próżny.*

Tu wasze miejsce na dzisiaj, o xiąże.

RYTYGIER.

Tylko na dzisiaj?

Wstępuje na wyniesienie i siada na wskazaném miejscu.

WANDA.

Niech bóg Pojednania
Ztępi dziś miecze, i aż do zarania,
Skrzydła Radości rozwiąże.

Wchodzą dziewczynki i chłopięta strojne, i w barwistych koszykach roznoszą owoce i kołacze.

Przez następne sceny, **Wanda** *i* **Rytygier** *siedząc na tronach rozmawiają.*

Po jednéj stronie sceny **Własta** *stoi zamyślona. — Po drugiéj stronie* **Hakon** *stoi posępny.*

Wśród ruchu krążących gości, **Zbigniew** *i* **Płomniewa** *zatrzymują się na przodzie sceny.*

ZBIGNIEW.

Wszystko co widzę, wznieca we mnie trwogę.
Pod gwiazdy wzleciał mój gołąb' wioskowy.
Ta rączka, drobna, a sercem królowéj,
I losem kraju dziś rządzi! Czyż mogę
Jeszcze zaufać, by mój ptak wspaniały,
Zechciał żyć w domku myśliwskim, wśród boru?

PŁOMNIEWA.

Niecierpię zbroi... nuży mię blask dworu...
Na czyj-że rozkaz poszłam szukać chwały?
Jeśli jéj szukam, to na to jedynie,
By mieć co przynieść dla Lela w ofierze.

ZBIGNIEW.

Na to czekałem! Wierności w dziewczynie
Świat nie przypuszcza, ja odtąd w nią wierzę.

Dzieweczko! Dobroć mię twoja ośmiela.
Mów, kiedyż staniem przed ołtarzem Lela?

Płomniewa *zmieszana milczy.*

Milczysz? Płomniewę trwoga rozpłomienia?
Ach, cóż piękniejsze, jak ta kalinowa
Cisza z rumieńcem? Nie proszę o słowa,
Daj tylko rękę na znak przyzwolenia.

Po chwili wahania, **Płomniewa** *podaje mu rękę. — Oboje wgłąb' się oddalają.*

WALIGÓRA *przystępuje do grajków.*

Grajcież! Nie warta nic zabawa taka,
Co ani grana ani tańcowana.

NAJSTARSZY GRAJEK.

A co wam zagrać?

WALIGÓRA.

A cóż? Kujawiaka!
Jemu już z wieku pierwszeństwo. Kujawy,
Wszak to najstarsze gniazdo naszéj sławy?
Héj! Na odsibkę! Danaż moja, dana!

Muzyka gra **Oberka.** — *Kilkanaście par z* **Waligórą** *na czele, puszcza się w taniec.*

OLAF.

Wyborny taniec.

GODFRYD.

My podobny mamy,
Tylko my w prawo, ci się kręcą w lewo.

ŚWIĘTOSŁAW *do Stanisława.*

Z jakąż to panie stałeś czarnobrewą?
Śliczna! Podobna do Miłości saméj.

STANISŁAW.

To moja krewna, Bożenna.

ŚWIĘTOSŁAW.

Przez Niję!
Jeszcze-m tam pięknéj nie widział jak żyję.

Zbliża się do Bożenny.

Ja-m świat objechał, przebył mil sto kroci,
Szukał i szukał... dziś dam pokój światu.

BOŻENNA.

Czego szukali wy? Kwiatu paproci?

ŚWIĘTOSŁAW.

O! Piękniejszego, bo żywego kwiatu.

Przechodzą.

POSEŁ MAZOWIECKI *kłania się Wandzie.*

Na Mazowsu ześkie chłopcy.
Dziwka w Wiśle licko bieli.
Gdy ich w tańcu zocy obcy,
To myśli ze posaleli.

Kujawiacy niech psestaną,
To i ja sobie posumię.
Gdym tu psysedł, nie wiedziano,
Jak to Mazur tańcyć umie.

Wyucyłem pary ctyry.
Całe buty zdarłem na to.
A więc dalej, zuchowato!
Mazur nas jak złoto scyry.

Wyskakują cztery pary i tańcują Mazura, po którym objawia się ogólny poklask.

ZBIGNIEW *przystępuje do Wandy i Rytygiera.*

Teraz szumnie, tłumnie, dumnie, stańmy jak nas wielu,
Do naszego domowego tańca z pod Wawelu.
Oj, to taniec nad tańcami! Lecz nie łatwy, panie.
Musi umieć wiele dziwów kto do pary stanie.
Czapkę cisnąć gwiazdom w oczy, i chwycić choć zmyka,
I podkówką piorunówką zbudzić nieboszczyka,
I z dziewczyną się rozmówić, choć się niby hasa,
I hasając, w głowie wykuć dziarskiego wyrwasa.

WANDA.

O! Prześliczny jest nasz taniec.

RYTYGIER.

Bardzo-m go ciekawy.

ZBIGNIEW.

Hej-że grajku, nie myśl długo, bo cię zrzucim z ławy!

Muzyka gra **Krakowiaka.** **Zbigniew** *staje na czele z* **Płomniewą,** *za niemi wiele par puszcza się w taniec. — Kolejno zatrzymują się i przy grajkach stają do śpiewu.*

ZBIGNIEW.

Na dolinach biją serca, a na górach zdroje.
Oddaj-że mi serce moje, a nie? to daj swoje.

DRUGI TANCERZ.

Siedzi chrząszczyk na listeczku, pije kroplę rosy.
Jak makówka kształtna głowka, aj!... do ziemi kosy!

TRZECI TANCERZ.

Skry się sypią, skrzypki skrzypią w malowanym dworze.
A niech-że ją z jéj oczkami, mój ty Biały boże!

RYTYGIER *wstaje.*

A nauczcie-ż mię tak tańczyć, skłonię wam się za to.
Nie dość z serca, ja i z tańca chę zostać Chrobatą.

Szmer podziwienia w tłumie.

Rytygier *do Wandy.*

Tu, jak mówią, sto tancerek, wdzięk w każdéj tancerce.
Lecz ja tylko jedną widzę, bo mam jedno serce.

Sprowadza **Wandę** *ze stopni i puszcza się z nią w taniec, podczas gdy wszyscy przypatrują się z rosnącym zapałem.*

Po każdém przetańcowaniu staje do śpiewu.

RYTYGIER *śpiewa.*

Wszystkie ludy chodzą za nią, za piękną i mężną.
Słówko rzeknie, a ją wszystkie okrzykną swą xiężną.

Rugja czeka. — Bałtyk pyta: „Gdzie rycerska pani?“
Gdyby chciała, aż pod Kraków popłynął by dla niéj.

By ją widziéć, bogi zchodzą aż do ziemi w gości.
A boginie się na niebie spłakały z zazdrości.

Teut, pan nieba, — Nijord morza, — ziemi, Herta blada.
Wanda ziemią, Wanda morzem, Wanda niebem włada.

GŁOSY W TŁUMIE.

Dzielnie! Śpiewa i tańczy jakby tu rodzony.
— Tak przystają do siebie jak skroń do korony.

Tymczasem zmrok zaczyna zapadać.

W głębi, nagle zapalone ogniska oświecają okolicę

Jeden z Młodzieńców lechickich *zbliża się z ukłonem do* **Własty**, *która wśród skupionych przy niéj* **Rycerek**, *wciąż stoi na stronie.*

MŁODZIENIEC

Chcecie-ż pójść w taniec? Patrzcie, wszak i xiężna
Poszła...

WŁASTA.

Zaprawdę, pani wszechpotężna,
Daje tak piękne z siebie widowisko,
Żeby i Włastę zachęcić powinno.
Jednakże... jeszcze nie spadłam tak nizko.
Tancerek nie brak. Życzę szczęścia z inną.

Odwraca się i odchodzi

Wanda *wracając do tronu, zatrzymuje się na chwilę koło grona* **Rycerek.**

WANDA.

Czemuż tak zamyślone? Pokażcie nam raczéj
Wasz taniec bohaterski.

Rycerki *spoglądają po sobie. — Osiem z nich występuje z włóczniami i wykonywa rycerski taniec.*

GODFRYD.

A czyż się to godzi
By nie znalazły pary?

Godfryd *i trzech innych* **rycerzy niemieckich** *wybiega i zaprasza cztery* **Rycerki** *w taniec.*

WALIGÓRA *wyskakuje z tłumu.*

Daléj, lacka młodzi,
Nie dajmy się ubiegnąć!

Waligóra *i trzech* **Wojowników lackich** *bierze cztery inne* **Rycerki.**

Osiem par tańcuje.

HAKON *na stronie.*

Wiedzie mu się wszędy!
Czy sądzisz się już królem? Otóż niespodzianie
Zawichrzę ci tę radość.

Wybiega i **Waligórze** *wyrywa tancerkę.*

WALIGÓRA.

A to znów co znaczy?

HAKON.

Odbijam — jak w mazurze.

WALIGÓRA.

Tu nie Mazur panie.
Proszę puścić.

HAKON.

Nie puszczę. — Drwię sobie z was Wendy!

WALIGÓRA.

Puść Niemcze!...

WYRWIDĄB *wybiega i staje przy bracie.*

Puść, bo ci się dębinką dostanie!

Rycerze Niemieccy gromadzą się w koło **Hakona,** *Wojownicy laccy w koło* **Wyrwidęba.**

HAKON *do Rytygiera.*

Ujmij-że się za nami, wodzu! Czyś niewiastą?
Kazałeś jak pachołkom bez mieczów pójść w miasto,
I czekasz aż w twych oczach bezbronnych znieważą?

Zgiełk i zamieszanie.

STANISŁAW.

Patrzcie... Królowa wstaje z zapłonioną twarzą!

Wanda *spiesznie zchodzi z tronu i wpośrodku staje.* — **Rytygier** *zchodzi za nią.*

WANDA.

Precz z mieczem, rycerze moi!
Chcecie-ż by Radgoszcz, strażnik gościnności,
Radgoszcz, najświętszy nasz bóg,
Przeklął mój próg?
Wszak w jego prawach napisane stoi:
„Gościom zawsze ustąpisz.“ — Jedna skarga gości,
Może ściągnąć grom!
Gość w dom, bóg w dom!

Ogólny podziw i milczenie.

RYCERKA *którą Hakon wyrwał w tańcu Waligórze*

Lecz ja świadkiem, — ja mogę zapewnić królowę:
Tu goście waśń zaczęli.

RYTYGIER.

Niech Wanda przebaczy.
Mych rycerzy obłąkał urok waszych dziew.

WANDA.

Wam nie mam co przebaczać. Wy przebaczcie raczéj.

Przechodzi koło **Wyrwidęba** *który jeszcze maczugę trzyma podniesioną.*

A ty wodzu, wciąż grozisz? Czyż chcesz na swą głowę
Ściągnąć królewski mój gniew?

Mocno wzruszona odchodzi w głąb z **Rytygierem.** — **Wyrwidąb** *jak osłupiały zwolna broń opuszcza.*

Tomiła *podbiega do Płomniewy pogrążonéj w zamyśleniu.*

TOMIŁA.

Ty zarządzasz zabawą, — mów: jak przerwać zwadę?

PŁOMNIEWA *jakby zbudzona.*

Zwadę? Gdzie?... Co mnie było? Stoję nieprzytomnie...
To ze szczęścia! Ty nie wiesz... Zbigniew... przyszedł do mnie...

TOMIŁA.

Winszuję ci z duszy, — wierzę, —
Ale teraz co czynić? Każ dawać biesiadę.

Płomniewa *wybiega.*

Po chwili wchodzą dwa szeregi **Giermków** *z pochodniami.*

PŁOMNIEWA *wraca i staje przed* **Wandą.**

Xiężno, już zastawiono w ogrodzie wieczerzę.

Wszyscy, między szeregami Giermków, do ogrodu wychodzą. Najprzód **Grajkowie** *idą grając, — potém* **Wanda** *z* **Rytygierem,** — *daléj goście.*

SCENA VII.

Starosta Ziółko, Żupan Śrebrzonka *i* **Władyka Latoś,** *u wyjścia się jeszcze zatrzymują.*
Na uboczu stają **Wyrwidąb** *i* **Waligóra.** — *W głębi* **Stanisław.**

WŁADYKA LATOŚ.

Jak się królowa uniosła!

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Nie można
Poznać jéj. Ona, zawsze tak ostrożna
W sądach swych, dzisiaj... była-ż sprawiedliwa?

STAROSTA ZIÓŁKO.

A mnie to cieszy. Dzięwka taką bywa
Gdy się zakocha.

Rozmawiając wychodzą. — za niemi Giermkowie.

SCENA VIII.

Wyrwidąb, — Waligóra, — Stanisław *zawsze w głębi, oparty o słup ganku.*

WYRWIDĄB.

Na mnie się gniewała?
Czy-m ja zawinił?

WALIGÓRA.

Nie ty! Wina cała
W tych, którzy Niemcom otworzyli drogę
Do miasta. — Trudno... skarga nie pomoże.
Idźmy wieczerzać.

WYRWIDĄB.

Ja mam iść! Nie mogę
Patrzéć na niego!

WALIGÓRA.

Będziesz się krył może,
Jak winowajca? Na przekór, wesoło
Pójdź, a przybyszom stawim harde czoło.

Bierze brata pod rękę i wyprowadza.

SCENA IX.

Tymczasem noc zapadła. — W dali wciąż migają ogniska i ruchome światła. — Xiężyc wszedł i oświeca ganek.

STANISŁAW *sam, śpiewa.*

Oj miesiącu! Niech-że ciebie
Z twoim smutkiem! Znam go, znam ...
Ty-ś jest zawsze sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

Strun aż siedem w gęśli brzęczy.
W grodzie aż dwanaście bram.
Barw aż sto się mieni w tęczy.
A ja zawsze sam!

Dola z Troską razem stoją.
Każde Tu, ma swoje Tam.
Nawet miecz ma pochwę swoją
A ja zawsze sam!

Wszystko śmieje się do siebie!
Wszystko mówi: „My“ i „Nam“
Tylko miesiąc sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

Chodzi po ganku zamyślony.

SCENA X.

WYRWIDĄB *wbiega gwałtownie.*

A niech go Kościéj zdławi!

STANISŁAW.

Kogo? Jakże-ś blady!

WYRWIDĄB.

Nie słyszałeś?

STANISŁAW.

Nic nie wiem. — Już do téj biesiady
Brakło mi serca...

WYRWIDĄB.

Ledwo wieczerzę podano,
On chwyta za roztruhan i wypala mowę.
Najfałszywszą, podstępną, pochlebstwem nadzianą.
— „Błogosławione“ wołał, „kraje Wawelowe!
„Starcy, z was mądrość świeci jak ogień z pochodni!
„Młodzieńcy, wyście pasa rycerskiego godni!
„Szczęśliwy kto panuje takiemu ludowi!“

Gdy gadał, zrozumiałem: dla tronu się łasi.
Niech tron weźmie, a na wierzch wyjdzie wróg. — Lecz nasi
Wierzą mu! Ich zapału nikt i nie wysłowi.
Klaszczą w ręce, czapkami rzucają.

STANISŁAW.

A ona?

WYRWIDĄB.

Ona! Zaledwie skończył, wstała zapłoniona,
Głos jéj drżał jakby z każdem wahała się słowem,
A uniesienie tłumu rosło nakształt burzy.

STANISŁAW.

Cóż wyrzekła?

WYRWIDĄB.

Mówiła, „jak ludom radośnie,
„Gdy z włóczni Horowida kwiat Radgoszcza rośnie...“
Potém, o „królach morza...“ o „męztwie stalowém...“
Na pochwałę ich „męztwa“, nie wytrwałem dłużej.
Jak żubr unosząc postrzał, zrywa się i bieży,
Wybiegłem. — Zkąd te szumy?

STANISŁAW *wpatruje się w ogród.*

Wstali od wieczerzy.
Patrz jak się przesuwają tą ścieżką promienną.
Ileż tam par szczęśliwych! Świętosław z Bożenną,
Tu Zbigniew przy Płomniewie. Ach, wszyscy dłoń w dłoni,
Tylko my... Kto tu idzie? O nieba? To oni...

WYRWIDĄB.

Kto?

STANISŁAW.

Królowa i on z nią. — Odejdźmy ztąd.

WYRWIDĄB.

Czemu?
Czyż zawsze orły z drogi ustąpią dla węża?

STANISŁAW.

Jak ukryć gniew i smutek? Nie powiedzą-ż jemu,
Ile nas upokorzył? Dość i tak zwycięża.

Odciąga **Wyrwidęba** — *Wychodzą drzwiami pałacu.*

SCENA XI.

Z ogrodu wchodzi **Wanda** — *za nią* **Rytygier**.

WANDA.

Nie naglij, xiąże...

RYTYGIER

Raz-że zawyrokuj!
Miłość, każdego dnia zwłoki zazdrości.

WANDA.

Ach, tyle szczęścia ile niepewności.

Opiera się na poręczy ganku i patrzy w ogród.

Zkąd w duszy waszéj ten wieczny niepokój?
Patrzcie jak ziemia, szczęśliwa i cicha,
Bez trosk o jutro, w mgle światłéj się nurza.

To dziwne, rano była taka burza, —
Teraz, świat cały woniami oddycha.

RYTYGIER.

Kwiat nigdy więcéj nie wydaje woni,
Jak gdy się znuży w natarciach zawiei.
Dziewica nigdy tak nie słucha Frei,
Jak gdy się długo jéj broni.

Słychać śpiew słowika.

WANDA.

Dotąd, lubiłam wojownicze ptaki.
Dziś ten mię wzrusza... zda się że bóg jaki
Skarży się...

RYTYGIER.

Orzeł królem dnia i mocy.
Słowik xiążęciem tęsknoty i nocy.
Bohater orłem gdy drżą przeciwnicy,
Słowikiem u stóp dziewicy.

Klęka i podaje Wandzie pierścień.

WANDA *z trwogą.*

Pierścień? Już teraz?... Ja nie mogę, xiążę. .

RYTYGIER.

Wando, ten pierścień jeszcze cię nie wiąże.
Jest to znak tylko: jeśli jutro rano
Mi go odeszlesz, wszystko powiedziano...
Wtedy już miecza nic w pochwie nie wstrzyma.
Jeśli zachowasz, Wando! szczęścia tyle
I w niebie niéma!...

Pokłon jéj oddaje i wychodzi.

WANDA *jakby zbudzona.*

Był, i już go niéma!
Widzieć go jeszcze, widzieć choćby chwilę!

Wybiega.

SCENA XII.

Z ogrodu do pałacu przechodzą, **Starosta Ziółko. Władyka Latoś, Żupan Śrebrzonka** *i* **Wyrwidąb.** — *Przechodząc zatrzymują się na ganku. — Kilku innych w koło nich się gromadzi.*

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Dobranoc miłym braciom. — Wspaniała zabawa.

JEDEN Z WOJOWNIKÓW.

Dawno takiéj nie pomnę.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Sława-ż bogom, sława!
Skończą się dziewcze rządy. — Ale, pokłon dziewie,—
Umiała wybrać.

WŁADYKA LATOŚ.

Tego nikt jeszcze tu niewie.
Pewniejszy wór swego zboża,
Niż okręt złota z za morza.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Lepsza stal choć pożyczona,
Niż kij z własnego wrzeciona.

WYRWIDĄB *występując.*

A na to, kto mi odpowié?
Bracia, wszak „póki świat światem,
Nie będzię Niemiec Polakowi bratem?“

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Niemiec nie równy Niemcowi.
Ten zupełnie nam jak brat.
I do wartkiéj zalecanki,
I do bójki, i do szklanki,
I do dąsów,
I do pląsów,
Do wszystkiego chwat.

WŁADYKA LATOŚ.

Trzeba zebrać siwe głowy,
Sprawę wnieść na Wiec ludowy.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Na Wiec sprawę? Bogi z nim!
Na co zda się mądrość cała?
Jeśli ona będzie chciała,
Wszystkie rady pójdą w dym.
Chłop o całym świecie sądzi,
A niewiasta chłopem rządzi.

Rozchodzą się.

SCENA XIII.

Za sceną słychać okrzyki: **„Niech żyje Rytygier!“ — „Sława Rytygierowi!“**

WANDA *wbiega sama.*

Nieba! Wśród starców słyszałam głosy:
„Ten wart nam rządzić.“ — Dzięki wam losy!
Jego imieniem brzmi cały gród!
Jeśli snem jesteś, nie pierzchaj śnie!
Widzicie bogi! Własny mój lud,
Do godów zaprasza mnie!

W sercu wciąż słyszę słowa Tomiły...
Gdybyż się jeszcze i te spełniły!
Gdyby kapłanie mogli jak z xięgi,
Z przeszłości wydrzéć słowo przysięgi!
O szczęście! Jemu serce i tron!...
O nieszczęśliwa!... Co czynić mam?

Patrzy w ogród.

Kto tu przechodzi? Niebosz? Tak, on.
Lel mi przysyła go sam!

Wychyla się z ganku.

Ojcze!

GŁOS NIEBOSZA *z ogrodu.*

Kto woła? Xiężna?

WANDA.

Ojcze, gdzie idziecie?

NIEBOSZ *wchodzi na ganek.*

Już wszyscy się rozchodzim. — Niech sny dobrowieszcze
Zwieńczą ci ten dzień piękny. — Takie w życiu chwile
Już ci się nie odnajdą.

WANDA.

Nie odchodźcie jeszcze.
Chciałabym z wami mówić. Mam na sercu tyle,
Tyle.. a nie wiem sama...

NIEBOSZ.

Po cóż moje dziecie
Mówić? Mógłże-bym godnie strzedz ołtarzów Lela,
Gdybym nie umiał czytać xiąg łez i wesela?

Wando, ja czytam w sercach. Dotknęła cię ręka
Najsilniejszego z bogów. Wśród niewiast tysiąca,
Każda, czyli przędąca, czyli panująca,
Na głos Lela zarówno miesza się i lęka

I każdéj się wydaje, że ją pierwszą w świecie
Nawiedza bóg tak wielki. Każda w owéj chwili
Drży, by jéj tajemnicy ludzie nie odkryli.
— Lecz po co drżyć, gdy wybór do serca przypada
I tobie, i nam wszystkim?

WANDA.

Ojcze... wy nie wiecie...

Po chwili.

Powiedzcie mi, czy macie dość wielką potęgę,
By rozwiązać ślub?

NIEBOSZ.

Córko, Lechiccy kapłanie,
Widzą niechętném okiem każde ślubowanie,
Bo lepiéj nie przysięgać niż łamać przysięgę.
Czyż-byś ty ślubowała?

WANDA *załamuje ręce.*

O biada-ż mnie! Biada!
Przysięgłam przez Dziewannę!

NIEBOSZ.

Cóżeś uczyniła?
I jeszcze przez Dziewannę? O, téj żadna siła
Nie przebłaga! Jeżeli wszystkie bóstwa strzegą
Z taką zazdrością, przysiąg jakie człowiek składa,
Dziewanna zazdrośniejsza od nieba całego.

WANDA.

Więc nie chcesz dać nadziei?

NIEBOSZ.

Mam-że dać złudzenie?
W sobie szukaj ratunku. Serce hartuj w próbie.
Składaj bogom ofiary, proś ich niestrudzenie,
Aby ci dali siły do wytrwania w ślubie.
O więcéj nie proś nawet, — prośba już bezbożna.

WANDA.

Próbowałam wszystkiego co wymarzyć można.
Tyle u Krakusowéj płakałam mogiły,
Że-by od łez i głazy się zazieleniły.
Indziéj, na cześć Dziewanny, w poświęconym gaju
Kląkłszy, piłam nurt zimny świętego ruczaju,
Co ma — jak mówią — chłodzić duszę rozkochaną.
Koleją, wszystkich bogiń obeszłam świątynie,
Zniosłam dary bogatsze niż stu dziewic wiano.
Wszystko napróżno!

NIEBOSZ

Biada! W jakiejż złéj godzinie.
O nieszczęsna, wyzwałaś najmściwszą boginię?

WANDA.

Słuchaj... i sądem ludzkim osądź mię jedynie:
Dziewcze niedoświadczone, w owéj życia porze,
Kiedy jeszcze nie wierzy we wszechmoc Lelową,
Kiedy sądzi że wola wszystko zwalczyć może,
Rzuca słowo... Cóż w niebie waży takie słowo?

Czeka niespokojnie. — Niebosz milczy.

Jedno słowo! I przyszłość zabita w niém cała!
Ja-bym dziś tron oddała, pół życia oddała,
By cofnąć słowo...

Oddala się w głąb' sceny płacząc.

NIEBOSZ *z wahaniem.*

Czekaj... Poradzę się bogów.
Kto wié, czy w nocnéj ciszy poświęconych progów,
Głos ducha mi dla ciebie łaski nie wyśpiewa?
Łzy miłości są wielką, nawet w niebie władzą.
Dla istoty tak bliskiéj bogów jak ta dziewa,
Może same boginie przebłagać się dadzą?

Odchodzi.

WANDA *sama, pada na kolana.*

O Dziewanno,
Straszna panno,
Która nad kalinami wiecznie trzymasz grom —
Daj się przebłagać mym łzom!
Nieskalana! Przez wszystkie potęgi kochania,
Przez czar powitania,
Dreszcz oczekiwania,
Rozpacz pożegnania,
Ach, przez śmierć rozstania,
Zaklinam ciebie,
Zapomnij o mnie w twém słonecznem niebie!
Ja-m na ziemi, — ja chcę ziemi,
Z radościami jéj gorzkiemi
Cierpieniami czarownemi!
Za wysoko bogiń tron.
Tam niebo, gdzie on!

Podczas gdy **Wanda** *klęczy zatopiona w modlitwie,* **Własta** *wchodzi z tarczą* **Wandy** *w ręku, — długo patrzy na klęczącą z podziwem, waha się czy do niéj mówić, w końcu zawiesza tarczę na słupie i zwolna się oddala.*

Chwila milczenia

Zdala odzywa się muzyka o dźwiękach miękkich i pieściwych. Dźwięki się zbliżają, — potém słychać chór kobiecych głosów.

SCENA XIV.

CHÓR *za sceną.*

Wielkim jest Jesse; — wszak w ofiar dymie,
Najwyższy słup jest sławy?
Wielkim jest Prowe; — wszak w jego imie,
Mędrcowie piszą ustawy?
Wielkim Horowid; — wszak zdobytemi
On chorągwiami skrzydlaty?
Wielkim i Dadźbóg; — wszak skarby ziemi,
Wszystkie zawija w kraj szaty?

Przecież, największy w niebian drużynie,
Lel! — Nie ma gromów u tronu,
A wszystkie bogi, wszystkie boginie,
Słuchają jego zakonu.

WANDA *powstaje.*

Co to jest? Jam już kiedyś te głosy słyszała...
Brzmią i męką i pieszczotą...
Każde brzmienie w sercu pała
Jakby roztopione złoto.

Wbiega tańcując **siedem Czarnoxiężnic.** *Wszystkie trzymają jedną wielką plecionkę z kwiatów.*

WANDA.

To wy, kuszące dziewczęta!
Zkąd wam rozkosz niepojęta,
By i w drugich szczepić jad?
Precz z oczu! Wanda pamięta,
Jaskinię sideł i zdrad!

Odwraca się. — **Czarnoxiężnice** *dają sobie znaki, poczém* **Złudna** *występuje i śpiewa, podczas gdy inne tańcują w głębi.*

ZŁUDNA.

Wdzięk ucieka w lot sokoła,
Czas goni co sił.
Nikt młodości nie odwoła,
Choćby sto lat żył.

Wanda *stoi obojętnie. — Po wzajemnych znakach,* **Wabna** *występuje i śpiewa, podczas gdy inne tańcują bliżéj* **Wandy.**

WABNA.

Pobież z nami w świat radosny,
Tańcujący w świat!
Wszędzie pełno róż i wiosny,
A serce-ż nie kwiat?

Wanda *słucha obojętnie. — Po kilku zamienionych znakach,* **Piorunną** *występuje i śpiewa, podczas gdy inne tańcują jak mogą najbliżéj Wandy.*

PIORUNNA.

Czarne pióro u przyłbicy
Chwieje się od burz.
Płynie z szumem, ciemno-licy,
Xiąże serc i mórz.
Całe ludy idą w tany,
Gdy on zadmie w róg.
Piękny i niepokonany,
Jakby jaki bóg!...

WANDA.

Ach tak! Jakby jaki bóg!...

Mówiąc to, wstępuje między **Czarne Xienie,** *które ją otaczają plecionką z kwiatów i kręgiem w koło niéj tańcują.*

CHÓR *za sceną z kobiecych głosów.*

Potężną jest Nija, co sądzi mocarzy,
I dusze przestrzela oczyma.
Wspaniałą jest Łada co mierzy i waży,
I ładem wszechmocnym świat trzyma.
Uroczą Pogoda, co wonną tchnie wiosną,
I w serce tchnie spokój majowy.
Łaskawą Marzanna, co ręką litośną
Zdejmuje z nas wszystkie okowy.
Sto bogiń się władzą i wdziękiem obdziela.
Lecz pierwszą śród tego gwiazd mnóstwa,
Dziewanna! Ta jedna nie lęka się Lela,
Przed którym drżą ludzie i bóstwa.

WANDA.

Gdzie ja to już słyszałam? To oddźwięki hali!
Mają smętność kukułczą i groźność jastrzębią.
Szumią po myślach... i jak tknięcie stali
Serce mi ziębią...

Sześć Białych Xień, *powolnym szeregiem wchodzi na scenę.* — **Wanda** *na ich widok zasłania sobie oczy.*

SENNA.

W krainach gdzie słońca mgła nigdy nie plami,
Gdzie wieszczbą nawiedza sen boski,
Z doliny aż do nas wionęło z wichrami,
Przeczucie niezmiernéj twéj troski.

ZIELNA.

Twój wieniec przemówił złowróżbą przestrogą.
Każdego witałam go ranka,
Aż przyszedł dzień smutny... ujrzałyśmy z trwogą:
Pół kwiatów odpadło od wianka!

JASNA.

Od rozmów z gwiazdami spędzone ku ziemi,
Jak odsiecz spuszczamy się z Tater.
Ach spieszmy! W zapasach z duchami niższemi,
Już słabnie dziewica-bohater!

CHÓR CZARNYCH XIEŃ.

O! Nie słuchaj głosu z gór!
Mech tam nawet kona z głodu,
Ptak nié ma gdzie oprzéć piór.
Tam Śmierć mieszka w zamkach z lodu.
O! Nie słuchaj głosu z gór!

ŻYWNA.

Tak-że cię to zastajem Krakusowa córo?
Władno! Powiedz z kim trzymasz, z doliną czy z górą?

CZARNE XIENIE *błagalnie.*

Wando!

WANDA *posępnie.*

Z kim? Ja chcę... szczęścia.

JASNA.

A dola kobieca?

WANDA.

Ha! W pustyniach, marzenie cudnie świat rozświeca.
Lecz kto zstąpi do ludzi, prędko myśl odmienia.

Po chwili.

Świat kobiecy nie zdolny jeszcze do zbudzenia.

SENNA.

A ślub?

WANDA.

Bogi litosne, — może zwrócą słowo.

ŚPIEWNA.

A przyszłość kraju?

Wanda milczy.

CZARNE XIENIE *odciągając Wandę.*

Z nami, róż królowo!

POMNA.

O upadła! Niegdyś biała!
Ty najwyższa z pośród nas!
Ty co-ś wiekom władać miała,
Pokochałaś zmienny czas.

Więc przepadaj w ziemskim prądzie,
Gdzie bezcelny kipi ruch.
Ciebie się na dziejów sądzie,
Wyprze narodowy duch!

Wszystkie Białe Xienie *zawracają się i chcą odchodzić.*

WANDA.

Wyprze? Nie! Ja-m zawsze białą.
Błagam... nie odchodźcie już.
Choćby serce pęknąć miało,
Patrzcie: zrywam pęta z róż!

Rozrywa plecionkę z kwiatów i przechodzi między **Białe Xienie**.

Lot zniżywszy raz jedyny,
Orle wraca znów do chmur.

Do Czarnoxiężnic.

Zrywam z wami o doliny,
I klnę was przekleństwem gór!

Czarne Xienie *po chwili zdumienia, zrywają się i uciekają.*

CHÓR BIAŁYCH XIEŃ.

Witaj siostro! Po raz wtóry
Weź kapłaństwo Białych Xień.
Teraz wchodzisz na szczyt góry.
Wejdź, i ludom ogłoś dzień!...

Pomna *błogosławi* **Wandę**. *Inne ją ściskają. Potém zwolna odchodzą.*

Jasna *jeszcze wraca się, pokazuje* **Wandzie** *zorzę na niebie i odchodzi.*

SCENA XV.

WANDA *sama.*

Czy widzę zorzę? Bądź błogosławiona
Rozbudzicielko! Zdrowa światłość zorzy,
Rozprasza widma co pomroka tworzy.
Jak błogo, pełnią spalonego łona
Pić powiew ranny! Chłodu, jeszcze chłodu!...
Chciałabym przywdziać zbroję całą z lodu.
Pod tym rynsztunkiem wszystko-by zagasło...

Słychać śpiew skowronka.

Skowronek śpiewa. Swobodnie a śmiało,
Jak śpiewa dziewcze, póki nie kochało.
To głos pobudki, wojownicze hasło!

. . . .

Ciszéj słowiku... Nie przeszkadzaj niebu...
Twój to głos, pełen rozkwilonéj zdrady,
W dziewiczą duszę lał różane jady.

. . . .

I ta równianka... Wszak to dzień pogrzebu?
Na grób mych marzeń lećcie łzy i kwiaty!

Zrywa z głowy kwiaty i rzuca pod stopy.

Hełm dziś od wieńca lżejszy mi się wyda.
Te wiotkie rąbki, te zalotne szaty,
Przystoją-ż Wandzie? Gdzie jest moja dzida?

Chwyta dzidę.

Pójdź! Ja-m znów silna, — silna a spokojna.

W głębi ogrodu widać wschód słońca.

Niebo się złotym zapala pożarem —
Słońce wylata z czerwonym sztandarem —
Światłość zwycięża! Wolność! Światłość! Wojna!

Uderza włócznią w tarczę. — Na ten dźwięk wbiegają: **Własta, Tomiła, Płomniewa,** *i wiele innych Rycerek.*

SCENA XVI.

WŁASTA.

Śpiż na trwogę uderzył... Czy nas xiężna wzywa?

WANDA.

Wojna!

WŁASTA.

Sława niebiosom!

PŁOMNIEWA.

Pojęła-żem jasno?
Ledwie smyczki ucichły? Ledwie światła gasną?

WANDA.

Dajcie mi pancerz.

Rycerki ją odziewają w zbroję.

GŁOSY MIĘDZY RYCERKAMI.

Witaj, o wieści szczęśliwa!

TOMIŁA.

Wielkie są dzieła bogiń!

Wbiegają **Stanisław, Wyrwidąb** *i tłum* **Wojowników.**

STANISŁAW.

Królowa już zbrojna?

WYRWIDĄB.

Śpiż nas wołał... Co widzę? Gody z mieczem?

WANDA *uderzając włócznią o ziemię.*

Wojna!

Wchodzi **Niebosz.**

NIEBOSZ.

Wojna? Więc przeczuwałaś wieść jaką ci niosę?
Na wszystkie moje prośby milczała Dziewanna.
Błogosławię twój oręż! Idź przez ranną rosę,
Przeczysta jak rosa ranna.

Wanda *do Niebosza.*

Stawcie ołtarz nad Wisłą, lejcie miodu zdroje,
Wymódlcie nam pomoc bogów.

Do Tomiły.

Tomiło, ty idź jeszcze do obozu wrogów,
Powtórzysz tam słowa moje.

Odprowadza na bok **Tomiłę,** *i przez chwilę półgłosem z nią rozmawia. —* **Tomiła** *wychodzi.*

WŁASTA.

Czy już dać hasło do bitwy?

WANDA.

Do bitwy?
Bitwy i burzy... Nie, żadne modlitwy
Nie wyrwą kolca kiedy wrośnie w serce.
Wyrwie go tylko ząb stali,
Grom tylko wypali!
O wspaniale, bieguna dosiąść bohaterce!
Na chmurnym biegunie,
W błyskawic łunie,
W syku pożarów,
W szumie sztandarów,
W puklerzów szczęku,
W orkanów jęku,
Nad przepaścią zawrotową,
Ze zwycięztwem pod stopą, z orłami nad głową,
Pędzić póki świat nie runie,
W świat nieskończonéj bitwy, pędzić na piorunie!

WŁASTA.

Rozwijajcie chorągwie!

Rycerki *i* **Wojownicy** *rozwijają sztandary*

CHÓR

Wiedź nas wodzu biały,
W bitwę, na Niemców, do chwały!

WANDA *do rycerek.*

Dziewy, za mną!

Do Wojowników.

Mężowie w grodzie pozostaną.

GŁOSY MIĘDZY WOJOWNIKAMI.

Zostać nam każesz? Nigdy!

STANISŁAW.

Czém-że-śmy królowo,
Na gniew twój zasłużyli?

WYRWIDĄB.

Po co tą wymową
Rozpalałaś nam piersi? Wando, nigdy jeszcze
Dłoń moja się nie czuła tak niepokonaną!

GŁOSY MIĘDZY WOJOWNIKAMI.

Pójdziem! My zawsze pierwsi! Zwróć słowo złowieszcze!

WANDA.

Dopóki was nie wezwę, czekajcie rycerze.
— Jeśli z wałów ujrzycie że górę wróg bierze,
Wychodźcie z bram, spadnijcie i odsiecz przynieście.
— Lecz jeżeli dotrwają szeregi niewieście,
Niechaj żaden z was dzieła im nie pozazdrości.
— Dziś lackie białogłowy chcą zwyciężyć same.
Gniew mój na tego spadnie kto-by przeszedł bramę,
Kto-by nam urwał jeden liść z nieśmiertelności.

RYCERKI CHÓREM.

W pole za nią, krwawe pole!
Walczyć dla niéj, umrzéć dla niéj!
Chwała Wandzie, białéj pani,
Co podniosła niewiast dolę!

Wojownicy *smutnie się rozstępują.* — **Rycerki** *niosące sztandary stają we dwa rzędy, i pochylają chorągwie z których tworzą niby sklepione przejście.* — **Wanda** *pod nie wchodzi i w głąb' idzie, — za nią wszyscy.*

Scena zostaje pusta przez chwilę, przez którą słychać trąby i pieśń wojenną na kobiece głosy.

Akt piąty.

AKT PIĄTY.

Obóz niemiecki. — Po prawéj stronie namiot **Rytygiera**. — *Po lewéj wzgórek. — W głębi widać Wawel i Kraków.*

SCENA I.

Rycerze snują się wśród namiotów. — **Giermek harfiarz** *wbiega i odsuwa oponę od namiotu wodza.*

W głębi namiotu widać siedzącego **Rytygiera**.

GIERMEK

Posły od Wandy!

RYTYGIER *wstaje i wychodzi z namiotu.*

Od niéj? Czemu się tak trwożę?...
Wpuść posłów.

Giermek *wybiega. — Po chwili wchodzi* **Tomiła**. — *Za nią dwie* **Rycerki** *zatrzymują się w głębi.*

TOMIŁA.

Słów mych tylko wódz wysłuchać może.

Rycerze *rozchodzą się. —* **Tomiła** *oddaje* **Rytygierowi** *pierścień.*

Mężu! Chwila to ciężka. Lecz i w niéj masz błogą
Pociechę: jeśli Wanda nie wybrała ciebie,
To że, nadziemska, wybrać nie może nikogo.
— Ty-ś płomieniem na ziemi, ona gwiazdą w niebie;
Niebo i ziemia bliskie, a zejść się nie mogą.

Chwilę czeka. **Rytygier** *milczy.*

Tak, — kochać cię nie może, lecz woli być w boju
Z całym światem niż z tobą. — Słuchaj Rytygierze:
Wanda zaklina ciebie, odejdź ztąd w pokoju.
Odejdź, a weźmiesz od niéj dwóch ludów przymierze,
I przyjaźń wierną w szczęściu, wylaną w ofierze.
Nie odrzucaj niebacznie! Przyjaźń takiéj duszy,
To klejnot godny bogów.

Rytygier *milczy.*

Nic-że cię nie wzruszy?

RYTYGIER *ciska pierścień o ziemię.*

Co mnie po jéj przyjaźni? Ja jéj przyjaźń depcę.
Miłość albo nienawiść! Miłość w nienawiści —
Jak śnieg wśród liści —
Jak trup w kolebce.

Jeśli nieszczęścia spadną na kraj, (zbyt jéj drogi!)
Wtedy Wanda, królowa w królestwie rozpaczy,
Niech wszystkie sobie przyzna, wszystkie, — bo przez bogi!
Mogło być inaczéj!

Przysięgam w téj godzinie, na czarne otchłanie
Jeziora Herty!
Na waszych złotodajnych łanach nie zostanie
Zboża ani sterty —

Gałązki nie zostanie, ula nie zostanie
Wśród waszych ogrodów —
Kamienia na kamieniu w kraju nie zostanie
Z waszych twierdz ni grodów —

Żar lasów podpalonych, skry runących łomów,
Pożary wszystkich świątyń, łuny wszystkich domów,
Będą nam pochodniami lśniły weselnemi.

Modły dziewic ściganych wojenną pogonią,
Krzyk matek co dziecięcia przed żołnierzem bronią,
Jęk niewolników gnanych do niemieckiéj ziemi,
Będą dla nas pieśniami grały weselnemi.

Po smudze pobojowisk, jakby po kobiercu
Szkarłatnym od krwi Wendów, śrebrzystym od kości,
Szczęsna para! Dłoń w dłoni, i serce przy sercu,
Będę prowadził Wandę przed ołtarz miłości.

Tak to żenią się Teutony!
Tak mąż z gniewów dziewki szydzi. —
Tak Rytygier obrażony
Kocha kiedy nienawidzi!

TOMIŁA.

Nie wiemy komu niebo zwycięztwo przeznaczy
Żal mi że tak się nasza zakończa rozmowa.
Odwracam przeciw tobie twoje własne słowa:
Mogło być inaczéj!

Wychodzi.

SCENA II.

Rytygier *porywa róg zawieszony u wejścia namiotu i uderza weń wojennėm hasłem.*

Rycerze zbiegają się.

GODFRYD.

Jakież owoce burzliwéj narady?

OLAF *wskazuje ku ziemi.*

Patrzcie, tu pierścień! Czy sam, z ręki lubéj
Spadł do stóp twoich, czy jeszcze kazano
Biegać do niego w rycerskiéj gonitwie?

ŚWIĘTOSŁAW.

Zobaczę-ż zgodę z mojéj ręki sianą?

HAKON.

Po co go pytać? Widzicie jak, blady,
Gniew swój pożera.

Szyderczo.

Kiedyż wasze śluby?

RYTYGIER *po chwili walki wewnętrznéj.*

Zaślubiam Wandę — po bitwie.

HAKON.

W sztukach wymowy nikt ci nie przygani.
„Po bitwie," znaczy: „przed bitwą nie chciała."
Jeśli masz jeszcze cień miłości dla niéj,
Dusza już w tobie dziwnie zniewieściała.

RYTYGIER.

Po co pod stopą syczysz mi jak wąż?
Nie szydź, a klęknij przed serc gromicielką!
Nigdy jeszcze w mych oczach nie była tak wielką,
Dziewica-mąż!

Ona kocha, — to wiedzą Rytygier i bogi.
Lecz, od nikogo jeszcze nie zwalczona,
Dziwi się, nie chce uledz, — aż ją bój przekona,
Czy ten, który już jéj drogi,
Jest wyższy niż ona?

W miłość bez walki, kto wierzy?
Kto znajdzie perłę jeśli nie szedł do dna?

Cześć dumnéj Wandzie! Taka tylko godna,
Być panią wolnych rycerzy.

RYCERZE CHÓREM *z zapałem.*

Cześć xiężnie Wendów! Taka tylko, godna
Być panią wolnych rycerzy!...

Z wałów Krakowa słychać głosy trąb. — Widać jak brama miasta się otwiera, — w niéj migocą uzbrojone tłumy

RYTYGIER.

Dość słów. — Mężnych zostawiam ich własnym zapędom.

Wskazuje na szyki wychodzące z Krakowa.

Już idą!

WOJOWNICY CHÓREM.

I my idźmy! Za wodzem! Śmierć Wendom!

HAKON.

Stójcie jeszcze. Śmierć Wendom, — tak los wojny każe.
Lecz ich siostry, ich córki, z temi cóż się stanie?
Wszak Wandę otaczają zbrojnych dziewic straże,
Czy i dla nich śmierć w bitwie?

RYTYGIER.

Bezbożne pytanie!
Kto mieczem tknie kobietę, niech uschnie mu ręka!

HAKON *ruszając ramionami.*

Więc damy się zabijać?

RYTYGIER.

Któraż wam śmierć zada?
Mąż bezbronny i zbrojnych niewiast się nie lęka.
Sokół, choć szpon nie odsłoni,
Samym krzykiem strach rzuca na gołębie stada.

Gdy Teuton ujrzy wojenną dziewicę,
Niech miecz do pochwy wsunie, ułagodzi lice,

Z ukłonem zbliży się do niéj,
I patrzy błagalnie w oczy,
Aż zmiesza ją spojrzeniem. — Gdy dziewa się spłoni,
Mąż ją zwycięzkiém ramieniem otoczy,
I porwie jak tancerkę co niby się broni,
A w sercu tęskni do groźnéj ponęty.

Tak mężny piękną zwycięża!
A kto w podobnéj walce dotknie się oręża,
Ten niech będzie przeklęty!

WOJOWNICY CHÓREM.

Niech będzie przeklęty!

RYTYGIER.

Bo słuchajcie... Co powiem zasłynie wśród ludzi.
Przed bitwą jak przed śmiercią przyszłość się odsłania.
Miłość nadaje moc prorokowania.

GŁOSY MIĘDZY RYCERZAMI.

Słuchajmy. — Saga wojny, natchnienie w nim budzi.

Rytygier *się zamyśla.* — **Giermek** *z harfą staje za nim i gra.*

RYTYGIER *śpiewa*

Herta się myje w świątyni liściastéj.
Białością śniegów Odyn wieńczy głowę.
Z Herty ogrodów, z Odynowych lodów,
Jak jutrznia płynie nabożeństwo nowe:
Cześć dla niewiasty!

Niedość już odtąd prawicy żylastéj,
Ni piersi mocnych do spełniania rogów.
Tego rycerzem jedynie obierzem,
Kto w sercu nosi równo ze czcią bogów,
Cześć dla niewiasty!

Uderz na tryumf giermku mój harfiasty!
Wojuj i kochaj, Odynowe plemie!
Tobie została w dziejach wielka chwała:
Z za mórz niesiemy na zdziwioną ziemię,
Cześć dla niewiasty!

RYCERZE *z uniesieniem.*

On prawdę wieszczy! On wyśpiewał śmiało,
Co w naszych sercach już dawno szeptało!

Rytygier *przechodząc koło* **Świętosława**, *ściska go za rękę.*

RYTYGIER.

Żegnaj! Zazdrośnie Rytygier cię ceni.
Los tego starcia rozstrzygnie twe losy.
Ach, czemuż jedną przyjąźnią złączeni,
Odwrotne modły musim słać w niebiosy?

Daje znak **Strażom**, *które otaczają* **Świętosława.**

RYTYGIER.

A teraz naprzód! Sztandary wznieść!
Moc przeciw mocnym, — dla słabych cześć.

Sztandary się rozwijają.

RYCERZE CHÓREM.

Moc przeciw mocnym — dla słabych cześć!

Rycerze *tłumnie wychodzą za* **Rytygierem**. — *Na scenie zostają tylko:* **Świętosław**, *i w głębi* **Straże**.

SCENA III.

Świętosław, — trzech Strażników.

ŚWIĘTOSŁAW.

Tak, — już mi nie zostało nic oprócz modlitwy, —
Ni rumaka ni miecza. — O czemuż nie mogę,
Chociażby niewidzialnie wmieszać się do bitwy?
Chciałbym każdemu z Niemców z osobna zajść drogę!

Nie będę-ż nigdy spoglądał więcéj,
Na białe skały,
Zielone wały,
Na malowany dwór mój xiążęcy,
Na lud poczciwy,
I wszystkie dziwy,
Mojéj najdroższéj Karency?

Jednéj by teraz brakło mi tam doli:
Wzroku Bożenny... Wielkie bogi! Ona
W téj chwili z Wandą... wśród wrzawy wojennéj...
W niebezpieczeństwie... może już zraniona?...
A ja nie mogę ratować Bożenny!
O, lepiéj nie żyć, niźli żyć w niewoli...

STRAŻNIK PIERWSZY.

Zważacie? Okrzyk naszych słabnie coraz ciszéj...

STRAŻNIK DRUGI.

A trąby Wendów grają niestrudzenie.

STRAŻNIK TRZECI.

I coraz bliżéj... tu nawet się słyszy
Pochód pospieszny, jakby wód huczenie.

STRAŻNIK PIERWSZY.

Gdybyście tylko czujnie jeńca pilnowali,
Zobaczyłbym z pagórka, jak się tam bój toczy?

STRAŻNIK TRZECI.

Idź, wszystko nam opowiesz.

Strażnik pierwszy *wbiega na pagórek; podczas gdy dwaj inni bliżéj przystępują do* **Świętosława.**

STRAŻNIK PIERWSZY *na pagórku, oczy ręką przysłaniając.*

Dziwno... moje oczy
Chyba słońcem olśnione?...

STRAŻNIK DRUGI.

Czyż z takiéj oddali
Można co widziéć?

STRAŻNIK PIERWSZY.

Ale-ż to już nie daleko!
Tuż!... Wendy jakby fale i cieką i cieką,
A nasi ustępują, — wprawdzie w równym szyku,
Lecz ustępują ciągle...

STRAŻNIK TRZECI.

Czy wrogów tak wiele?

STRAŻNIK PIERWSZY.

Nie, lecz jak błyskawica, z iskrzeniem ruchomém,
Posuwają się szybko... Ich krzyk istnym gromem.

STRAŻNIK TRZECI.

Ja tylko głosy kobiet słyszę w tym okrzyku.

STRAŻNIK PIERWSZY.

Teraz już i królowę spostrzegam na czele.
Nasi idą jak senni... Nieba! Co to znaczy?
Szyki naszych się łamią!

STRAŻNIK DRUGI.

Daj pokój rozpaczy
To musi być zasadzką, gdzie nieprzyjaciele
Zapędzą się i wpadną.

STRAŻNIK PIERWSZY.

Może! Lecz to męką
Patrzéć... Oh! To już nadto podobne do trwogi!
Ten z żółtem piórem... Sztandar rzucił pod swe nogi,
I ucieka... To Hakon! Wołaniem i ręką
Wzywa drugich...

STRAŻNIK TRZECI.

Nikczemnik!

STRAŻNIK TRZECI.

Bezduszni! Swe żony i córy
ımierć wysłać, a samym ukryć się za mury!

STRAŻNIK DRUGI.

cze wszystko odżyje, — nasz wódz wszędzie błyska.

STRAŻNIK TRZECI.

ʒie on?

STRAŻNIK DRUGI.

Czyż tam nie widzisz jego czarnéj zbroi?
ɩrz, jak napędza hufce. — Teraz, wśrodku stoi, —
zniósł rękę, — musi mówić.

STRAŻNIK PIERWSZY.

Próżne wszystkie słowa!
asi nie nacierają — zaledwie się bronią...

STRAŻNIK TRZECI.

To nie bitwą, lecz pogonią!

STRAŻNIK PIERWSZY.

Przyparły ich do namiotów!

STRAŻNIK DRUGI.

A nie traćcie-ż tak serca. — Ja przysiądz bym gotów,
Że to wszystko jest wielka zasadzka bojowa.
Zwabią je, — i otoczą. — Co się oglądacie?

STRAŻNIK TRZECI.

To myśmy otoczeni! Patrz w przeciwną stronę:
Tam całe drugie wojsko!

STRAŻNIK DRUGI.

Prawda... Tam znów one!...

STRAŻNIK PIERWSZY.

Tam na czele, z chorągwią, ta w czerwonéj szacie,
Jaka straszna!

STRAŻNIK TRZECI.

Nawała z dwóch stron nas ogarnie...

STRAŻNIK PIERWSZY.

Odłączeni od wojska, poginiem tu marnie.

STRAŻNIK TRZECI.

Idźmy, — zgińmy przynajmniéj tam gdzie i rycerze.

STRAŻNIK DRUGI.

A jeniec?

STRAŻNIK TRZECI.

Z jeńcem... skończmy.

STRAŻNIK DRUGI.

Cóż Rytygier powie?

STRAŻNIK PIERWSZY.

Ba! Kto-by się go lękał? Już po Rytygierze.

STRAŻNIK TRZECI *wskazując na stronę*

Już na wszystko za późno! Zaszli nas wrogowie!

SCENA IV.

Wbiega **Bożenna**, *za nią kilka* **Rycerek**.

BOŻENNA.

On tu być musi...

ŚWIĘTOSŁAW *wydzierając się.*

Idę, za tobą Bożenno!

Następuje walka. — Po wytrwałym oporze, **Rycerki** *rozbrajają.* **Strażników**, *dwóch uprowadzają, — trzeci znika między namiotami.*

BOŻENNA.

Wolny! Wróci do korony!
Jakże dola mi promienną,
Że ze wszystkich mnie wybrała
Do jego obrony!

ŚWIĘTOSŁAW.

Teraz, któż mię rozłączy z tobą, zbawicielko?

Bożenna *podaje* **Świętosławowi** *miecz odebrany jednemu ze Strażników*

BOŻENNA.

Weź i pójdź, choć zaprawdę, praca już nie wielką.
Jeszcze też takiéj bitwy świat nie widział. — Chwała
Wandzie, i wam nieśmiertelni!

ŚWIĘTOSŁAW.

Gdzież Rytygier?

BOŻENNA.

Ten dotąd broni się najdzielniéj.

ŚWIĘTOSŁAW.

Niech żyje. — On w nieszczęściu był dla mnie wspaniały.
Oby mi dzisiaj bogi pocieszyć go dały!

Wychodzą.

SCENA V.

Muzyka wojenna. — Zgiełk. — **Rycerze** *i* **Rycerki** *przebiegają głąb' sceny.*

Giermek harfiarz *wbiega z oznakami rozpaczy i harfę roztrzaskuje o ziemię.*

Strażnik trzeci, *dotąd ukryty, wysuwa się z pośród namiotów.*

GIERMEK.

Gdzie xiąże?

STRAŻNIK TRZECI.

Co się stało? Czy wszystko stracone?

GIERMEK.

Całe piekło nas urzekło!
Czekaliśmy na mężów, a tymczasem one
Otoczyły nas... Niewiem, kto podał złowieszcze
Hasło odwrotu? Popłoch, to moc jak śmierć rącza.
Ach, gdzież wódz? Jeśli spotkasz, ostrzeż Rytygiera:
Widziałem — huf Hakona od wojsk się odłącza —
Już kilka innych za nim się wydziera. —
Może głos wodza zwrócił-by ich jeszcze?

Wybiegają jedną stroną..

SCENA VI.

Od drugiéj strony wbiega **Własta** *w czerwonéj szacie, z chorągwią w ręku. — Za nią kilka* **Rycerek.**

WŁASTA.

Ha! Lis zaskoczony w norze!
Ni ostać się na miejscu, ni uciec nie może.

Tu pusto… Teraz wyszli, lecz wrócą po chwili.
Tu ich ostatnie schronienie.

Zatyka chorągiew przed namiotem Rytygiera.

Chorągwi, stój niewzruszenie,
I szum spełnioną nadzieją.
Gdy ujrzą cię, zrozumieją
Że już nie do swojego obozu wrócili.

Wbiega Tomiła.

TOMIŁA.

Słuchajcie mię — rozkaz nowy:
Jeńcom darowane życie.
Że *nie chcą* nas zabijać, same-ż nie widzicie?
Ja niosę rozkaz królowéj!
Krwi nie lać daremnie.

Wybiega — za nią Rycerki.

WŁASTA *sama.*

Innym to mów, tylko nie mnie.
Kto spotkał Włastę, umiera.
Każdego poszlę Nii, choćby Rytygiera.
Niechaj ginie, kto własną zraniony urazą,
Na cały kraj niewinny podnosi żelazo.

Wybiega.

SCENA VII.

Wchodzą ze zgiełkiem **Godfryd**, **Olaf** *i wielu innych* **Rycerzy.**

OLAF.

Nieszczęsny dzień! Nic dotąd zrozumieć nie mogę?
Jakieś bóstwo złośliwe myśli nam zmieszało…

JEDEN Z RYCERZY.

Ja-m szukał wroga, wstrząsał bronią krwi zgłodniałą,
Lecz gdzie spojrzę, kobieta zachodzi mi drogę!

INNY RYCERZ.

To wódz nas pieśnią zaklął, starł nam hart z oręży.

GODFRYD.

Nic na niego! On zabić niewiastę zabrania,
Lecz nie każe uciekać. — Czyż bez krwi rozlania,
Nie mogliśmy ich zwalczyć? Na nas wina cięży!

Ogląda się do koła

Ale czas jeszcze, czas towarzysze!
Pewne zwycięztwa, już się nie strzegą
To czas odwetu niespodzianego.
Głos Rytygiera gdzieś słyszę...
Patrzcie: otoczony tam,
Odpiera je prawie sam!

Niech się z hufem huf pozrasta,
Jeszcze się oprzemy im.
Idźmy za nim do bram miasta,
Albo zgińmy z nim!

Wbiega **Hakon.**

HAKON.

Gdzie idziecie?

GODFRYD.

Do wodza, — on ginie!

HAKON.

Niech pada!
O zaślepieni! Nigdy-ż nie dostrzegą,
Że to wszystko czarna zdrada,
Uknuta między xięciem a tą Wandą jego?

Skalał swe berło, zhańbił swéj rycerski pas.
On zdradną pieśnią zniewieścił nam serca,
Ona przywiodła szeregi dziewczęce.
Ubezwładnionych oddać chciał w jéj ręce.
Ha! Za kobiecy uścisk on zaprzedał nas!

GODFRYD.

Nie słuchajcie! To oszczerca.
Idźmy, póki czas!

HAKON.

Kto jak owca idzie z tłuszczą,
Niech-że wpada w sieci złych.
Wolni rycerze, opuszczą
Wodza co opuścił ich.

Spostrzega chorągiew zatkniętą przez Włastę.

Patrzcie... tu jego namiot, przed nim sztandar wroga!
Czyż to nie jawny dowód że on z niemi w zmowie?
Tędy, jeszcze wolna droga!
Wielu już wyszło.. — Mężowie
Prędko, co prędzéj w ich ślady.
Tu dla nas tylko niewola.

GODFRYD.

Milcz! Nie temu dawać rady,
Kto najpierwszy uciekł z pola.

HAKON.

Tak, — ale się nie rumienię.
Herta na mnie spuściła straszne zaślepienie.
Przybyliśmy w te kraje szydząc z jéj zakazu.
Czekała. — Lecz w chwili dzieła,
Ostrze ztępiła naszemu żelazu,
Rozum nam odjęła!

Spieszmy kornie, — bo jedynie
Wracając przed jéj ołtarze,
Może-m przebłagać boginię,
Co sprawiedliwie nas karze.

Wahanie między **Rycerzami**. *Jedni wybiegają za* **Godfrydem**, *inni za* **Hakonem**.

SCENA VIII.

Wrzawą wojenna dochodzi do najwyższéj potęgi. Na scenę wbiega tłum **Rycerzy niemieckich** *broniących się i* **Rycerek lackich** *nacierajacych.*

W tym tłumie są **Rytygier**, **Olaf**, **Czesława**. **Płomniewa** *i inni.*

Walka. — Wśród niéj **Rytygier** *zraniony pada bezprzytomnie.*

Reszta walczących wśród zamieszania i pogoni rozpierzcha się ze sceny.

Po chwili wbiega **Hakon.**

HAKON.

Biada-ż mnie, biada! Czemuż zaślepiony
Nie wyszedłem z pierwszemi? Teraz już nie mogę!
Te czarownice i od tamtéj strony
Zamknęły drogę!

Spostrzega leżącego **Rytygiera**.

Co widzę? To jego trup!
Herto wspaniała,
Dzięki ci, że-ś nakoniec widziéć mi go dała,
Martwym u mych stóp!...

Gdyby się tylko jeszcze wyrwać z tych namiotów,
Gdyby się złączyć z wiernemi,
A wszystkie me życzenia ziszczone na ziemi.
Chociaż-by pod deszczem grotów,
Przedrzemy się do granic. — Rugja bez xiążęcia,
Do mnie wyciąga objęcia!

Co to jest? Czy to ciało jeszcze się wzdrygnęło?
Hakonie, jeśli pragniesz panować spokojny,
Rytygier nie powinien wyjść żywcem z téj wojny.
Skończmy Wendów dzieło.

Skrada się.

Rytygier *zwolna się ocuca, i wciąż leżący, głowę opiera na ręku.*

RYTYGIER.

Krew mię uchodzi... moc uchodzi ze mnie...
Muszę obwinąć tę ranę,
I znów tam wrócę, — chociaż nadaremnie!
Tak, — wszystko już postradane.
Herto, tryumfuj! Umiesz wybrać kary.
Ci trupem zalegli pole,
Tamci porwani w niewolę,
Inni, o hańbo! rzucili sztandary.
A ja, choć lecę na oślep w ognisko,
Choć śmierci zabiegam drogę,
Jakby na urągowisko
I zginąć nie mogę!

Hakon *podchodzi, i z tyłu uderza* **Rytyglera**, *ale miecz jego obsuwa się po zbroi xięcia.*

HAKON.

Przekleństwo! Stal omyliła.

RYTYGIER *zrywa się i chwyta go.*

Zdrajco! I to z mych własnych?... Nie, i bogi w niebie
Już tego nie zechciały! Z gniewem wraca siła.
Ty nie kobieta, można godzić w ciebie.

Hakon *mu się wyrywa.* — **Rytygier** *go ściga.* — *Walcząc i goniąc się, wbiegają na pagórek.* — *Tam garstka* **Rycerzy niemieckich** *broni się przeciw* **Rycerkom lackim.**

Hakon *uchodząc przed* **Rytygierem**, *zbiega bokiem z pagórka spotyka* **Właste**, *i po krótkiéj z nią walce pada zabity.*

Rytygier *i inni ciągle się bronią na pagórku.*

SCENA IX.

Wanda *wbiega na przód sceny i spojrzawszy na wzgórek, staje.*

WANDA

On tam! Czy go spotykać? Szukałam go wszędzie,
A teraz... cóż mu powiem? Myśl mi się zamąca...
Powinna-bym przemawiać jak zwyciężająca,
A ja drżę jak skazany kiedy ujrzy sędzię.

Na jego widok, boleść, i radość dziecinna,
Odbierają mi rozum. — Chciała-bym się cała
We łzę przed nim rozpłynąć, upaść ną kolana,
Upaść i wszystko wyznać! A jam nie powinna
Wyznać. — Póty méj siły pókim nie wyznała.

Przyjdź mi na pomoc, Duchu mojego narodu!
Natchnij mi słowa grozy, daj mi lica z lodu,
Broń mię przeciw mnie saméj, bo-m ja — pokonana.

Rytygier *który ciągle między broniącemi się walczył, nagle spostrzega z góry* **Wandę.** *Roztwiera objęcia i w największym pędzie zbiega z pagórka.*

RYTYGIER.

Teraz ją porwę! Teraz me ramię
Jak sieć kamienna ją pooplata.
Puszcze z nią przejdę, — wojska przełamię, —
Uniosę na krańce świata!

W największym rozpędzie chce ją uchwycić i w téj chwili staje jakby zkamieniały.

Kto ona? Jakaż siła tajemna jéj broni?
Z jéj postaci, jak z ołtarza
Światłość bije i poraża.

Po chwili wahania.

Nie mogę przystąpić do niéj.

WANDA.

On zraniony!... — O czemuż, czemu Rytygierze
Chciałeś walki? Jak straszną masz odpowiedź bogów.

RYTYGIER.

Po cóż obwiniać bogi? Przywiodłaś nam wrogów,
Z któremi wiesz, iż walczyć nie mogą rycerze.

Cóż dziwnego że wszystko jedna strona bierze,
Gdy druga bić się nie chce? Wielka wam ztąd chwała!

Gdyby nam Wanda mężów do boju przysłała,
O losach bitwy samo wyrzekło-by męztwo.

Lecz uzbroić się w urok i w rozrzewniającą
Niemoc, które wzrok olśnią, miecz z ręki wytrącą,
Wando, to nieszlachetnie. Wykradłaś zwycięztwo.
Używaj tych tryumfów, które-by rumieńcem
Powinny kraj wasz okryć. Jestem twoim jeńcem.

Rzuca jej swój miecz pod nogi, siada u wejścia swojego namiotu i głowę spuszcza na piersi.

WANDA.

Czyż Wanda mogła zgadnąć, czyż przypuścić śmiała,
Że u was cześć niewiasty jest święta jak prawo?
Cześć dla innych narodów tak niezrozumiała,
Że nam samym wasz odwrót wydał się obawą?

Już dziewki me w niejednéj wojowały ziemi,
Nigdzie mąż się nie wahał na śmierć walczyć z niemi.
I ty sam... Wszak przed chwilą, tu jeszcze, Tomiła
Słyszała, i z podziwem Wandzie powtórzyła
Twe groźby pełne klątew, gniewu i goryczy?

RYTYGIER.

Tak, — dopóki stał przy mnie twój poseł dziewiczy,
Byłem jak zwierz zgłodniały co krąży po nocy,

I wyje do xiężyca, i łaknie krwi ciepłéj.
Czemuż w bój nie poszedłem, dopóki nie skrzepły
Te myśli?

Z dzikiém spojrzeniem.

Już-byś Wando była w mojéj mocy!

. . . .

Czemu? Za późno pytać. Takiém jest niestety
Moje serce, — gdy pierwszym gniewem się nasyci,
Dziecie je może wodzić na pajęczéj nici.

Czy w szumie twych sztandarów i w kirysów chrzęście
Zaklęłaś czary? Nie wiem, lecz schwycony szałem,
Własnemi usty wyrok na siebie wydałem:
Zabroniłem rycerstwu mieczem tknąć kobiety.
Któż wiedział że szlachetność przynosi nieszczęście?

WANDA *odchodzi na stronę.*

Dziewanno! Ty widzisz sama:
Wyszukuję w nim winy, chcę by rdzawa plama
Wyszła na tę stal męża, w nadziei że zmniejszy
W moich oczach blask jego, — a on z każdéj próby
Wychodzi coraz wyższy, coraz słoneczniejszy.
I jakże-ż go nie...

Zastanawia się, i przystępuje do Rytygiera.

Xiąże, nie dla próżnéj chluby
Szukałam cię. Pragnęłam, w zawziętości boju,
Dni twe osłonić tarczą opieki zwycięzkiéj.
Teraz, gdy znam szlachetne źródło twojéj klęski,
Mówię ci jak przed bitwą: „Odejdźcie w pokoju.“
Wypuścimy was wolno, wszystkich, bez okupu.
Przyjaźń wspaniałomyślnych droższa nam od łupu.

Chwilę czeka.

Milczysz?

RYTYGIER.

A gdybym nie chciał odejść?

WANDA *z niepokojem.*

Rytygierze,
Nie mów tak!... Wanda wiele na siebie już bierze,
Gdy chce lud swój nakłonić, by wchodził w przymierze
Z temi których pokonał. Jeśli tę przestrogę
Odepchniesz, cóż uczynić odtąd dla was mogę?

Poczekaj aż war gniewu w tobie się ustoi.
Czy sądzisz iż twych myśli Wanda nie rozumie?
Wiem ja, Rytygier dumny, i zraniony w dumie.
Więc nic, — nawet wolności nie chce z ręki mojéj.

RYTYGIER.

Nie Wando, — jest odmienna, jedna, niezachwiana
Siła, co do powrotu zamyka mi drogę.

Zrywa się i przystępuje do niéj.

To postrach utracenia obecności twojéj

Chwila milczenia.

Wando... co uczyniłaś? Poznać się nie mogę.
Nie, ty nie wiesz jak straszna zaszła we mnie zmiana!

Pozwól mi tylko stanąć w twych giermków orszaku.
Odtąd będę najcichszym ze twoich czcicieli,
Cały dzień będę czekał twojéj ręki znaku.
Niech tylko mogę zdala, choć raz jeden w dobie,
Widziéć cię, miecz ci podać, u twojéj kądzieli
Nić nawiązać, a wolę być jeńcem przy tobie,
Niż przewodzić tysiącom. — Czy uwierzysz? Chwała,
Ta chwała co mi była bóstwem, gwiazdą, sterem,
Straciła dla mnie urok. — Miłość mię złamała.

Wiem że ta zniewieściałość pogardę mi zjedna.
Wiem, sam pogardzam sobą. Ale ty, ty jedna,
Nie możesz, nie powinnaś gardzić Rytygierem.

Nie mylę-ż się? Twe oko łzami zabłysnęło?
Dzięki ci, — nad umarłym zapłacz bohaterem.
Lituj się nad twém dziełem, — bo to *twoje* dzieło.

WANDA *z nagłą gwałtownością.*

Czy mię chcesz zabić słowami temi?
Przez wszystkie bogi na niebie,
Przez wszelką miłość na ziemi,
Zaklinam cię, błagam ciebie,
Oddal się... Oh ty nie wiesz!... Odjedź Rytygierze!

RYTYGIER.

Wando, zkąd cię ten postrach niepojęty bierze?
Ja będę cierpiał w ciszy. Czém ci grozić może,
Jeden mniéj albo więcéj sługa na twym dworze?

WANDA.

Czém grozi mnie? Rytygierze,
Więc nie znasz kobiecéj duszy?
Nic tyle jéj nie zagraża,
Jak gdy pan w jeńca się zmienia.
Przemoc, serca nie łamie, a litość je kruszy.
Można oprzéć się groźnym uśmiechom mocarza,
Któż oprze się łzie cierpienia?

RYTYGIER.

Co słyszę? Jakież niebo roztwierasz przedemną!
O dziwna! Czyż-bym w końcu natrafił na drogę
Do twego serca? Tę drogę tajemną,
Któréj znaleźć w potędze ni sławie nie mogę?

Jeżeli za cierpienia mam być pokochany,
To chcę cierpiéć, oh cierpiéć! Chcę nosić kajdany,

Pełzać w pyle jak robak, płakać jak dziecina.
Niewoli méj nie oddam i za tron Odyna.

WANDA *odchodzi na stronę.*

Co uczyniłam? Zaczęłam wyznanie...
Trzeba wszystko gwałtownie przeciąć, — bo inaczéj,
Cóż do wyznania zostanie?

Po chwili zamyślenia.

Witaj natchnienie rozpaczy!
Ostatnie szczęście, zginąć pod *jego* żelazem.

Podnosi miecz rzucony jéj pod stopy, zbliża się do **Rytygiera** *i miecz mu oddaje.*

WANDA.

Wszak jeniec się nie cofa przed żadnym rozkazem?
Ty-ś mym jeńcem.

RYTYGIER *z radością.*

Co każesz?

WANDA.

Rozkazuję tobie:
Walcz ze mną. Koniec bitwy nie nastał, do chwili
Póki obaj wodzowie sił swych nie zmierzyli.

RYTYGIER.

Walczyć, z tobą? Czy szydzisz? Drzewo na mym grobie
Uschnie, jeśli kobietę dotknę bronią męża.

WANDA.

A posłuszeństwo jeńca?

RYTYGIER.

Kto ciebie zrozumie.
Straszna istoto?

WANDA.

Słuchaj: méj królewskiéj dumie
Ubliża, tak zwyciężać nie tknąwszy oręża.

Rytygier *długo patrzy w nią z podziwem, potém nagle bierze miecz.*

RYTYGIER *półgłosem.*

To życie już należy do niéj, — niech je bierze.

Stają do walki.

WANDA.

Zaczynaj.

RYTYGIER.

Nie, ja pierwszy nigdy nie uderzę.

WANDA.

Broń się!

Zamierzają się i oboje nagle rękę opuszczają

RYTYGIER *rzucając miecz.*

To być nie może!

WANDA *rzucając miecz.*

Nie, to niepodobna!

Wanda *się zachwiewa,* **Rytygier** *podbiega i przyjmuje ją w objęcia.*

RYTYGIER.

Więc nie chciałaś mię zabić?

WANDA.

Zabić? Rytygierze
Ja kocham ciebie!

RYTYGIER.

Kochasz? Ty-żeś to wyrzekła?
Teraz, niech wszystkie czary, wszystkie bogi piekła

Spróbują mi cię wydrzéć! Każdego zosobna
Wyzywam! Pójdź! Na wieki, tak! W moje objęcia!

Herto! Bądź uwielbiona, bądź błogosławiona,
Za męczarnie przecierpiane,
Za moją przegranę!
Tyś więcéj dała niż wzięła!
Ja-m to zwał nocą zemsty, a to był wschód słońca!
O, niech nikt się nie waży sądzić bogów dzieła,
Dopóki nie ujrzy końca!...

WANDA.

Chwilę spocząć w tém objęciu!
Drżéć na tego serca biciu!
Spalić się w tych ust dotknięciu!
Potém — umrzéć. I w mogile
Śnić na wieki ową chwilę,
Jedną chwilę szczęścia w życiu!

Słychać zbliżającą się wrzawę i okrzyki zwycięzkie.

WANDA *wyrywa się z objęć Rytygiera.*

Dość już, dość szczęścia... może już za wiele...
Nie łudźmy się napróżno. Nie dla mnie wesele.
Odjedź... Wracaj na Rugję.

RYTYGIER.

Ja? Wszak już przed wielką
Wieścią mojego szczęścia, odchodzić nie chciałem?
Miał-że-bym teraz odejść? Pierw skonam!

WANDA *smutnie.*

A przecie
Jedno z nas odejść musi.

SCENA X.

Wbiegają **Wyrwidąb, Własta** *i kilku innych.*

WYRWIDĄB.

Wando! Zbawicielko!

WANDA *patrząc na nich z obłąkaniem.*

Czego wy odemnie chcecie?

WYRWIDĄB.

Bramy miasta otwarte, cały naród z szałem
Wytacza się, rozlewa, ciebie szuka wszędzie.

WANDA.

Wychodzą z miasta?.... Nieba! Gdzież ja się ukryję?

WŁASTA.

Co wam jest o królowo? Kryć się? Jeśli czyje
Oblicze dziś powinno w niebo patrzéć śmiało,
To twe, co jak bogów lica,
Samém swém ukazaniem cudu dokonało!

Tomiła *wbiega.*

TOMIŁA.

Wielki kapłan nadchodzi, i pyta, czy będzie
Już zaczynał ofiarę?

GŁOSY Z ODDALI.

Gdzie nasz wódz-dziewica?

Waligóra *wbiega.*

WALIGÓRA.

Lud chce widziéć królowę, podnieść na ramiona.
Chce ją widziéć niezwłocznie. Drży czy nie zraniona?

WANDA.

Właśto, zmiłuj się! Dzień ten przyniósł zjawisk tyle,
Że zamęt objął mi duszę...
Wstrzymaj ten tłum przez chwilę, tylko jedną chwilę!
Chcę być sama... z bogami rozmówić się muszę.

Wybiega stroną przeciwną téj od któréj tłum się wtacza.

Rytygier, *którego dotąd namiot zasłaniał obecnym, ukazuje się i miecz oddaje* **Tomile.**

RYTYGIER.

Prowadźcie mię na zamek, — włóżcie mi okowy. —
Ja jestem jeńcem królowéj.

SCENA XI.

Krajobraz z kępami drzew po bokach. — W głębi Wisła i most na niéj. — Na przodzie sceny, po lewéj stronie, ołtarz obwieszony kwiatami. — Wbiega **Wanda.**

WANDA.

Nakoniec sama jestem! Ta radość, śpiewanie,
Te hołdy, jakby widma latały w koło mnie...
— A teraz Wando, w przyszłość spojrzyj raz przytomnie.
Groźny wstał dzień! Od tego co się dzisiaj stanie,
Zawisły wieki! Straszno, gdy trzeba mieć wolę.

. . . .

Nie mogę myśli zebrać... Ten hełm skronie kole...

Zdejmuje hełm.

O! Nie mnie było pancerz przypinać do łona,
Sięgać po zimną gwiazdę co lśni bohaterce!
Ja nie do walki stworzona.
Nie, — ja mam serce.

. . . .

. . . .

Więc wszyscy, nawet Wanda, wszyscy go odbiegą?
Z hardym, szczęsnym zdobywcą, mogłam stawać hardo.
Lecz dziś... mogę-ż nie kochać, odepchnąć ze wzgardą,
Nieszczęśliwego?

. . . .

Jak przed nim odtąd mieć spokojne lice?
Jak unikać spojrzenia co zabiega drogę?
Jak ukryć zachwyt i trwogę,
Których już zna tajemnicę?

Co dzień, co chwila mieć go przed oczyma,
Widzieć jak cierpi bez gniewu, bez jęku,
Mieć jego szczęście w swém ręku, —
Przeciw takim pokusom sił na ziemi niéma.

. . . .

Przeciw takim pokusom niéma... chyba grób.

. . . .

Wy, co-ście łzy i miłość dali białogłowie,
Bogowie!
Na los oddaję się wam!
U rozdroża tylu prób,
Wskażcie mi znakiem z nieba, którą wybrać mam?

Ten sam **Duch** *co w Prologu, ukazuje się idący po wodach Wisły.*

To on! Narzeczony mój!
Straszny wierzycielu, stój!
Czy schodzisz, by rozwiązać mój niebaczny ślub?

Milczy. — Po co już pytać i ufać szalenie?
Przysłali mi znak bogowie.
Cóż mi wyraźniéj odpowie,
Jak to milczenie?

Wpatruje się w postać **Ducha** *i zwolna wpada w zachwycenie.*

Nieśmiertelny! Twe spojrzenie
Okuwa mię hartem zbroi,
Troski rozwiewa z pamięci.
Wszystkie piękności, przy twojéj
Gasną jak ziemia przy niebie!
Przeklęty, kto nie poświęci
Wszystkiego dla ciebie!

. . . .

Wszystkiego tu. — Lecz daléj? Gdy raz przejdę ciemną
Bramę innego życia, stracisz moc nademną.
Wszak ja-m tylko do grobu tobie ślubowała?
Za grobem wolno kochać Rytygiera!
Tam niebo, miłość! Ślubu dopełniwszy,
Z nim wieczność cała!
Szczęsny kto kocha i żyje. — Szczęśliwszy,
Kto ukochawszy, umiera!

. . . .

On ręką znak mi daje... Ogląda się wbiegu,
Jakby na wodach wskazywał mi drogę.
Idę za tobą, wszędzie! Choćby w toń bez brzegu!...

Duch *znika.*

Zniknął!... Zkąd mi tak straszno? Już ustać nie mogę,
Jakby duch we mnie był śmiertelnie ranny.
Słyszę, ciche jak po śniegu,
Stąpanie Marzanny...

Bogini śmierci, zbaw mię! Bez twojéj pomocy,
Już nie dochowam przysięgi!
Mam-że cię szukać? Mówcie, o wieczne potęgi,
Czy zanim dzień się skończył, wolno szukać nocy?

Klęka i objąwszy ołtarz rękami, modli się.

SCENA XII.

Wchodzą: **Niebosz, Starosta Złółko, Żupan Śrebrzonka, Władyka Latoś, Własta, Wyrwidąb, Waligóra, Stanisław, Płomniewa, Bożenna, Czesława, Świętosław, Zbigniew, Kapłanie, Wojownicy** *i* **Lud.**

Zapełniają scenę i w milczeniu wskazują sobie klęczącą **Wandę.**

Kapłanie czynią przygotowania do ofiary.

CHÓR KAPŁANÓW.

Grzmiący, zbrojny,
Boże wojny,
Boże Horowidzie!
Niech ta bitwa
Jak modlitwa
Na cześć twoją idzię!

Nijo! Xieni
Zmarłych cieni!
Wynagródź wspaniale,
Tych co zbladli
W polu padli
Na tarczy i chwale!

O Dadźbogu,
Wojen wrogu!
Od czarnego głodu,
Od pomoru,
I zaboru,
Broń twego narodu!

NIEBOSZ.

Sypcie kadzidła! Niechaj woń w rozpędzie
Aż bogów sięgnie różowemi chmury.
Bogi się cieszą przy naszym obrzędzie.
— Przystąpcie rzesze, zamilknijcie chóry,
Albowiem niebo przez me usta, będzie
Głosiło chwałę Krakusowéj córy.

Gdy na kraj, wrzący zgiełkiem i żałobą,
Z gór zestąpiłaś jakby duch skrzydlaty,
Nieznane szczęście przyszło nam za tobą,
Jak paź niosący biały kraj twéj szaty.
I szczęście nasze rośnie z każdą dobą,
Mocne i wielkie jak nasze Karpaty.

Któż tobie łaski u bogów nie przyzna?
Na łąkach naszych wyżéj buja trawa,
Rolę nurtuje siła jakaś żyzna,
Trzody nam zdrowe, pogoda łaskawa,
Wszędzie obfitość, o jakiéj starszyzna
Z lat najdawniejszych nie pamięta.

CHÓR.

Sława!

NIEBOSZ.

Lechowe orły, spokojnemi gniazdy,
Od gór do morza rozsiadły się z prawa.
O twoją tarczę kruszą się najazdy.
Mądrości pełna, każda twa ustawa,
Z serca wychodząc, jak wpływ dobréj gwiazdy,
Serca łagodzi i jednoczy.

CHÓR.

Sława!

NIEBOSZ.

Jedną brzmią pieśnią dwory i poddasza.
Wesoła praca, — serdeczna zabawa. —
Każdy w dostatkach, — wędrowca zaprasza,—
A ten się dziwi, że tu nie ustawa
Cały rok, święto? — Nigdy ziemia nasza
Jeszcze nie znała tyle szczęścia.

CHÓR.

Sława!

NIEBOSZ.

Z wszystkich dni twoich, dzisiejszy zasłynie.
Kto dziś na bitwę spoglądał, ten rzecze:
„Tam niewidzialnie walczyły boginie.“
Bo w długiéj walce, mieczami zmódz miecze,
To dzieło ludzkie, — lecz w jednéj godzinie,
Duchem zmódz siłę, — dzieło nadczłowiecze.

RYCERKI CHÓREM.

Boginie zwycięztwo dały!
Dla nas niewiast, dzień ten biały,
Lepszych dni jest gońcem!
Pierwszy dzień kobiecéj chwały,—
Wanda jego słońcem!

NIEBOSZ *bierze z ołtarza wieniec.*

Niech ten wieniec, uroczyście,
Dzisiaj skronie twe opina.
W nim są męzkie dębu liście,
I panieńska jest kalina.

Ciebie męzkie czyny szczycą —
Wdzięki zdobią cię niewieście.

Podaje Wandzie wieniec.

CHÓR.

Cześć wam, rycerska dziewico,
Od narodu wieniec weźcie!

NIEBOSZ.

Wieniec chwały téj nie wionie.
Nikt już liścia z niéj nie utnie.

Po chwili.

Czyż go nie chcesz kłaść na skronie?

Wanda, *kładzie wieniec.*

STANISŁAW.

Włożyła, lecz jakże smutnie!

NIEBOSZ.

Lud się twém milczeniem dziwi.
Czyż ci jego cześć niemiła?
Czemuż, gdy wszyscy szczęśliwi,
Wanda nam się zasmuciła?

Wanda *zwolna wstępuje na stopnie ołtarza i obraca się ku ludowi.*

WANDA.

O! To nie smutek. — Mnie rozpacz druzgoce!
Mnie przerażenie pochwyca!

. . . .

Straszno, kiedy błyskawica
U stóp wędrowca roztoczy
Przepaść, o któréj nie wiedział w pomroce.
Tak, wasze słowa rozwarły mi oczy.

— „Szczęściem kwitnie ziemia nasza!“ —
Głoszą wszyscy.
— Ten to głos,

Mnie rozbudza i zastrasza,
Bo wiem jak jest mściwy los!

. . . .

Istnieje gdzieś Potęga dzierżąca świat cały.
Niewiem, czy bóg czy bogini?

Wszystkie bóstwa jak dziatwa drobnemi są przy niéj.
— Imienia dla niéj dotąd niéma w ludzkiéj mowie,
Lecz wszystkie ludy drżąc ją przeczuwały,
Drżąc o niéj mówią mędrcowie.

Nigdy się nie raduje, nigdy nie użala,
Nieogarniona istota.
— W ręku ma wagi, z których jedna szala
Żelazna, a druga złota.

W jednéj trucizny — łzawnice — i miecze —
W drugiéj róż, miodu i skrzydeł jak w sadzie.
W jedną, nieszczęścia człowiecze,
W drugą szczęście kładzie.

I patrzcie: wszystko, co na téj ziemi,
Zwyczajną miarę przenosi skronią,
Jak pod wrotami nizkiemi,
Musi rozbijać się o nią.

Chwała, serc ujarzmicielka —
Mnogość skarbów — piękność wielka —
Boska mądrość — ludzka władza —
Każda wysoka zasługa,
Nawet pomyślność zbyt długa,
Wszystko przed czém tłum się skłania,
Prędzéj czy późniéj sprowadza
Te nadzwykłe gorycze i prześladowania,
Jakich nie zna tłum.
Im świetniej wiosna kwitnie i podzwania,
Tem groźniéj potok niosie groźny szum.

. . . .

Więc gdy rany są najkrwawsze,
Gdy klęski deszczem się leją,
Gdy zda się że niebiosa o nas zapomniały,
Wtedy na szczęście jakieś czekajmy z nadzieją,
Bo we pstréj tkance przeznaczenia, zawsze
Po czarnym, idzie pas biały.

Ale gdy wszystko śmieje się pogodą,
Kiedy dni nasze ciągły taniec wiodą,
Wtedy blednijmy struchleli!
Musi gdzieś blisko być burza,
Bo los, jak zachód słońca błyszczący nad wodą,
Im wyższym słupem światła w niebiosa wystrzeli,
Tym dłuższym słupem ognia w otchłanie się nurza.

. . . .

I kogóż teraz mój smutek zadziwi?
Myśmy szczęśliwi, — lecz *nazbyt* szczęśliwi!

. . . .

Los jeszcze wczoraj pałał groźbą wielką.
Dzisiaj zwycięztwo ostatnią kropelką
Przepełnia czarę. Biada nam, o biada!
Nasza złota szala spada!

Ileż trwóg i łez i ciosów
Trzeba na żelazną szalę,
By zrównały w ręku losów,
Takim radościom i chwale!

Ziemio moja! Drżę o ciebie...
Opłynęłaś błogą ciszą —
Ale już na twojém niebie,
Gromy wiszą!...

Zamyśla się.

STANISŁAW.

Kto jéj, o bogi! Kto pociechę poda?

WŁASTA.

Czemu nam ona dzisiaj radość mroczy?

STAROSTA ZIÓŁKO.

Oj, prawdę mówi! To dziwne, — tak młoda,
A już zajrzała Przeznaczeniu w oczy!

WANDA *nagle podnosząc głowę.*

Gdy w życiu przyjdzie taka przesileń godzina,
Jest-że droga ratunku? — Jest jedna, jedyna!
Jakąś wielką ofiarę rzucić z własnéj woli,
W żelazną szalę.

Tak człowiek sam przywraca równowagę doli.

Lecz ofiara być musi i żywą i drogą.
— Ofiary za któremi nie popłyną żale,
Na szali nieszczęść zaważyć nie mogą.

NIEBOSZ.

Rozkaż, a wszystkie konie i koguty białe,
I woły i barany ze złotemi rogi,
Wszystkie które chowamy na ołtarzów chwałę,
Padną dziś pod toporem.

WANDA.

Co nam z ich ubicia?
Ja dziś arcykapłanką! Wiem czego chcą bogi:
Ludzkiego życia.

Poruszenie i przestrach w tłumie.

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Nieba! Co ona rzekła?

STANISŁAW.

Grom z jéj oczów bije...

KILKA GŁOSÓW.

Czy chce jeńców poświęcić?

INNE GŁOSY.

Nie... To być nie może!

WŁASTA.

W bitwach trwogi nie znałam, a teraz się trwożę...

WYRWIDĄB.

Straszna-ś ty prorokini!

WIELE GŁOSÓW.

Życie, ale czyje?

WANDA.

Czemu się dziecie rwie do światła we śnie,
Gdy nieświadomość tak miękkiém wezgłowiem?
Czemu pytacie? Choć najpóźniéj powiem,
Jeszcze rzekniecie: „Za wcześnie!“

SCENA XIII.

Wchodzi **Tomiła** *z mieczem Rytygiera w ręku.*

TOMIŁA.

Xiąże pod strażą w zamku zatrzymany.
Miód mu podano, opatrzono rany.
Miecz mi swój oddał, — ja go wam oddaję.

Podaje miecz **Wandzie** *która go nie bierze.*

WANDA.

Gdy obrzęd skończym, zwróć mu go Tomiło,
I niechaj wolny powraca w swe kraje.

Szanujmy klęskę Teutońskich męży.
Uczczenie kobiet miecze ich ztępiło,
Niechaj szlachetnych szlachetność zwycięży.

Szmer wahania w tłumie. — Szemrania. — Znagła ruch zapału powstaje między Rycerkami.

RYCERKI CHÓREM.

W kim-że gniewu nie ugasi
Przykład wspaniałości twojéj?
Zemsta dziewom nie przystoi.
Odtąd, wolni jeńcy nasi!

Niech wracają, gdzie z rozpaczą
Matki już nad niemi płaczą, —
I niech pomną, że w rycerce,
Męzki duch, kobiece serce.

WANDA *zchodzi ze stopni ołtarza.*

Ostatni obowiązek spełniony. — Już czas,
Wskazać ofiarę co ocali was.

Zwolna odchodzi w głąb' sceny.

TOMIŁA.

Jak dziwny głos jéj! Złowieszcze
Przeczucie mi w sercu pała...

Wanda *w pół sceny nagle staje i ogląda się na wszystkich z rozrzewnieniem.*

WANDA.

O mój narodzie! Nie, ty nie wiesz jeszcze
Jak Wanda cię ukochała!

STANISŁAW *skłaniając kolano.*

To ty nie wiesz, ty z nad ziemi,
Jak ciebie kochają ludzie!
Nie trwoż się słowami temi...
Ach, niejeden dawniéj w złudzie
Sądził, że zuchwałém czołem
Twego serca sięgnąć można.
Dziś dopiero cię pojąłem:
Dla niebianki cześć nabożna!
Tobie panować z ołtarzy.
Lud modlitwą cię pozdrowi.
Któż pokochać się odważy,
Zaślubioną narodowi?

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Któż pokochać się odważy,
Zaślubioną narodowi?

Podczas chóru **Wanda** *w głąb' odchodzi. — Za nią* **Niebosz Własta, Wyrwidąb**, **Stanisław, Płomniewa** *i inni. — Cały tłum się porusza.*

STARY RYBAK.

Proszę, puśćcie mię bliżéj, — rąk tak nie podnoście,
Nie mogę jéj zobaczyć.

WŁADYKA LATOŚ.

Tędy idźmy daléj...

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Kiedy już iść nie można .. Tam się zatrzymali.

STAROSTA ZIÓŁKO.

I cóż?

JEDNA Z RYCEREK.

Gdzie Wanda?

JEDEN Z KAPŁANÓW.

Widzę, — stanęła na moście.

Wanda *wstępuje na zaporę mostu.*

STARY RYBAK.

Oh, teraz i ja widzę.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Gdzie ona wstąpiła?

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW.

Tak zkamieniéć, i patrzéć wiecznie, nieskończenie!

Tomiła *przedziera się do* **Wandy,** *i chwyta się jéj płaszcza.*

TOMIŁA.

Wando! Co ty chcesz czynić?

Wanda *odpina płaszcz który z niéj opada.*

CZESŁAWA.

Nadpowietrzna siła
Zdaje się ją porywać!

KILKA GŁOSÓW.

Uleci!

INNE GŁOSY.

Widzenie!

Zachwyt ogarnia tłum. Jedni jéj rzucają wieńce, — inni klękają, — inni składają ręce.

WŁASTA.

Radość w tobie, boleść w tobie,
Wszystko dla nas, tajemnica.
Czemuż jednak w takiéj dobie,
Odwróciłaś od nas lica?
Spojrz! Rozkazuj! Jak pachole,
Spełnim każdą twoją wolę,

Tylko niech już po twém niebie,
Chmura troski nie przepływa,
I bądź z nami tak szczęśliwa,
Jak my z tobą i przez ciebie!

CHÓR.

I bądź z nami tak szczęśliwa,
Jak my z tobą i przez ciebie!

WANDA.

Mogłam szczęsną być, ziomkowie!
I ze szczęściem się rozstanę.
Czemu? Nikt się, nikt nie dowie!

Chwila milczenia.

Niech to szczęście pożegnane,
Lud mój po mnie odziedziczy.
— Z życiem zerwą się okowy!

Zdejmuje z głowy wianek.

Tobie, Duchu narodowy,
Rzucam wianek mój dziewiczy.

Rzuca wieniec do Wisły.

STANISŁAW.

Natchniona!

WYRWIDĄB.

Jéj wyrazy, choć niezrozumiałe,
Porywają jak trąba gdy ogłasza chwałę.

ZBIGNIEW.

Jak ona patrzy w Wisłę!

STARY RYBAK.

Jak patrzy! Co ona
Widzi w wodzie?

PŁOMNIEWA.

Do słońca rozwarła ramiona!

WANDA.

Oj smutno-ż iść na pustynię,
Gdy w grodzie krasno i ludnie!
Oj śmutno-ż zasnąć ptaszynie,
Kiedy zaledwie południe!

NIEBOSZ.

Ziemia cię nie rozumie, bujasz gdzieś po niebie...
Bóg dziwny, bóg zwycięztwa przemawia przez ciebie.

WANDA.

Inny bóg mówi przezemnie!
Kto go zwalczy? On od Lela
Potężniejszy! — Nadaremnie
Bóstwo kwiatów i wesela,
Chciało czary miodowemi
Zwabić mię ku ziemi.
Serce chciwe jakby pszczoła,
A miłości słodkie zioła,
Lecz dla Wandy w nich tajemnie
Tkwi kropla trucizny.
Inny Bóg mówi przezemnie!
Czy słyszycie jak mię woła?
To on! Bóg ojczyzny!

Rzuca się do Wisły.

Chwila osłupienia. — Potém zgiełk. — Wszyscy biegną ku wodzie.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Gdzie Wanda?

WIELE GŁOSÓW.

Utonęła!

TOMIŁA.

Jeszcze szata biała
Miga z wody... Czas jeszcze!

STANISŁAW.

Ratujmy! Gdzie łodzie?

KILKA GŁOSÓW.

Ach, żadnéj nié ma blisko!

STARY RYBAK.

Tam, łódź moja stała...

Wybiega — za nim **Stanisław, Tomiła, Waligóra, Własta** *i inni.*

WYRWIDĄB.

Po co czółna? W nurt, za mną!

Rzuca się w rzekę — za nim **Zbigniew** *i kilku innych.*

ŻUPAN ŚREBRZONKA.

Patrzcie... on już w wodzie.
Daléj płyń Wyrwidębie! Tam jéj szukaj, tam!
Zanurzył się...

GŁOSY KOBIET.

Już późno...

WIELE GŁOSÓW.

Wypływa! Lecz sam ...

Niebosz *na brzegu podnosi ręce.* — **Płomniewa** *klęka i załamuje dłonie.*

PŁOMNIEWA.

Wisło! Rzuć ją w nasze ręce!
Nieś ją lekko nad głębiną!

NIEBOSZ.

Tysiąc ofiar ci poświęcę,
Tylko wróć nam tę jedyną!

WŁADYKA LATOŚ.

Tam! Wyrwidąb wypływa! W objęciu ją trzyma!

GŁOSY POMIĘDZY LUDEM.

Czy taki nurt gwałtowny? — Czy on sił już niéma? —
Jak strasznie się mocuje! — Chwytają go głębie... —
On nie może wyjść z prądu...

Ukazują się czółna. W jedném płyną: **Własta** *i* **Stanisław.** *W drugiém* **Waligóra** *i* **Tomiła.** *W innych czółnach inni.*

WALIGÓRA *z łódki.*

Wytrwaj Wyrwidębie!

Płyniemy.

STAROSTA ZIÓŁKO.

Nadto spieszą... łódź przewrócą w pędzie.

PŁOMNIEWA.

Nie nadto! Nigdy nadto! Za późno już będzie!

RÓŻNE GŁOSY.

Jak pędzą! — Aż tu słychać jak się burzy piana...
— Wielkie nieba! Oboje znikają w topieli...
— Nie widać ich! — Nie, patrzcie: tamci dopłynęli!

Płynący w łódkach dobywają z wód **Wandę** *i* **Wyrwidęba.**

Wielkie odetchnienie w tłumie.

CHÓR.

Wyratowana!

Ciche granie harf, przy którém łodzie dobijają do brzegu. — **Stanisław** *i* **Własta** *wynoszą* **Wandę.** — **Waligóra** *niesie bezprzytomnego* **Wyrwidęba.**

ŚWIĘTOSŁAW.

Może ona jeszcze żywa...
Czyliż śmierć tak piękną bywa?

WŁASTA *do niewiast.*

Tu, — tu złóżcie rąbki swoje.
Odepnijmy ną niéj zbroję.

Niewiasty ze swoich rąbków tworzą na przodzie sceny posłanie na którém **Własta** *i* **Stanisław** *składają* **Wandę**.

TOMIŁA.

Ach, te stopy jakby lód,
Płaszczem je spowińmy rączo.

BOŻENNA.

Jak jéj nie ma owiać chłód?
Z warkoczów strugi się sączą.
Otulmy je w nasze szaty.

PŁOMNIEWA.

Kwiatów na łono, na skroń!
Może ją ocuci woń?
Kwiatów dajcie!

Obecni biorą kwiaty z ołtarza i obsypują niemi **Wandę**.

CZESŁAWA.

Ach te kwiaty,
Co ofiarę wieńczyć miały!

TOMIŁA.

Jaki straszny jéj blask biały!

Pokłania się i kładzie rękę na sercu **Wandy**.

WYRWIDĄB *ocucony zrywa się.*

Gdzie ona? Żywa? Umarła!... Czy dzwoni
To święte serce?

TOMIŁA.

Ja nie czuję bicia.

STAROSTA ZIÓŁKO *do Rybaka.*

Wy znacie wszystkie podwodne zjawiska.
Cóż tu powiecie?

STARY RYBAK

Oj, nieraz ja-m zbliska.
Widział topielców wracanych do życia,
Ale nie... nie tak wyglądali oni.

STANISŁAW.

Nie mówcie słów tych... Któż podobny do niéj?
Nie umrze! Są nieszczęścia, — lecz takiego niéma.
Niéma!... Ja wyzywam Niję!
Ona między zmarłych zgrają,
Nieśmiertelnéj nie zatrzyma!

Po chwili.

Patrzcie: usta odkwitają!
Ona odżyje!

CHÓR.

Odżyje!

NIEBOSZ.

W niebo wzrok ludu! W niebo, serce ludu!
Tylko od nieba można czekać cudu.

CHÓR *klękając.*

Bogi! Bogi!
Głosu trwogi
Czyż nie usłyszycie tam?
Dość już przyćmion dzień zwycięzki,
Spuśćcie na nas wszystkie klęski,
Ale ją oddajcie nam!

TOMIŁA.

Wpatrzcie się w tę twarz liljową:
Blade róże wschodzą nań!

STANISŁAW.

Przez miłości święte słowo,
Błagam cię dziewico, wstań!

WYRWIDĄB.

W imie ojczyzny, królowo,
Zaklinam cię, wstań!

CHÓR.

Lud sierota w łzach się miota.
Matko ludu, wstań!

STARY RYBAK.

Jak wy możecie łudzić się nadzieją?
Na chwilę, z zimnéj ochłonąwszy wody,
W ciepłém powietrzu odżyły jagody,
Lecz teraz, patrzcie: powtórnie bieleją.

PŁOMNIEWA.

Tak... ust różowość na fjołki się zmienia.

WŁASTA.

Ręka zastygła na piersiach się zwarła,
Jakby wykuta z białego kamienia.

TOMIŁA.

I coś w obliczu strasznego się stało:
Jak gdyby zwolna za bladością białą
Czarna zasłona spadała...

STANISŁAW *z rozpaczą.*

Umarła.

CHÓR.

A więc umarła! Żadne błaganie,
Żadna łza, życia nie da na nowo.

Córa Krakusa nigdy nie wstanie.
Nigdy! Czy znacie straszniejsze słowo?
Nigdy a nigdy!

CHÓR MĘZKI.

Smutno-ż czeladzi, gdy gospodyni,
Z narodowego odeszła domu.
Odeszła! Szczęście odchodzi przy niéj.
A nas tu kochać niéma już komu,
Nigdy a nigdy!

CHÓR NIEWIEŚCI.

Naszéj przyszłości sztandar się łamie.
Nasz dzień u świtu już się zaćmiewa.
Dziewczemu wojsku osłabło ramie.
Kiedyż bo przyjdzie równy wódz-dziewa?
Nigdy a nigdy!

CHÓR CAŁY.

Przebłagać chciała cios przyszłych losów.
O Wando! Wando! Na przebłaganie,
Czemu wybrałaś najcięższy z ciosów?
Córa Krakusa już nie powstanie,
Nigdy a nigdy!

Słychać zgiełk za sceną.

SCENA XIV.

Rytygier przedziera się przez tłum.

RYTYGIER.

Puśćcie mnie!... Czy to prawda? Jam jeszcze powinien
Widziéć Wandę...

Spostrzega zwłoki Wandy.

Zabita!

Po chwili ponuro.

Kto téj śmierci winien?

NIEBOSZ.

Młodzianie, — zemsta patrzy twojemi oczyma.
I nami ona miota, — lecz tu zemsty niéma.
Wanda sama się bogom oddała w ofierze.

TOMIŁA *oddaje Rytygierowi jego miecz.*

A słowo jéj ostatnie, wolność wam wróciło.

Rytygier *bezprzytomnie chwyta miecz, klęka przy* **Wandzie** *i wpatruje się w nią.*

ŚWIĘTOSŁAW.

Odejdź, — będziem boleli razem, Rytygierze.

Usiłuje odprowadzić **Rytygiera**, *który klęczy w zupełnéj nieruchomości.*

ŚWIĘTOSŁAW *odstępując z podziwieniem.*

Czy to spokój, czy rozpacz?

Długa chwila milczenia.

RYTYGIER *zrywa się.*

Wszystko zrozumiałem.
Pomszczę jéj śmierć!

Podnosi gwałtownie miecz i toczy wzrokiem obłąkanym.

ŚWIĘTOSŁAW *zabiega mu drogę.*

Ja znam to! Miecz mu weźmy siłą!
Uciekajcie!... Ten człowiek napadnięty szałem!

Tłum się z krzykiem rozstępuje. — **Wojownicy** *chcą chwycić i rozbroić* **Rytygiera**.—*Ten im się wyrywa, nagle miecz opuszcza i staje.*

RYTYGIER *śpiewa.*

Gdzie przestępca? On tu, — przy niéj.
Już go ściga bogów gniew!

Wando! Tobie jak bogini,
Będę święcił ludzką krew.

Tłum się jeszcze głębiéj cofa.

Nie drżyj, rzeszo osłupiała.
Kto jéj śmierć zarzuci wam?
Cała zbrodnia i jéj chwała
W jednym. — On przypłaci sam.

Głosy niepokoju w tłumie.

Nie litujcie się, struchleli,
Nie płaczcie go. — Szczęsny on!
Szczęsny kto z nią wszystko dzieli —
Z Wandą życie, z Wandą skon!

Zabija się.

Długi jęk przerażenia.

CHÓR.

Czarnego-że to boga, czy Białego dzieło?
Szalony, kto ufnością w swe szczęście się mami!
Nasze, mocne jak twierdza, w jeden dzień runęło.
Korzmy się: Śmierć i Miłość przeszły między nami.

Miłości! Przed obliczem twém spiorunowani,
Miłości! Uznajemy wszechwładanie twoje.
Miłości! Na twój rozkaz zginęli oboje —
Ona z miłości dla nas — on z miłości dla niéj.



Epilog.

WIANKI.

EPILOG DLA CZYTELNIKA.

GŁOS LUTNISTKI.

Wanda leży pod mogiłą jak pod zbroją serce.
Naród sypie co rok wianki swojéj bohaterce.

Kto te wianki pierwszy splatał? Jak wzrosła mogiła?
To mi powié chyba miłość. Wszak ona tam była?

GŁOS MIŁOŚCI.

Byłam ja naonczas w sercach, powietrzu i ziemi,
I nad Wandą się spłakałam łzami rzęsistemi.

I nie tylko nad nią jedną. Mam-że wyznać szczerze?
Wiele po niéj łez wylałam, lecz po Rytygierze
Jeszcze więcéj.

GŁOS LUTNISTKI.

Czemuż więcéj?

GŁOS MIŁOŚCI.

Bo lepiéj-by nie żył,
Ten co choć o jedną chwilę swe kochanie przeżył.

Wszystkie dziewki i niewiasty uczuły to ze mną.
W koło zwłok rycerza siadły z zazdrością tajemną.

Każda w duszy się pytała: „Znajdę-ż tak wiernego?"
I strzegły go, jak płaczące brzozy grobów strzegą.

A młodzieńcy i mężowie, w duszy zagniewani,
Że ich ubiegł nawet śmiercią w poświęceniu dla niéj,
Stali przy niéj jakby głazy strzegące mogiły.
Tak serdeczne dwa obozy boleścią walczyły.

Ofiarnicy, zawezwani przez opłakiwaną,
Zrozumieli jaką święcić ofiarę im dano.
Znoszą drzewo. Arcykapłan pochodnię rozżarza.
Wszak to Niebosz, kapłan Lela? Ten co u ołtarza
Zwykł płonące łączyć serca, o szyderstwo losu!
I dziś wierną miłość łączy, lecz w płomieniach stosu.

Łuna błysła w krąg jak tarcza z miedzianemi skręty.
Potém gasła, aż opadła jak sztandar zwinięty.
Napełniono popielnice. —
Tymczasem Tomiła,
Białogłowy na ustronie odwiodłszy, mówiła:

„Gdy mężowie ojcu wznieśli grób podobny górze,
„Czyż się równy hołd od niewiast nie należy córze?
„Niech przy królu-kopcu stanie mogiła-królowa,
„Niech wskazują podróżnemu drogę do Krakowa,
„By w zamorskich krajach głosił, że między Lechity,
„Chwała męzka i niewieścia mają równe szczyty."

Więc niewiasty odwinęły śnieżyste rękawy,
I zawodząc śpiew przeciągły, rozżalony, łzawy,
Jam szum ptastwa ciągnącego przeze-mgły jesieni,
W kraju szat znosiły ziemię. —
Mężowie zdumieni,
Spoglądali, — aż odgadli, — i jak rój pszczół nowy,
Tamtym w pomoc się rzucili. — Stanął ul królowéj.
Ul bogaty w plon. Od wieków, poezja, tamtędy
Sączy się jak miód, ujęta w biały wosk legendy.

Wieczór, gdy się pogrzebowi rozchodzili goście,
Własta, dziewom przodująca, stanęła na moście.
Krasny wianek zdjęła z głowy, rzuciła do fali.

„Oto“ rzekła, „straszne miejsce gdzieśmy ją żegnali.
„Tu ja wianek mój dziewczęcy, i serce dziewczęce,
„Za przykładem Wandy, bogom nieśmiertelnym święcę.
„Wolę morzu głębokiemu oddać kwiaty wianka,
„Niż śmiertelnikowi. — Ja-m jest Dziewanny kapłanka!“

Jak zaraza wszystko chwyta w okrąg piorunowy,
Tak jéj zapał chwycił dziewki. Kwiat zrywają z głowy,
Tłoczą się na most. Do wody gradem lecą wianki.
„I nas przyjmij o Dziewanno! między twe kapłanki!“

— A ja, siedząc na tęczowym z obłoków kobiercu,
Spoglądałam na nie z góry, i śmiałam się w sercu:
„Myślicie że ja się lękam waszego zawzięcia?
„Na pierzchliwéj wodzie pisać zamiary dziewczęcia!“

— Z chmur na ziemię potrząsnęłam róż zaklętych koszem.
Zaraz chłopcy, oburzeni panieńskim rokoszem,
Czapkę na bok nasunęli, poskoczyli w łodzie,
I daléj-że wianki gonić na pierzchliwéj wodzie!
Przemigają wiosła w dole, pawie kitki w górze.
Wisła myśli że jaskółki, pieni się na burzę.

GŁOS LUTNISTKI.

Ale-ż dziewki?

GŁOS MIŁOŚCI.

Przechylone przez most jak lilije,
Dziewki niby się gniewają, a serce im bije.

Hej! Po Wiśle płyną wianki, lecz i chłopcy płyną.
Wraca jeden, wraca drugi. —
„Powiedz mi dziewczyno,

„Czyje są te złote jaskry? A te maki czyje?“
— Dziewki nie chcą się przyznawać, a serce im bije.

Która śmielsza, ściąga rękę, uśmiechemułudza.
„Moje kwiaty. Proszę oddać. Wszak to własność cudza?“

Ale chłopcy: „Nie oddamy. Dziewanna łaskawa,
„Sama nie chce waszych wianków, gdy nam je oddawa.“

Kogóż w końcu nie nakłonią tak mądre wywody?
Spieszcie goście i grajkowie na weselne gody!

Tak żałobne święto *Wianków*, co było poczętem
Na przekorę mnie, Miłości, stało się mém świętem.

Tu się Miłość zadumała. A ja w prośby do niéj.

GŁOS LUTNISTKI.

Ty, co węzły podań, w lekkiéj rozplątujesz dłoni,
Rozplącz-że je do ostatka. Powiedz mi, jak daléj
Mogli życie wieść bez Wandy, ci co ją kochali?
Cóż Stanisław?

GŁOS MIŁOŚCI.

Milczał, codzień bledziej i boleśniéj,
Aż z téj rany, strzała wyszła pod kształtami pieśni.
Od gęślarza wędrownego wziął narzędzie łzawe,
I obchodził kraje Wandy, śpiewając jéj sławę.
On ją pierwszy osnuł rąbkiem z owych łun i kwiecia,
Przez które potomność patrzy na zgasłe stulecia.

GŁOS LUTNISTKI.

A Wyrwidąb?

GŁOS MIŁOŚCI.

Inną drogą ten szukał pociechy;
Szukał, ludziom dobrze czyniąc. — Od strzechy do strzechy

Szedł i bronił uciśnionych. — Od lasu do lasu
Szedł, dzikiego tępiąc zwierza. — Od czasu do czasu
Przy mogile Wandy stawał, podparty maczugą.

— Tak wędrując z Waligórą, żyli bardzo długo.
Może nawet jeszcze żyją? Bo choć was to zdziwi,
Jak słyszałam, w kraju baśni, chodzą dotąd żywi.

GŁOS LUTNISTKI.

Ależ Własta?

GŁOS MIŁOŚCI.

Z Wandy skonem owładł ją gniew smoczy.
Samym wspomnień swych widokiem Kraków kłuł ją w oczy,
Palił w stopy rolny spokój lechickiego gruntu.
W swéj ojczyźnie się zjawiła jak kometa buntu.

Otoczyły ją ciekawie czeskie białogłowy,
Gdy jéj głos tłumaczył zakon Dziewanny surowéj:

„Wiecie-ż siostry, czém jest miłość? Wieczną łudzicielką!
„O, nie wierzcie męzkim sercom! Z piersi miękkość wszelką
„Precz wyrwijcie, a boginiom dorównacie chwałą.“

Aż na Włastę, tysiąc mężów z mieczem się porwało.
Nawołała pod chorągiew chmurę niewiast zbrojną,
I poległa na puklerzu, sławna *Dziewczą wojną*.

Nie był takim los Płomniewy. Rozmaryn wesela,
Wszystkie troski zwiał z jéj czoła, gdy w świątyni Lela,
Zamieniała ze Zbigniewem pierścienne ogniwa.
Po weselu znikli w puszczy. Byłaż-tam szczęśliwa?
Pewnie, bo już nie słyszano więcéj o Płomniewie,
A najtrwalsze takie szczęście, o którém nikt niewie.

Szczęście jednak wszędzie trafia, nawet w dom xiążęcy.
Tak Bożenna je spotkała u tronu Karency.

W dzień zaślubin wzięła pancerz pod szaty godowe.
„Kładę,“ rzekła: „i przysięgam na mężowską głowę,
„Że nie zdejmę, aż koronę mu napowrót włożę.“
— Hufiec wiernych towarzyszek poszedł z nią za morze.

W dobrą chwilę przypłynęły do Rugijskiéj ziemi.
Wieść o klęsce Rytygiera gromem szła przed niemi.
Duch wstępuje w pokolenia Wendyjskiego rodu.
Krótka walka. Już Świętosław pod wałami grodu.

Słysząc głos dawnego pana, widząc piękność pani,
Karzencanie wyzwoleni i rozradowani,
Z bram wychodzą, kwiaty sypią. —
Wtedy mężna żona,
Grozę z czoła rozpędziła, stal odpięła z łona,
I w swym dworcu malowanym przędąc len niewieści,
Żyła długo, jak zaklęta xiężniczka z powieści.

GŁOS LUTNISTKI.

Cóż to? Chcesz-że, o Miłości, skończyć temi słowy?
Mówisz o rycerkach wszystkich córy Krakusowéj,
Prócz o téj, co się z nią dzieląc tak łzą jak i chwałą,
Ukochała ją najlepiéj. Mów-że co się stało,
Z ową, pełną wiary w przyszłość, Tomiłą niezłomną?
Zasłynęła-ż się jakim czynem który ludzie pomną?

GŁOS MIŁOŚCI.

Owa, pełna wiary w przyszłość, niezłomna Tomiła,
Obumarła, — jakby z Wandą duszę utopiła.
— Całe dnie przy kopcu siedząc, plotła białe kwiaty,
Aż jednego dnia chmurnego, odeszła w Karpaty.

I znów siedem Xień wieszczyło dzień co czyny zbudzi,
Ale żadna już nie śmiała czynem zejść do ludzi.
Losy Wandy je ostrzegły, że kto mnie się zrzeka,
I chce, wieczne prawdy głosząc, wzbić się nad człowieka,
Ten żyć musi nad burzami, na lodowym szczycie.
Pozostawię mu w spokoju martwe jego życie,

Dość mi wiedziéć, że go nigdy nic nie uszczęśliwi.

Lecz kto zejdzie na dolinę, musi żyć jak żywi,
Lub go dotknie moja zemsta, straszna jak niczyja.
Tych co mną, Miłością gardzą, tych Miłość zabija.

. . . .

Jednak jeszcze i ta zemsta miłością się pali.
Po-za grobem dam im szczęście co tu odpychali.
Ach, i Wanda jakże w śmierci mnie błogosławiła!

Gdy wśród ludzi rosła żałość i rosła mogiła,
Duch jéj bujał na promieniach nad Wiślaną wodą,
Dziwił się swéj powietrzności, oddychał swobodą.
Wszystkie bóle człowieczeństwa, jak upleć łańcucha,
Ze zwłokami z niéj opadły. Pierwsze szczęście ducha.

Przed nią, siedział na Wawelu „tamten“, Duch narodu.
Już nie groźny jak sumienie, już nie w kolcach z lodu,
Lecz jak świt, zarysowany łagodnemi blaski,
Ach, i bosko uśmiechnięty pełném słońcem łaski.
W tym uśmiechu, stu pokoleń rzucił jéj podziękę,
Wstał, i porwał ją za sobą. Poszli ręka w rękę.
On prowadził i coś szeptał. A musiały słowa
Być jéj miłe, bo gdy mówił, radość rubinowa
Przestrzelała, wskróś przejrzyste, blade jéj oblicze.

GŁOS LUTNISTKI.

Cóż on mówił?

GŁOS MIŁOŚCI.

Rzeczy dziwne, rzeczy tajemnicze,
Co na zawsze są zakryte dla myśli człowieczéj.

GŁOS LUTNISTKI.

Nie na zawsze! Ty mi powiesz te zakryte rzeczy.
Wszak lutnistom niebo więcéj niż innym odsłania?
To-ż najdroższy ich przywiléj, to znak ich wybrania?

GŁOS MIŁOŚCI.

Kiedyś... może je usłyszysz, gdy ci będzie dano
Śpiewać lat późniejszych dzieje. Dziś, jeszcze za rano.

GŁOS LUTNISTKI.

A więc, kiedyś ci przypomnę. W tym kopcu mam świadka.
Dzisiaj, powiedz mi przynajmniéj, bo i to zagadka,
Gdzie on Wandę zaprowadził?

GŁOS MIŁOŚCI.

Jeszcze-żeś nie zgadła?
A gdzież jeśli nie pod Wawel?
— Jak złote widziadła
Zabłysnęli w Jamie smoczéj. Przez upleć podziemi,
Szli w ciemnice, które dla nich nie były ciemnemi.
Światłe duchy, drogę sobie rozświecają same.

W żywéj skale, Duch Lechowy tknął zaklętą bramę.
Roztworzyła się. Stanęli w bursztynowéj sali,
Gdzie na słupach z jasnych włóczni wisi dach z korali.
Tam i słońca nie potrzeba, dzień świeci wieczyście.
Ze sklepienia, kraśnym deszczem lecą kwiatów kiście.
A poniżéj, stół wygięty w olbrzymią podkowę,
Zdobny w misy i puhary drżąco-brylantowe,
Lśni jak strumień gdy odbija trzęsidło miesiąca.

Weszła Wanda, i po sali patrzy szukająca.

W głębi stołu biesiadnego, siedziały postacie
Zmienno-senne jak obłoki na gór majestacie.
Najdawniejsi władcy Lechji, w milczenie zaklęci,
Już i wtedy majaczący zmierzchem niepamięci,
Dziś i z imion wam nieznani, wiekami zamgleni,
To łyskali, to znikali, nakształt srebrnych cieni.

Lecz Duch Wandy nic niewidział, nic tylko dwa trony,
Gdzie świecisty Krakus siedział obok białéj żony.

Ci już byli malowniejsi, chociaż jeszcze w chmurce, —
Ale jacyś zamyśleni, ach! może o córce?

Jakby orły się zerwali na widok dziecięcia.
Wanda stopy ich objęła, wrosła w ich objęcia.
To jéj drugie było szczęście, tak mocne w zachwycie,
Że ta chwila spłacić może całe ziemskie życie.

I najstarszy brat się zerwał, ujął ją w ramiona,
Tak pogodny jak i dawniéj, chociaż miał u łona
Krwawy znaczek, widny jeszcze i w nieśmiertelności.
— Siedział pierwszy po Krakusie, a ostatni z gości.
Dalsze trony, dotąd puste, kowane ze stali
Lub ze złota, rzędem nikły w głębokościach sali.

Jeden dziwnie był odmienny z barwy i budowy,
Znać że miejsce nie dla króla ale dla królowéj:
Pień z perłowéj bladéj konchy rozbryzgany w tęcze,
Za oparcie pierś łabędzia, lilje za poręcze.

Wanda miejsce to zajęła z dziejowéj kolei;
Uśmiechnięta, lecz w uśmiechu miała tęskność Frei...

Krótka tęskność! Gmach zahuczał... Kto w nim drzwi roztwiera?
Obejrzała się: na progu stał Duch Rytygiera.

GŁOS LUTNISTKI.

On? W pałacu pod-Wawelskim? Przecież wieść ogłasza,
Że w tym gmachu leży wielka tajemnica nasza?
Tylko lackim władcom wolno oglądać jéj dziwy,
I to aż po śmierci. — Wprawdzie, Krakus wszedł tam żywy,
Ale-ż wtedy on pochodnię miał zaczarowaną.
— Zkąd obcemu, Teutonowi, drogę pokazano?

GŁOS MIŁOŚCI.

O! Nie jedna jest pochodnia. Ten trafił najprościéj,
Bo go wiodłam — ja! — Kto w życiu pochodnię miłości

Zdołał przenieść niezgaszoną pod wichrami losów,
Ten z nią trafi i po śmierci do swoich niebiosów.

Tu już Miłość rozwinęła pióra do odlotu.
Z ruchu piór, aromat powiał jakby z róż uplotu.

GŁOS LUTNISTKI.

Ach Miłości, nie odlatuj. Czemuż lubisz zawsze,
Zrywać powieść albo życie tam gdzie najciekawsze?
Mów: Rytygier czy pozostał w Wawelowém niebie?
Czy nie próżną jest ofiarą zabić się dla ciebie?

GŁOS MIŁOŚCI.

Próżną? Wiedz, że z waszych ofiar nic nie ginie u mnie.
— Wszedł Rytygier, — po zebranych obejrzał się dumnie,
Ci na gościa nieznanego patrzyli zmieszani.

GŁOS LUTNISTKI.

Ach, a Wanda?

GŁOS MIŁOŚCI.

Nieświadoma że śmierć poniósł dla niéj,
Wanda trwożnie go witała, jeszcze jak na ziemi.
Tém trwożliwiéj, że Duch Lecha stanął między niemi.
Trzymał xięgę przeznaczenia, rozwarł ją, — i z xięgi
Uroczystym ruchem wydarł kartę jéj przysięgi.
„Teraz wolno ci już kochać.“ Odezwał się do niéj.
Wziął prawicę Rytygiera, w swéj promiennéj dłoni
Z ręką Wandy ją połączył, i rzekł: „Bohaterze!
„Ty w niéj Lechją pokochałeś, ty naszą wieczerzę
„I po śmierci przełożyłeś nad ucztę Walhalli.
„Nikt nie powié że ja, ojciec ludu co się chwali
„Z gościnności, pod mym dachem gościa źle przyjąłem.
„Pójdź, przy Pani twoich myśli miejsce weź za stołem,
„Jako dank zdobyty krwawo z życiowych turniejów.“

Więc Rytygier siadł przy Wandzie do biesiady dziejów.
Wiek po wieku dniem się zdaje rozkochanéj parze.
Kwieciem wonny miód młodości piją w jednéj czarze,
Wspólną myślą jak weselnym łamią się kołaczem,
I przez oczy które nigdy już nie zajdą płaczem,
Zamieniają duszę z duszą jak pierścień zamęźcia.
— To jest trzecie szczęście Wandy. Dość na wieczność szczęścia.

Temi słowy Miłość ze mną skończyła rozmowę.
Odleciała... jeszcze widzę skrzydła jéj różowe...

Wanda leży w naszéj ziemi, — szumi Wisła siwa.
Z wody wianek się wynurza, — z serca pieśń wypływa.

KONIEC.

Pisałam w Rossji w latach 1864 i 65-ym.

Skończyłam w Warszawie w roku 1884-ym.

Przypisy.

PROLOG.

Str. 14.

Białe Xienie i Czarne Xienie.

Jeżeli postać saméj Wandy rysuje się u naszych kronikarzy dobitnie a nawet jaskrawo, za to tło jéj dziejów, koloryt jéj epoki, występują bardzo niewyraźnie, i byłyby prawie niemożebnemi do schwycenia, gdyby jednocześnie u Czechów nie pokazywała się Libussa. Z zestawienia tych dwóch postaci tryska niejedno niespodziane światło. A można śmiało czerpać ze skarbnicy sąsiedzkiéj, bez obawy zfałszowania barwy, bo w czasach przedchrześcjańskich, Czechy i Lechja, (zwłaszcza jéj część leżąca około źródeł Wisły,) były sobie nierównie bliższe językiem i obyczajami niż w późniejszych wiekach; kto wié nawet czy nieraz nie bywały związane chwilową wspólnością rządów? Podania obu ludów twierdzą jakoby mityczny Krakus miał panować razem i Czechom i Chrobackim Lechitom.

Wanda i Libussa mogły obie być córkami owego Krakusa, mogły po jego śmierci podzielić się państwem ojcowskiém. A może téż one są jedną i tąż samą postacią, rozmaicie ukształtowaną przez odmienną wyobraźnię dwóch narodów? Jednak ostatnie to przypuszczenie mniéj przemawia do przekonania, dla rażącéj sprzeczności jaka zachodzi w opowieściach o losie dwóch monarchiń, a która zawiera już nie tylko różnicę przygód, ale wręcz postawioną odwrotność idei; bo gdy jedna z nich na pierwsze skinienie narodu wybiera sobie małżonka, druga woli śmierć ponieść niż wejść w śluby małżeńskie.

W każdym razie, obie pojawiają się w téj saméj chwili dziejowéj, obie zdają się zaznaczeniem jakiejś krótkotrwałéj ale świetnéj przewagi żywiołu niewieściego pomiędzy Słowianami,

w każdym razie są sobie pokrewne, i mogą się wzajemnie dopełniać rysami niejako rodzinnemi.

Obok Libussy, w legendach czeskich stoją dwie jéj siostry. „Krok zostawił (r. 690) trzy córy, Kazi, Tetkę i Libussę, czy Lubuszę. Z tych pierwsza w znajomości roślin i przyrody bardzo doświadczona, i w lekarstwie (medycynie) nad inne będąc biegła, wszelkie słabości i choroby ludzkie leczyć umiała, dla tego téż od potomnych za czarodziejnicę ogłoszoną była. Druga słynęła ze znajomości rzeczy boskich, i miała pieczę nad zachowaniem nabożeństwa pogańskiego, wraz z siostrą swoją miana była późniéj za wieszczkę i prorokinią. Trzecia, najmłodsza, udarowana będąc nadzwyczajnym rozumem, wspaniałością myśli i wszelkiemi cnotami duszy, przyjęta była przez naród za władczynię."

***Słowiańskie Starożytności* P. J. Szafarzyka, przekład N. Bońkowskiego, Tom II. str. 518, Poznań 1844.**

Obok Wandy nie postawiłam żadnéj rodzonéj siostry, gdyż polskie podania wcale o nich nie wiedzą, i sądzę nawet, że naszéj Wandzie piękniéj z tą niepodzielnością chwały, — ale dla utrzymania nadprzyrodzonego nastroju, na tle krajobrazu co się za nią roztacza, postawiłam *Białe* i *Czarne Xienie*. Postacie te są prawdopodobne; zawsze u nas pomiędzy ludem były guślarki, wróżki, znachorki, umiejące zamawiać i czarować, znające własnośei roślin i tajemnych znaków. Zdaje się nawet że nazwa *Wiedzmy*, czyli „mającéj wiedzę," oznaczała dawniéj w sposób zaszczytny takie lekarki i wieszczbiarki. Za czasów pogaństwa musiały one być nierównie liczniejsze i jawniéj działające niż późniéj. Pod okiem chrześciaństwa patrzącego z niedowierzaniem na rozrost owych sił podejrzanych co mogły wypływać tak z dobrego jak i ze złego źródła, i które zwykłym biegiem rzeczy ludzkich, częściéj służyły na złe niż na dobre, — wróżki owe nie przestały istnieć ani działać, ale już działały pokryjomu, z coraz wyraźniejszym odcieniem buntu i szkodliwych dążności, przedzierzgnęły się w czarownice harcujące po Łysych górach; sama już nawet nazwa „czarownicy", „wiedźmy", została otoczona postrachem i pogardą; pamięć złych wróżek przetrwała sama jedna w wyobraźni narodu, a pamięć dobrych zniknęła

z niéj zupełnie, czego najlepszym jest dowodem, że kiedy wyraz *czarnoxiężnica* przechował się aż do dni naszych, wyraz *białoxiężnica* zaginął bez śladu; a jednak musiał on istnieć niezawodnie, bo w mitologji Słowian wszystko dzieliło się na *Czarne* i *Białe*, bogi, duchy, własności i rzeczy, wszystko miało zawsze swoją siłę odwrotną, wiele nawet sił lub istot mogło być naprzemian Białemi lub Czarnemi.

Nazwa *Xieni* sama wypływa z *xiężnicy* czyli *xiężny*, bo jak równoznacznemi były niegdyś nazwy „xiędza“ i „xięcia“, tak z nazwą „xiężny“ lub „xiężnicy“ zchodziła się „xieni.“ Tylko, xiąże i xiężna oznaczały władzę czysto ludzką, podczas gdy do xiędza i xieni przywiązywano jeszcze znaczenie władzy wyższéj, duchowéj, — co z wiekami, po lepszém wycieniowaniu języka, wyraźnie się zarysowało i na dwa osobne pojęcia rozpadło.

Str. 15. wiersz 17. Scena II.

WANDA. *To też miejsce to lubię jak rodzinne progi,*
Zwę je moim „Krakowem.“

Jest przy dolinie Kościeliskiéj ustronie głęboko ukryte poza szczeliną skalną, które lud miejscowy nazywa „Krakowem“ (albo „do Krakowa“), i które przedstawia niejakie podobieństwo do placu fantastycznie obudowanego.

Str. 25. w. 6. Scena IV.

WANDA. *Słuchajcie: ślubowałam przed chwilą Dziewannie.*

O tym ślubie Wandy wspominają nasi kronikarze. Długosz pierwszy, opisując poselstwo od Rytygiera, powiada:

„Posłał swatów, mających się dopraszać uroczyście Wandy w małżeństwo, pod zagrożeniem wojny. A że od Wandy, która w panieństwie pozostać ślubowała... powrócili bez niczego, Rytogar... wkracza do Polski...“

Dzieje Polskie **Jana Długosza, przekład Gustawa Bornemana, Zeszyt III str. 143, w Lesznie 1840 r.**

AKT I.

Str. 32. Scena I.

Plac wiecowy — pod dębem siedzi Wanda — po obu stronach Dziewice Rycerki.

i daléj str. 56. Scena VI.

Przy Wandzie idą, Tomiła trzymająca tablice prawa i Własta trzymająca miecz sprawiedliwości.

Do zewnętrznego uobrazowania tych scen, posłużyła mi starożytna *Pieśń o Libussie,* na któréj dworze kobiety piastowały najwyższe godności.

Jéj siostrzyca w Lubuszynem dworcu,
Sprasza xiężnę wnętrza Wyszegradu,
Na przedprożu aby sąd zagaić.
. . . .
Gdy się zeszli lesi, władykowie,
W Wyszegradzie gnieździe Lubuszynem,
Wedle swego postawali rodu.
Wystąpiła cała w bieli xiężna.
. . . .
Dwie przeumne wystąpiły dziewy,
Wyuczone w wieszczbach witęziowych.
Jedna deski dzierży prawodatne,
A u drugiéj miecz krzywdę karzący.
Przed obiema promień zwiastun prawdy,
Pod obiema święto-cudna woda.
. . . .
Więc zbierały dziewice sędziebne
Głosowania do świętego sądu.

Królodworski Rękopis, Sąd Lubuszy, **str. 73 i następne, przekład Lucjana Siemieńskiego. — Edycja Hanki w Pradze — 1852.**

Str. 33. w. 5. Scena I.

WANDA. *Cóżeście dotąd z myśli moich znały?*
Maskę ich tylko.

Przytoczenie tu masek nie jest anachronizmem, były one bowiem znane u Słowian jeszcze za czasów pogańskich.

„Kozmas opisuje.. jak wieśniacy czescy... składali Bogom ofiary przy źródłach i lasach, gdzie były ich smętarze. Pogrzebłszy zmarłego, szli na rozstajne drogi, i tam osobliwsze wyprawiali igrzyska, poubierani w maski, tu i owdzie biegali, smętne pieśni nucąc, w przekonaniu, iż to nieboszczykowi pokój przynosi.“

Historya literatury polskiéj, **Michała Wiszniewskiego, Tom I. str. 403.**

Str. 56. w. 6. Scena VI.

ZBIGNIEW. *Czy oni są z téj wyspy, gdzie my do Arkony,*
Do boga Światowida co rok posyłamy
Dziesięcinę wojenną?

„W tak wielkiém zaś ten Swantowid nie tylko u nich (u Rugjan) ale u wszystkich Słowianów był poszanowaniu, że za czasów jeszcze Helmolda... wszystkie prawie Słowiańskie prowincye roczną tam daninę przywoziły, uznając go za boga wszystkich bogów.“

Historya Narodu Polskiego **przez Adama Naruszewicza. Tom I Część II, str. 460.**

Str. 59. w. 20. Scena VII.

POSEŁ. *Tam w pośród skarbów, siedzi w czarnéj zbroi,*
Rytygier, pan wyspy białéj.

Nazwa wyspy *białéj* nie jest tu figurą poetyczną, ale szczerą prawdą. Wyspa Rügen czyli Rugja składa się z ogromnych skał kredowych, wysoko nad wodę wystających; widziane od strony morza, przedstawiają one istotnie ściany olśniewającéj białości. Gdy jednak podróżnik wyląduje i puści się w głąb' wyspy, traci z oczu tę białość, bo skały są po wierzchu przysypane warstwą ziemi urodzajnéj na któréj się krzewi najbujniejsza roślinność.

Str. 60. w. 18. Scena VII.

WANDA. *Rytygierowi te słowa odnieście:*
Wolę być xięciem niżeli za xięciem.

„Rytygier albowiem... zacne czasów onych y potężne ...u Niemców Xiąże, przez posły w małżeński stan domagał się jéj. Lecz ona wysokiego a prawie mężkiego umysłu dziewka, wymowna ktemu y mądra, za mąż iść wzbrania się: mówiąc, że „*Lepiéj być Książęciem, a niżeli za Książęciem.*“

Kronika Marcina Kromera, przekład Marcina Błażowskiego, w Warszawie u XX. S. I. 1767 r. str. 37.

AKT II.

Str. 67. Scena I.

Zamek xiążęcy w Rudgardzie na wyspie Rugji.

Przed rozpoczęciem tego dramatu, przez długi czas namyślałam się i nie mogłam ostatecznie rozstrzygnąć pytania, z któréj części Niemiec mam wyprowadzić Rytygiera? Zdania kronikarzy są w tym względzie podzielone, i żadne z nich nie przedstawia prawdopodobnéj wskazówki.

Wahania moje zostały nagle przecięte przez najniespodziewańsze odkrycie jakie mi się nasunęło podczas mego pobytu na Rugji w roku 1857.

Wybierając się na tę wędrówkę, któréj głównym dla mnie celem było poznanie Arkony, owego serca pogańskiéj Słowiańszczyzny, bynajmniém nie myślałam o Niemieckim xiążęciu z czasów Wandy. Tymczasem, przy zwiedzaniu ciekawości Rugijskich, przyszła koléj i na miasteczko Bergen, które leży w samym środku wyspy i jest jéj stolicą. Sama mieścina pełna domków nowych, wesołych, niczém nie mówi o przeszłości. Ale tuż pod miastem leży wzgórze skaliste, przedstawiające ślady jakichś odwiecznych oszańcowań, a tak mocno wyniesione, że podróżny z jego szczytu widzi jakby na dłoni całą wyspę, o brzegach fantastycznie powycinanych w mnóstwo przylądków i zatok. Wzgórze to nosi nazwę *Rudgardu*. Przewodnik Niemiec, który nas tam zaprowadził, opowiadał, że to niegdyś był gród waro-

wny ,gdzie przemieszkiwali Niemieccy władcy wyspy. Rugja bowiem zawsze była osiedlona jednocześnie przez Niemców i Słowian (czyli Wendów), którzy wzajem się ciągle wypierali, i nieustanne boje toczyli o ten zakątek ziemi mały ale dziwnie im ukochany, gdyż oba szczepy miały tam główne ogniska swojéj czci religijnéj, Słowianie w Arkonie, Teutonowie nad Jeziorem Herty.

Trzeba przyznać, że xiążęta Niemieccy obrali sobie wyborne stanowisko, osiadając na tém wzgórzu, które sterczy na samym środku wyspy jak szpicowata wypukłość na tarczy, i zkąd jakby z przyrodzonéj czatowni mogli widziéć nietylko wszystko co się działo na Rugji, ale i szeroką przestrzeń morza do koła.

Nie znajdując w drukowanym *Przewodniku* żadnéj obszerniejszéj legendy o Rudgardzie, zapytaliśmy naszego żywego przewodnika, czy nie wié jacy to byli owi xiążęta co tam panowali, i dla czego to miejsce nazywa się Rudgardem?

„Rzecz prosta,“ odpowiedział — „gród ten zowie się *Rudgardem* czyli *Rudgarowym grodem*, gdyż został założony przez xięcia Rüdgera, który żył dawno, bardzo dawno temu, (jeszcze kiedy ludzie nie byli chrześcjanami,) i o którym jest następująca „Saga“: Xiąże ten rozmiłował się w pięknéj xiężnie Wendzie, (tak ją nazywano bo panowała nad Wendami,) i chciał ją poślubić. Ale xiężna Wenda była dumnego serca, nie chciała oddać ręki, przyszło między niemi do wojny. Xiąże Rüdger pokonany zabił się z rozpaczy, a xiężna Wenda oddając się w ofierze swoim bogom, z nadbrzeżnéj skały skoczyła do morza.“

Nie spodziewał się pewnie przewodnik obojętnie mówiący i przywykły do obojętności z jaką go zazwyczaj słuchano, że tą razą sprawi tak wielkie wrażenie. Usłyszawszy go, aż krzyknęłam z podziwu i radości: a toż były słowo w słowo dzieje Rytygiera i Wandy! I oto odnajdywałam je na drugim krańcu Słowiańszczyzny, w niczém nie zmienione, chyba w tym jednym rysie, że na Rugji „piękna Wenda“ nie mogła już topić się w Wiśle, ale rzucała się do morza.

W tejże chwili przyszło mi na myśl czy Rytygier rzeczywiście nie pochodził z Rugji? W każdym razie, do dramatu można było wprowadzić podobne przypuszczenie. Zapewne, „saga“

nie jest dowodem historycznym, ale dla poety i to jeszcze w tak odległych czasach, wystarcza zupełnie.

Myśl ta uśmiechnęła mi się tém więcéj, że wyprowadzając Rytygiera z Rugji, mogłam nadać mu poetyczny i awanturniczy charakter Normandzkich „Królów morza.“ Rugjanie, sąsiadujący z Normandami, mający jak oni ciągłą styczność z wodnym żywiołem, przejęli po wielkiéj części ich bohatersko-korsarskie obyczaje; to téż uchodzili za ludzi najbitniejszych na południowém wybrzeżu morza Baltyckiego.

Raz przyobleczony w tę postać, Rytygier mógł przedsiębrać najdalsze podróże, snować najśmielsze zamiary. Mógł opowiadać, że w pierwszéj młodości:

(str. 71) *Biesiadował u Greckich cesarzy,*
....i nad modremi wody
Południa, sypiał pod czarnym cyprysem.

Czemu nie? Podobni mu „Królowie morzą,“ mali xiążątka północni, puszczali się na swoich łodziach o dziwokształtnych rudlach, daléj i zuchwaléj niż ktokolwiek inny w owych czasach, zabierali część Francyi, zdobywali Anglję, zakładali królestwa aż w Sycylji.

Zwykłą drogą tych najezdników bywały koryta rzek, po których, płynąc pod wodę, wkrawali się daleko w głąb' lądu. Tak Sekwana przyprowadziła ich niejednokrotnie do Paryża. Wisła, nierównie im bliższa, musiała nieraz służyć za taki gościniec najazdu. Mógł więc i Rytygier z jéj biegiem puścić się w głąb' Polski i dotrzéć aż do Chrobacji.

Że zresztą nazwa „Krakowa“ była dobrze znaną Rugjanom, na to mamy dowód w nazwie starożytnéj wioski, która na téj wyspie leży właśnie pod samém Bergen, niedaleko Rudgardu, i do dziś dnia nazywa się *Krakowem.*

Str. 67. w. 6. Scena I.

ŚWIĘTOSŁAW. *Kiedy wyszedłem, aby spojrzéć w stronę*
Mojéj Karency . . . . . .

Karenca, na Rugji, zamieszkała przez Wendów, niegdyś miała swoich własnych słowiańskich xiążąt Ogromne jéj wały

dotąd można widziéć na drodze prowadzącéj z Bergen do Putbusu.

Str. 67. w. 10. Scena I.

ŚWIĘTOSŁAW. *Okręt świecący jak od pełnéj zbroi,*
Z całych sił pędził w zatokę Podborza.

Podborze, Putbus, nad śliczną zatoką w południowéj części Rugji, dziś główne miejsce pobytu xiążąt Rugijskich, którzy nawet od téj miejscowości przybrali nazwę „Putbuskich.“ Są tam pałace, cieplarnie, i bardzo ładnie urządzone kąpiele morskie. Nazwa wygląda na Słowiańską, późniéj zniemczoną, zapewnie było to Podborze, miejsce *pod borem*, a boru niegdyś nie musiało brakować na wyspie, która dotąd posiada lasy rzadkiéj piękności.

Ze środka wyspy, z wysokości Rudgardu, można doskonale widziéć Putbus, i dostrzedz każdy statek zawijający do zatoki.

Str. 71. w. 5. Scena I.

RYTYGIER. *Na wyspie mglistéj, Merlin srebrno-brody,*
Miecz mi czarował . . . . . .

Legenda przedłuża fantastyczny żywot Merlina od V-go aż do połowy VIII-go wieku, bo wspomina go jeszcze za czasów Pepina ojca Karolą Wielkiego. Mógł więc nasz równie legendowy Rytygier, spotkać jeszcze sędziwego czarodzieja w ciągu swoich zamorskich wypraw.

Str. 74. w. 9. Scena I.

RYTYGIER. *W tém się jeziorku córy czarów myją.*

Gdy w roku 1858-m zwiedzałam w Sandomierskiém górę Święto-Krzyzką, i wszedłszy na wieżę kościelną, z najwyższego jéj ganku rozpatrywałam krajobraz, jeden z towarzyszów naszéj wycieczki pokazał mi niedaleko, pod górą, światełko połyskujące okrągławo, i powiedział iż to jest jeziorko, w którém wedle powieści miejscowego ludu, czarownice przybywające niegdyś na Łysą górę, kąpały się i obmywały przed uroczystością swojego „Sabbatu,“ a woda owego jeziorka miała im na tę jedną noc nadawać nadludzkie wdzięki.

Dziś, z ustaniem czarnoxięzkich Sabbatów, i woda straciła swoją magiczną własność.

Str. 76. w. 11. Scena I.

GODFRYD. *U nas kto dosiągł sławy bohatera,*
Miewa napady wojennego szału;
Nosi naówczas nazwę ***Berserkiera.***

„Berserker (z wyrazów *ber* nagi i *serker* pancerz), tak w mitologii skandynawskiéj nazywał się wnuk ośmioramiennego Starkadera i pięknéj Alfhildy, dzielny wojownik, który gardził pancerzem i do boju zawsze szedł nagi, bo wściekłość bitwy zastępowała mu zbroję.“ Miał „dwunastu synów, równie jak on dzikich i śmiałych, którzy odziedziczyli po nim imie Berserkerów i wściekłość bojową.“

Encyklopedya powszechna wyd. Orgelbranda, Tom III, str. 289.

Odtąd ta „wściekłość bojowa“ pojawiała się nieraz u Skandynawskich bohaterów, i wiele jéj opisów spotykamy w Sagach. Berserker napadnięty takim szałem, chwytał co mu się pod rękę nawinęło, wszystko niszczył, darł i pustoszył. Całe tłumy nie mogły go zmódz wtedy, a choć wielką część tych dziwów trzeba położyć na karb poetycznéj przesady, zdaje się jednak, że ów stan wyjątkowy, istotnie podnosił w człowieku siły do nadzwykłych rozmiarów. Obłęd taki, chociaż straszny, przecież jako dający *niepokonalność*, był uważanym za wielki dar bogów.

Str. 84. Scena IV.

Las Herty. — Czarne jezioro. — Buk święty. — Kamień ofiarny. — Święto Herty.

Sławna ta miejscowość, i nie mniéj sławny obrządek jaki się tam odprawiał, zostały opisane jeszcze przez Tacyta, w jego dziełku o Germanji.

Wymieniwszy najpółnocniejsze narody Germańskie, dziejopis powiada:

„Nec quidquam notabile in singulis, nisi quod in commune Hertham, id est, Terram matrem colunt, eamque intervenire rebus hominum, invehi populis arbitrantur. Est in insula Oceani

castum nemus, dicatumque in eo vehiculum veste contectum: attingere uni sacerdoti concessum. Is adesse penetrali deam intilligit, vectamque bubus feminis multa cum veneratione prosequitur. Laeti tunc dies, festa loca, quaecunque adventu hospitioque dignatur. Non bella ineunt, non arma sumunt, clausum omne ferrum: pax et quies tunc tantum nota, tunc tamtum amata, donec idem sacerdos satiatam conversatione mortalium deam templo reddat: mox vehiculum et vestes, et, si credere velis, numen ipsum secreto lacu ablaitur. Servi ministrant, quos statim idem lacus haurit. Arcanus hinc terror, sanctaque ignorantia, quid sit illud quod tantum perituri vident."

De Moribus Germanorum Libellus — Tacit — XL.

„Ludy te nie odznaczają się niczém szczególném, chyba tém jedném, że wszystkie czczą boginię Hertę, czyli Matkę-Ziemię. Wierzą, iż bogini ta miesza się w sprawy ludzkie, i osobiście nawiedza narody. Na wyspie wśród Oceanu jest święty las; w lesie jest wóz poświęcony bogini, przykryty zasłoną której nikt nie może się dotykać prócz jednego kapłana. Ten wié chwilę w jakiéj bogini zstępuje do przybytku. Wnet, ciągniony przez jałowice, pojawia się wóz święty, a za nim kapłan idzie ze czcią głęboką. Jest-to czas radości; po wszystkich miejscach które bogini zaszczyca swoją obecnością, nastaje świętowanie. Nikt nie idzie na wojnę, nikt ani tknie oręża, wszystkie włócznie leżą pochowane. Jedyna to chwila w któréj te narody znają wczas i pokój, jedyna kiedy je miłują. Nakoniec, gdy bogini nasyci się już towarzystwem śmiertelnych, tenże sam kapłan odprowadza ją do świętéj warowni; natenczas w ustronném jeziorze następuje obmywanie wozu i zasłony, a nawet, jeśli chcecie wierzyć, i bogini saméj. Niewolnicy użyci do tego obrządku, zostają w końcu potopieni w jeziorze, co utrzymuje nabożny postrach i świętą nieznajomość tajemnicy, któréj nie można przeniknąć bez narażenia się na śmierć nieochybną."

Obyczaje Germanów, Tacyta — XL.

Miejscowość opisaną przed lat dwutysiącem, podróżnik dziś jeszcze odnajduje nietkniętą na Rugji. O parę godzin drogi od Arkony, ciemnieje *Las Herty*, gęsty, wspaniały, złożony

z drzew liściastych, po większéj części z klonów i z buków. W głębi lasu roztwiera się łączka, a za nią leży jezioro zwane *Czarném*, bo tak stromo jest otoczone lesistemi wzgórkami, że od ich wiecznego cieniu woda zawsze mroczną się wydaje. W tém to jeziorze tajemniczém kąpywała się bogini, w jego to czarnych nurtach przepadały tylokrotnie święte wozy i zwłoki niewolników powołanych do strasznego zaszczytu przeprowadzania Matki-Ziemi.

Na pagórku z lewéj strony, widać jeszcze wały, pozostałe z warownéj świątyni, a na pochyłości, można dotąd rozeznać wklęsłą, wyjeżdżoną drogę, po któréj rydwan spuszczał się ku jezioru.

Po prawéj stronie, na łączce, stoi buk bardzo stary, ogromny, rzadkiéj piękności kształtów. Pod nim leży kamień ofiarny, prosty głaz omszały i nieco pochyły.

Przewodnik, który i tu znalazł się na zawołanie, opowiadał nam słowo w słowo to wszystko co w rzymskim opisie czytamy, w końcu dodał jeszcze kilka miejscowych szczegółów, jak naprzykład, że kapłan Herty stawał pod tym bukiem ile razy miał zgromadzonym wojownikom objawić wolę bogini, i że na tym kamieniu zabijano dla niéj w ofierze jeńców zabranych na wojnie. Pokazywał nam nawet rodzaj rynienki wyżłobionéj w tym dzikim ołtarzu, a przez którą krew ofiar ściekała do ziemi.

Patrząc na to wyżłobienie, pomyślałam sobie: „Ileż to krwi słowiańskiéj popłynęło tędy!“ I dosłownie płynęła ona „tędy,“ bo jeżeli tożsamość świętego buku podlega wątpliwości, (musi to już być drugi lub trzeci na miejscu tém z kolei wyrosły,) to ów kamień ogromny, bardzo trudny do poruszenia, jest prawdopodobnie tym samym, na którym przed wieki spełniały się ofiary.

Wszystko to, prawdę mówiąc, trochę jest małe i jakby zacieśnione. Podróżnego co przyjeżdża z głową Tacytem nabitą, scena ta z początku nieco rozczarowywa swemi drobnemi rozmiarami, ale może to i lepiéj, bo dzięki właśnie owym rozmiarom, tworzy ona obraz zupełnie skończony, dający się objąć jednym rzutem oka, i który przy różnych grach światła dziennego, a zwłaszcza przy oświetleniu xiężycowém, wygląda na cudowną

dekorację, gdzie wyobraźnia bez żadnego wysiłku odtwarza groźne dramata przeszłości.

AKT III.

Str. 108. w. 6. Scena V.

RYTYGIER. *A więc mam umrzéć? Walkirję ujrzałem!*

Walkirje, w mitologji północnéj, były to skrzydlate, niebiańskie dziewice, które zjawiając się wśród bitwy i patrząc na rycerskie dzieła walczących, wybierały pomiędzy niemi tych co byli godni Walhalli, poczém, drogą bohaterskiego zgonu prowadziły ich do niéj. Ujrzenie zatém skrzydlatéj Walkirji, było nieomylną zapowiedzią śmierci.

Str. 113. w. 25. Scena V.

RYTYGIER.

Ale słodkie to prawa, które w xiędze złotéj,
Niebiańska Freja pisze łzami zachwycenia.

Freja była boginią miłości u Skandynawów.

Str. 125. w. 24. Scena IX.

WANDA. *Tu bóg piekieł porywa niebieską boginię.*

„Wiemy... z mitologii, że bogini *Nija* czyli *Niwa*, miłosierna pani słowiańskiego piekła, córka bogini Dziewy czyli Żywieny, będąc panną pasła raz prześlicznego pawia. Jedną razą uciekł on jéj do rzeki; goniła za nim zdjąwszy trzewiczki, w tém wyjechał nagle Piekleniec na sześciokonnym wozie, i porwał ją z sobą do podziemia swojego.“

***Studya nad podaniami ludu naszego* przez Józefa Grajnerta, Biblioteka Warszawska, 1859 r.—Maj.—Zeszyt XXIX, str. 504.**

AKT IV.

Str. 172. w. 4. Scena VI.

RYTYGIER.

Wanda ziemią, Wanda morzem, Wanda niebem włada.

Znane te i słynne słowa Rytygiera, przytoczone są już przez Kadłubka:

„Vanda mari, Vanda terri, aeri Vanda imperet.“

Magistri Vincentii Chronica Polonorum.—Kraków, 1862 r. pag. 13, wyd. Al. Przeździeckiego.

Kronikarz każe je Xięciu wypowiadać tuż przed samą śmiercią, ponieważ jednak nie wyglądają na wykrzyk umierającego, w którego ustach byłyby czczą frazeologią, ale raczéj na odłam jakiéjś miłosnéj piosenki, wolałam je umieścić w chwili wesołości i nadziei, a przedśmiertnym jego słowom nadałam treść prawdopodobniejszą, ubraną tylko w takiż sam zakrój wiersza.

Str. 184. w. 7. Scena XIII.

NIEBOSZ. ...... *Córko, Lechiccy kapłanie,*
Widzą niechętném okiem każde ślubowanie,
Bo lepiéj nie przysięgać, niż łamać przysięgę.

„Słowianie... na przysięgę z trudnością pozwalają; przysięgać bowiem u Słowian znaczy prawie to samo co krzywoprzysięgać i gniew bogów ściągać na siebie.“

Kronika Słowiańska Helmolda — przekł. J. Papłońskiego. Warszawa, 1862 r., Rozdz. 83, str. 193.

AKT V.

Str. 203. w. 10. Scena II.

RYTYGIER. *Kto mieczem tknie kobietę, niech uschnie mu ręka!*

i daléj str. 213. w. 9. Scena VI.

TOMIŁA. *Że nie chcą nas zabijać, same-ż nie widzicie?*

Ta bitwa przedstawiona jest w kronikach z cechą tak dziwną i prawie nadprzyrodzoną, że niczém inném nie da się wytłumaczyć chyba wygórowaną ową „czcią dla kobiet,“ którą plemiona Skandynawskie, razem z pojęciem „honoru“ wniosły pomiędzy inne ludy, i które na bujnym gruncie chrześcjaństwa z czasem wydały przepyszny kwiat *szwalerji.* W takiém przypuszczeniu, to zwycięztwo prawdziwie duchowe, byłoby jednym z najwcześniejszych i najdramatyczniejszych jéj objawów.

„Xiąże niemiecki.. pierwéj niepojętą jakąś siłą niż bro-

nią, został pokonany. Całe bowiem wojsko jego, skoro tylko królowę naprzeciw siebie zobaczyło, jak gdyby promieniem słońca nagle rażone zostało. Wszyscy jakby na rozkaz bóstwa myśl nieprzyjazną odrzuciwszy, z boju uszli, twierdząc, że unikają zbrodni świętokradztwa nie bitwy; albowiem nie ludzkiéj siły się lękają, ale uwielbiają w człowieku nadziemską istotę.“

Kronika polska **Winc. Kadłubka. — Kraków, 1862 r., str. 45, — wyd. Al. Przeździeckiego.**

„. . . Taką dawszy odpowiedź, (Wanda) kazała zatrąbić, swoim biedz do broni, i na nieprzyjacielskie szyki uderzyć... Ale że Niemieccy rycerze najznakomitsi zbyt ciekawie przypatrzyli się urodzie Wandy, Królowéj Polskiéj, chcąc się przekonać o prawdzie tego, co u nich rozgłosiła wieść o niepospolitéj jéj piękności, nagle wszystkich dusze... zmiękczały, i jakąś zarazą dotknięte zostały, iż wszyscy zgodnie, jawnie i za publicznem oświadczeniem, wzbraniali się walki nastającéj... zapewniając, że... nie chcą za sprawą złą i bezbożną narażać się na oczywiste niebezpieczeństwo. Przeto ustępują z miejsca potyczki, a powróciwszy do obozu, nie dali się nakłonić ani żadną karą, ani namową, ażeby, wziąwszy się do broni walczyli.

„Rytygar tedy, Xiąże Niemiecki, dotknięty gwałtownie smutkiem i omyloną nadzieją... aby nie był zmuszony wracać do Bogów domowych bez chwały, i nie chcąc narażać się jeszcze na szyderstwa sąsiadów, którzy mówiliby, iż za samém wejrzeniem na niewiastę, zmieniony i zwyciężony został, śmierć sobie przyśpieszyć postanowił... i rzuciwszy się bez zbroi na miecz, który trzymał ostrzem ku sobie obróconém, życie sobie odebrał.“

Dzieje Polski Jana Długosza **przekł. G. Bornemana. Leszno, 1840. Zeszyt III, str. 145.**

Str. 235. w. 14. Scena XII.

WANDA. *I kogóż teraz mój smutek zadziwi?*
Myśmy szczęśliwi, lecz nadto szczęśliwi!

i daléj str. 236. w. 5. Scena taż sama.

WANDA.

Gdy w życiu przyjdzie taka przesileń godzina,
Jest-że droga ratunku? Jest jedna, jedyna :

Jakąś wielką ofiarę rzucić z własnéj woli,
W żelazną szalę.
Tak człowiek sam przywraca równowagę doli.
Lecz ofiara być musi i żywą i drogą.

Wanda posługuje się tutaj tą myślą tylko dla upozorowania przed narodem swego postanowienia, którego prawdziwych przyczyn nie może mu wyjawić. Użycie jéj przecież nie wypłynęło z dowolnego domysłu autorki, lecz zostało poniekąd wyjęte z ust saméj legendy, myśl ta bowiem jest już przypisywana Wandzie przez naszych kronikarzy.

„Wanda zaś.... po ukończeniu wojny niesłychanéj i tak wielkiéj..... prowadząc wojsko swoje nietknięte w uroczystym pochodzie napowrót do Krakowa, przyjmowana z wielkiém uszanowaniem i radością, za tak świetne i znakomite zwycięztwo, *za tak szczęśliwe powodzenie jakiém przez całe życie nad innych śmiertelnych celowała,* najprzód Bogom swoim przy wszystkich ołtarzach.... czynić dzięki za szczęśliwe wypadki nakazała; co święcie wykonawszy, postanowiła siebie samą dać dobrowolnie Bogom na ofiarę, uwiedziona obłąkaniem owemu wiekowi właściwém, gdzie to za rzecz miłą Bogom i czyn wyniosły i bohaterski uważano; *a oraz podobno, ażeby świetność i pomyślność nieprzerwana jéj dziejów, wypadkiem jakim nieszczęśliwym nie zostały zasępione.*“

Dzieje Polskie Jana Długosza — przekł. G. Bornemana. Leszno, 1840 r. Zeszyt III, str. 146.

EPILOG.

Str. 257 w. 7.

Ależ Własta? . . . .
W swéj ojczyźnie się zjawiła jak kometa buntu —
. . . .
I poległa na puklerzu, sławna „Dziewczą wojną.“

Postać Własty nie jest wytworzoną przez wyobraźnię autorki; jest ona także wziętą z podań ludu czeskiego. Nabytek cenny, bo Własta wybornie przedstawia jedną z najważniejszych

stron owego wielkiego ruchu, jaki według legendowych wskazówek miał się niegdyś objawić między niewiastami Słowiańskiemi a którego niewyraźne ale wspaniałe przypomnienia przesuwają się do dziś dnia przed nami, w postaciach spokojnéj, prawodawczéj Libussy, — tajemniczych mędrczyń Kazi i Teti, — bohaterskiéj i poświęcającéj się Wandy, — a nakoniec groźnéj Własty, któréj charakter burzycielski i rewolucyjny, doskonale dopełnia obraz owych zagadkowych porywów do jakiéjś wielkiéj przemiany społecznéj.

„Własta wedle podania była-to przyjaciółka czeskiéj xiężniczki Libuszy, która po śmierci téjże zrzucić postanowiwszy jarzmo panowania mężczyzn, nakształt amazonek wraz z wielu swemi towarzyszkami chwyciła za oręż, rozpoczęła bój z płcią męzką by ją wytępić, naprzeciw Wyszehrada założyła gród dziewiczy zwany Djewin, i broiła dopóty aż dopóki jéj nie poskromił xiąże Przemyśl i warowni jéj nie zburzył.... Pisarz powieści i romansów Hajek jest źródłem wszelkich późniejszych opracowań tego podania, pomiędzy któremi pierwsze zajmuje miejsce „Własta“ Karola Egona Ebert'a.“

Encyklopedya Powszechna — Warszawa — wyd. S. Orgelbranda. Tom XXVII, str. 334.

„Romantyczna powieść o powstaniu bohaterki Własty i całéj płci pięknéj przeciw mężczyznom, czyli o tak zwanéj *Dziewiczéj wojnie* po śmierci Libuszynéj, (710 r.) nie można rozstrzygnąć czyli początek i źródło swoje bierze z urojenia jakiego narodowego piewcy, który oparł swój poemat na wykładzie imienia grodu *Dziewina* stojącego naprzeciw Wyszogrodu, czyli téż z jakich rzeczywistych wspomnień o buncie Własty i jéj stronników przeciw Przemysławowi?“

Słowiańskie Starożytności P. I. Szafarzyka, przekł. Bońkowskiego. — Poznań, 1844 r., Tom II, str. 519.

Naruszewicz daléj się posuwa w przypuszczeniach, gdy w pierwszym Tomie swojéj Historji umieszcza rozdział pod takim tytułem:

Własta za panowania Libussy i Przemysława w Czechach żyjąca, przybraną podobno od naszych pisarzy została, i była taż sama osoba co nasza Wanda.

W tym rozdziale pisze:

„Wiadomo nam jest .. z Cesarskich i narodowych kronik, że xiąże Krakus, któżkolwiek on był urodzeniem, Czech lub Polak... nad Polskim razem i Czeskim panował narodem, i że zostawił po sobie dziedziczkę tronu, córkę Libussę; która przez czas niejaki w panieństwie żyjąc, nakoniec wieśniaka jakiegoś nazwiskiem Przemysława, za męża sobie przybrała. Za panowania téj Libussy z Przemysławem, odnowił się w Czechach, a może dla sąsiedztwa i jedności rządu w obu tych narodach, starożytny Scytyjskich Amazonek rodzaj. Zbierały się pod chorągiew niejakiéj Własty, powołaniem panny, liczne matrony, których ręce chęć wyzwolenia się z pod zwierzchności męzkiéj uzbroiła. Rozliczne tych kobiet swawole i rozboje, kroniki Czeskie obszerniéj opisują.

„Jeśli ta Własta nie była Wandą Polską, albo jeśli Wanda nie chcąca także, według powieści pisarzów naszych, żyć w małżeństwie, nie była z jéj towarzyszek Amazonek, przynajmniéj podobne zaszły w obu narodach dziejów okoliczności, to jest, panowanie Kraka, następstwo jego córki... niewieści przeciwko zwierzchności męzkiéj związek, następne nakoniec zaraz po Wandzie panowanie Przemysława, z kmiecéj także bo złotniczéj kondycyi wyniesionego.“

Historya Narodu Polskiego **przez Ad. Naruszewicza.—Warszawa, 1824 r. Tomu I-go Część II-a, str. 712 i nast.**

Jednakże gdy chodzi o czasy, z których tak mało nam pozostało postaci, zdawało się autorce że zamiast łączyć kilka z nich w jedną, lepiéj będzie każdą zużytkować osobno. Tém téż mniéj godziło się naszą przepyszną, samoistną Wandę. czynić jedną z towarzyszek Własty. Okazało się rzeczą najprostszą i najstosowniejszą, pozostanie przy pierwotnéj legendzie, wedle któréj Własta owszem była jedną z powiernic królowéj Wandy-Libussy, i dopiero po jéj śmierci rozpoczęła na swoją rękę ową dziką walkę, mającą za cel „wytępienie rodu męzkiego,“ od jakiéj aż

dotąd, widocznie wstrzymywał ją tylko łagodzący wpływ jéj ukoronowanéj przyjaciółki.

Str. 257. w. 25.

Szczęście jednak wszędzie trafia, nawet w dom xiążęcy.
Tak Bożenna je spotkała u tronu Karency.

. . . .

Hufiec wiernych towarzyszek poszedł z nią za morze.
W dobrą chwilę przypłynęły do Rugijskiéj ziemi,
Wieść o klęsce Rytygiera gromem szła przed niemi.
Krótka walka.

Część rycerek Wandy przeprowadzona jest z Bożenną aż na Rugję, bo i tam przechowała się pamięć jakichś odwiecznych wojen w których niewiasty, i to Wendyjskie, brały udział. Po całéj wyspie rozsiane są bardzo starożytne kurhany, które lud miejscowy nazywa *Mogiłami olbrzymek*, i dziwy o tych „olbrzymkach" opowiada. Znowu wspomnienie owych tajemniczych, północnych Amazonek!

Str. 260. w. 10.

W żywéj skale, Duch Lechowy tknął zaklętą bramę.
Roztworzyła się. Stanęli w bursztynowéj sali,
Gdzie na słupach z jasnych włóczni wisi dach z korali.

Obraz *Pod-Wawelskiego zamku*, i sali gdzie ucztują duchy naszych monarchów, nakreślony jest podług legendy krążącéj między góralami Tatrzańskiemi, która została po-raz pierwszy spisaną przez K. Wł. Wójcickiego, w następujących słowach:

„Górale co z wysokich hal swoich odwiedzali często Kraków, uderzeni wspaniałością zamku, w podaniu odwiecznėm zachowali, że w głębokościach góry Wawelu jest drugi taki sam zamek, tylko nie taki cichy, smutny, nie taki głuchy i grobowy, jak ten na który ludzkie oczy patrzą, jeno piękny, jasny, wspaniały, od złota błyszczący, z koralowym dachem, oświetlony zawsze jasném słonkiem; a tak miło nań patrzéć, jak dawniéj ludzie patrzali na Wawelu zamek, dziś opustoszały. W tym podziemnym gmachu jest ogromna sala, jakoby kościół jaki, po-

ścianach wisi wiele zbroi: to tarcze, szable i chorągwie. Na środku stoi stół, a w około siedzą wszyscy królowie polscy, w szatach koronacyjnych... Wnijście do tego podziemnego zamku wyobraźnia górali wskazywała przez Smoczą jamę, znajdującą się u stóp Wawelu. Wnijście to ciemne, tajemnicze długo było osnute poetycznym urokiem."

Wycieczka do Krakowa — przez K. Wł. Wójcickiego — *w Piśmie Zbiorowém* Jozafata Ohryzki, wyd. w Petersburgu w 1859 r., str 94.

„Wanda" w takim kształcie w jakim się obecnie pojawia, nie może być graną na teatrze dla swoich zbyt obszernych rozmiarów, ale zdaje się, że wewnętrzna jéj budowa nie sprzeciwia się w niczém warunkom scenicznym.

Przedmiot przedstawiał nieprzebrane bogactwo dla wyobraźni i rzadkie w dziejach objawy psychiczne; żal brał piszącą na myśl aby je miała zupełnie odrzucić, lub zmarnować przez niedostateczne rozwinięcie; postanowiła więc napisać rzecz w rozmiarach dowolnych, niczém nie krępujących myśli ani fantazji, jako *poemat dramatyczny* przeznaczony wyłącznie *dla czytelnika*, obiecując sobie, że póżniéj, z większego utworu zawsze da się wykroić mniejszy.

I rzeczywiście dałby się wykroić z łatwością, gdyby potrzeba przystosowania go do wymagań sceny miała zajść kiedykolwiek. Chodziłoby tylko wówczas o skrócenie kilku rozmów, usunięcie kilku całych ustępów, i zgrabne powiązanie reszty, co nie przedstawia zbyt wielkich trudności, bo zawsze łatwiéj ująć niżeli dodać.

